

Monika Mularczyk (ur 1977) Dziennikarka radiowa i telewizyjna (obecnie w Telewizji Polsat), felietonistka i manager. Łodzianka z pochodzenia. Mieszka w domu pod Warszawą z dwoma psami i kotem. Píše poezje oraz prowadzi popularnego bloga w dziale „Kultura” na portalu wp.pl. Brudny dotyk to jej debiut powieściowy.

Powieść powstała na podstawie raportu dla Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Opowiada o tragicznej sytuacji molestowanych dzieci w polskich domach dziecka. Autorka dotarła do dorosłych dziś wychowanków, czego efektem jest splot ich życiorysów, ubranych w poruszającą opowieść o trudnej drodze od traumatycznego dzieciństwa do miłości, szczęścia i spełnienia.

Siedmioletnia Nina zostaje sierotą. Trafia do rodziny zastępczej, w której dzieci wychowuje się, stosując ostry rygor i dyscyplinę. Zostaje brutalnie zgwałcona przez opiekuna. Stamtąd, okaleczona fizycznie i psychicznie, trafia do domu dziecka, gdzie dyrektorem jest wyrafinowany kat. Jej koszmar się powtarza. Dla Niny ucieczką staje się niezwykły, lecz niebezpiecznie wciągający świat fantazji. Na szczęście w domu dziecka poznaje także dwóch chłopców, z którymi się zaprzyjaźnia. Po latach tragedia, która odbiera jej jedynych przyjaciół i jednocześnie stawia na drodze mężczyzn gotowych ją pokochać, pokazuje, że Nina nie umie w życiu dokonywać wyborów. Boi się, bo nie wierzy, że potrafi kochać...

**Monika Mularczyk**

## **BRUDNY DOTYK**

Zeskanował Krzysztof Tykwiński  
Książkę dedykuję mojej Mamie  
Historia oparta na danych raportu  
dla Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka,  
przygotowanego w 2006 roku  
przez pana Jacka Ciechanowskiego  
PROLOG

- Weźcie ją stąd.

Gdy to powiedział, twarze obcych ludzi dziwnie złagodniały w blasku lampy z kwadratowym abażurem, na którego płótnie namalowano drobne kwiatki. Światło w magiczny sposób nadawało twarzom wyraz zakłopotania. Nietłumaczone niczym poczucie winy dorosłych wobec dziecka, którego nie powinno tu być, było niczym namacalny dowód dojmującej bezradności.

-Na litość boską, wyprowadźcie ją... choćby do innego pokoju - syknął jeszcze.

Ton funkcjonariusza zabrzmiał ostrzej, niż sam by sobie życzył. Otrząsnął się, jakby przeszedł go zimny dreszcz. Tymczasem była pełnia lata, wyjątkowo zresztą upalnego. Po ogorzałym czole spływały mu drobne kropelki potu, znacząc cienkie dróżki, biegnące aż za nieco przyciasny kołnierzyk służbowej błękitnej koszuli.

- Zaraz ktoś po nią przyjdzie - odpowiedział mężczyzna z notesem w dłoni, jednocześnie gorączkowo coś w nim zapisując.

Z tęgiego ponad miarę ciała wydobywał się chropowaty głos, podkreślający pokraczność postury i twarzy o kulfonowatym nosie i dziobach

po ospie. Usta miał na pół rozchylone, łapał ciężko oddech. Zasapany, ledwo nadązał za płucami, w kącikach warg pojawiły mu się dwie kulki zaschniętej śliny.

- Za parę minut kończymy - dodał po chwili, uprzedzając kolejne warknięcie kolegi.

W samą porę, bo tamten już zaciskał szczęki ze zniecierpliwienia.

- Jezu, padam z nóg. - Młokos z zapadniętymi z niewyspania oczami ziewnął przeciągle, nie zadając sobie trudu zasłonięcia ust. - To moja czternasta godzina.

Zdenerwowany funkcjonariusz zaklął pod nosem. Energicznym krokiem podszedł do dziewczynki, ale ona tylko przecząco pokręciła głową. Jej przytomne, aż nadto dorosłe spojrzenie przyprawiło go o dreszcz.

Ten ruch, tak nieznaczny, a zarazem pełen zdecydowania, zadziwiająco dojrzały w obliczu okoliczności, nagle go onieśmielił. Pokój wypełniła teraz niewygodna cisza, przerywana jedynie chrząknięciami i sapaniem policjantów, aż w końcu do mieszkania weszli lekarze w towarzystwie kobiety.

Dziewczynka nadal siedziała na brzeжку taboretu. Jej nogi były zbyt krótkie, by sięgnąć ziemi. Na buzi wyraźnie lśniły ścieżki wytyczone przez łzy. Drobne rączki raz po raz zaciskały się w pięstki. Potargane włosy potęgowały widoczny na twarzy wyraz zagubienia. Była przerażona. Ledwo docierały do niej pytania nieumundurowanej policjantki, która wreszcie się pojawiła. Co z tego, że starała się mówić miękkim i spokojnym głosem? Jak do niej dotrzeć?

Myśli w głowie Niny wirowały.

Wziąć ją za rękę? Przecież to obca ręka, nie ta co powinna, nie z tą temperaturą skóry, z innym zabarwieniem, bez umalowanych paznokci o pięknym owalu przypominającym migdały.

Niech odejdzie, zniknie, przepadnie!

- Ze szkoły poszłaś prosto do domu?

Przez chwilę mała milczała, wpatrując się w nieco zmęczoną, ale dość przyjazną, pospolitą twarz. Taką, jaką łatwo zapomnieć, jeśli nie ogląda się jej zbyt często.

- Tak - szepnęła, choć chciała powiedzieć to głośno i dźwięcznie. Głos jednak rządził się własnymi prawami.

- Mamusia bardzo się martwi, jeśli za długo mnie nie ma.

- To po co ci klucze? - Zdziwiona kobieta wskazała nieduży ich pęk na kolorowej taśmie, wiszący u drobnej szyi.

Dziewczynka spojrzała, zdziwiona niewiedzą funkcjonariuszki.

- Jeśli mamusia śpi, trzeba cichutko wchodzić do domu. Mamusia często jest bardzo zmęczona. Przecież jest chora.

A w myślach tłukło się jej natrętne „była, była, była” ...

Zachłysnęła się w niekontrolowanym odruchu dziecięcego szlochu. Zadziwiająco szybko jednak odzyskała panowanie nad emocjami, biorąc głęboki oddech.

- Ale dzisiaj w ogóle nie chciała się obudzić... Nawet zrobiłam jej herbaty... - Łzy popłynęły po jeszcze mokrych policzkach. - Potem zadzwoniłam po pogotowie, a teraz tylu tu ludzi... Czy oni mogą już sobie iść? - Spojrzała błagalnie i głupie łzy znowu przesłoniły jej widok. Głupia, głupia, głupia!

Coś tańczyło jej w głowie, tupało i śpiewało w rytm dobrze znanej wyliczanki. Jakże śmieszna się czuła teraz! Co ona sobie w ogóle myśli?

Głupia, głupia, głupia!

Brzmiało to coraz natarczywiej i coraz głośniejsze, aż zakryła dłońmi uszy, a potem oczy, bo nie wiedziała, czy bardziej nie chce niczego słyszeć, czy widzieć.

- Nie płacz, kochanie. - Kobieta pogłaskała ją po głowie niezdarnym ruchem, mając świadomość absurdu tego gestu.

Widziała, że do małej zaczyna powoli wszystko docierać, i zrobiło się jej niedobrze. Żaden gest nie był teraz odpowiedni. Żadna dłoń nie była tą co trzeba.

- Wiem, że jest ci trudno. Zajmiemy się tobą. Obiecuję. - Przybrała maskę lekkiego uśmiechu. Dziewczynka już jej nie słuchała.

Wpatrywała się w drzwi do sąsiedniego pokoju, jakby próbując zgadnąć, co się za nimi kryje. Tak naprawdę знаła ten obraz na pamięć. Długie, dość wąskie pomieszczenie z jej łóżeczkiem i fotelem z miękkim oparciem, na którym przesiadywała, gdy mama zagłębiała się w

poduszki, by jej czytać. Półeczki zastawione kolorowymi książkami w twardych okładkach, wypełnionymi bajkami, baśniami. Lalki i misie w szytych na miarę ubrankach z barwnych gałganków i skrawków. Te wciąż zalegały na niewielkim stoliku, tworząc własne królestwo, w którym swoimi prawami rządziły się materie wszelkiej maści i guziki, guziczki, tasiemki, kokardki, kawałki muliny w kolorach skradzionych tęczy. Jeszcze wczoraj do jedenastej w nocy wykańczały haft ze złotych paciorków, który teraz migotał delikatnie na sukni ulubionej lalki.

I była tapeta z malowaną łąką, nad którą spędziły tak wiele godzin. Przez chwilę nawet wydawało się jej, że siedzi wtulona w sukienkę matki, z głową opartą na jej ramieniu. Znajome usta muskały włosy, a ona mruczała z zadowolenia, udając małego puchatego kotka. Przymknęła oczy, chcąc zatrzymać wspomnienie pod powiekami.

Minęło kilkanaście sekund, zanim uświadomiła sobie, że obca kobieta nadal na nią patrzy. Widok zapłakanej Niny wzbudził u funkcjonariuszki dobrze jej znane poczucie bezsilności. Wiedziała doskonale, że niewiele może dla niej zrobić. Ojciec nie żył od trzech lat. Matka zmarła dziś rano, a dziewczynka nie miała żadnej bliższej rodziny. Z westchnieniem wyszła na korytarz. Gdy decydowała się na tę pracę, spodziewała się, że będzie trudno. Nie sądziła jednak, że za każdym razem przyjdzie jej tak bardzo przeżywać wszystkie podobne do tej sytuacji. Podeszła do jasnowłosego mężczyzny, który właśnie wszedł do budynku.

- Dobrze, że jesteś. Trzeba zadzwonić do ośrodka i zapytać, które pogotowie rodzinne może ją przyjąć.

Oparła się całym ciężarem ciała o ścianę i zerknęła na koleżkę.

- Boże, popatrz tylko na nią... Ma siedem lat, a tak dojrzałe spojrzenie... Aż dreszcz przechodzi.

Wzdrygnęła się, wspominając przeszywające oczy zaledwie kilkuletniego dziecka.

- Nie uratujesz całego świata - mruknął tamten i wbiwszy zaciśnięte pięści do kieszeni spodni, odszedł, a jej przyszło na myśl, że wygląda to jak ucieczka.

Nina patrzyła na kanapę. Jeszcze kilkanaście minut temu leżała tu jej mama. Poduszka nadal miała wgłębienie od wtulającej się w nią głowy. Obok walały się chusteczki higieniczne, zgnieciona paczka po papierosach i przewrócona fiolka po lekarstwie. Rozsypane po dywanie tabletki wyglądały jak jej ulubione cukierki pudrowe. Często śmiały się, że każda z nich ma swoje. Nina - różowe, mamusia - żółte. Jej cukierki poprawiały humor, mamie były potrzebne, by ratować zdrowie.

Dlaczego teraz tego nie zrobiły?

Przecież mama mówiła, że mają magiczną moc...

A może jednak zbyt wolno dziś wracała do domu? Może trzeba było mniej marudzić z Gosią? Szły, wymachując workami z kapturami na zmianę, i śmiały się, przystając co chwila. Czy naprawdę wracała do domu tak szybko, jak powinna?

By nie dręczyć się dłużej widokiem pustej kanapy, opuściła głowę, wbijając wzrok w kraciatą spódniczkę, którą obciągnęła nerwowym ruchem. Zbyt szybko się uniosła i na kolanie widać było plaster, nieco przybrudzony na dzisiejszej lekcji wu-efu. Zgięła dłoń i przyjrzała się paznokciom, które ewidentnie wymagały wyczyszczenia. Wytarła rękę o białą lnianą bluzkę z kolorowym haftem w koguciki.

Podświadomie jeszcze łudziła się, że ktoś nagle wejdzie i zdejmie z niej ten szalony niepokój, mówiąc:

- Twoja mamusia nie umarła, to nieprawda.

A potem obie każą im wszystkim sobie pójść, posprzątają bałagan po obcych, zaśmiewając się, że ktoś w ogóle mógł się tak pomylić.

Zamknęła oczy, bo przecież zaklęcia spełniają się tylko wtedy, gdy się nie patrzy, udając sen. Skurczyła się, jakby chciała być jeszcze mniejsza, by nikt nie zauważył, że w ogóle tu jest.

I mimo że spełniła wszystkie potrzebne warunki, by magia nie musiała się kryć, zaklęcia nie działały.

Niby od dawna wiedziała, że kiedyś może się tak stać. A nawet że tak się pewnego dnia stanie. Trudno jej jednak było nazwać to po imieniu. Jakby samo słowo „umarła” miało wytyczyć granicę, za którą wszystko staje się nieodwracalne. Czasem na dobranoc zamiast bajki wymyślały razem historie, jak to będzie...

Nina nigdy nie przypuszczała jednak, że może tak strasznie boleć. Inaczej jest, gdy się o czymś mówi, a inaczej, gdy przychodzi to przeżyć. Pamiętała tylko, że ma być dzielna.

- Ale tylko dotąd, dokąd będziesz mogła - zastrzegła mama. - Pamiętaj, że tylko głupcy nie umieją prosić o pomoc, gdy sobie z czymś nie radzą. Jeśli tylko poczujesz, że jest ci bardzo, bardzo źle... Koniecznie o tym mów. Nie wolno tulić żalu w sobie, bo wtedy choruje dusza. A to najważniejsze, co mamy. Dzięki niej możemy czuć i żyć.

Słuchała tego, przytulona do ciepłego ramienia, a długie rude włosy łaskotały ją w nos.

Wdychając zapach znajomych perfum w kochających objęciach, inaczej to sobie wyobrażała.

Co jednak robić, gdy już na początku nie ma się siły na to, co będzie dalej? Na to mama jej nie przygotowała.

## ROZDZIAŁ 1

Choć od tamtego dnia minęło już tyle czasu, koszmar nawiedzający ją w snach znowu nie dawał spokoju. Męczył jeszcze przez połowę dnia. Za każdym razem, gdy przymykała powieki, znenawidzone obrazy jeden za drugim, metodycznie, przesuwały się w ogromnym tempie. Zbyt szybko, by potrafiła je zatrzymać. Jak na karuzeli, która przerosła oczekiwania i kręciła się znacznie szybciej, niż powinna.

Była zdziwiona, jak wiele detali jest w stanie rozróżnić. Z nieopuszczającym jej nigdy niepokojem szła szybko, próbując nadaremnie wyrzucić ze świadomości to, czego tak nienawidziła.

Strach pojawiał się właściwie znikąd. Przyczajony niczym groźne zwierzę, atakujące znenacka. Widząc mury szkoły, musiała na chwilę przystanąć, by uspokoić oddech. Za plecami usłyszała dobrze znany chichot:

- Widziałaś? Co ona ma na sobie?

- Jeezuuuu! Wygląda jak kij od szczotki! I te włosy!

Nina automatycznie zgarbiła się i skuliła jeszcze bardziej. Właściwie nie powinna być zdziwiona. Słyszała to niemal codziennie i niemal

zawsząd, więc myślała, że już się przyzwyczaiła. Przecież podświadomie czekała na te przytyki już w momencie, gdy rano wkładała swoje mocno wysłużone ubranie. Od dawna nikt nie powiedział jej niczego miłego.

W oczach pojawiły się jednak zdradzieckie łzy.

Nie płacz, myślała, nie pozwól im płynąć. Nie mogą zobaczyć, że płaczesz. Znowu cię wyśmieją.

Przywołała w myśli znajome, kolorowe twarze przyjaciół, którzy z pewnością nie chcieliby pokazać się tym pospolitym dziewczuchom, drwiącym z jej stroju, będącego wspaniałym kamuflażem w szarej codzienności. Przymknęła oczy z błogim wyrazem twarzy i przez chwilę przez jej głowę przebiegały barwne obrazy ze świata bardziej jej przychylnego. Tam nie była zwykłą Niną. Była jedną z nich! Ba! nawet jedną z tych, które mogły tworzyć nowe światy! Nie wolno jej o tym zapominać! To wszystko, tutaj, jest tymczasowe. Tam każde słowo było MAGIĄ. Nie wolno jej o tym zapominać!

Te ciche zaklęcia najwyraźniej działały, bo oczy Niny wyschły.

Przyspieszyła kroku i weszła do budynku. Lekcje układały się dziś dla niej szczęśliwie.

Żadnych przedmiotów ścisłych, a to oznaczało mniej stresu.

Wiedziała, jak ją tu widzą. Zupełnie nijaka. Zbyt szczupła, z bladą skórą, przez którą prześwitują niebieskie żyłki. Wyróżniała się wcale nie tym, czym chciała: ubogim strojem, złe

przyciętymi włosami i biernością, pozwalającą na kpiny koleżanek i kolegów. Nawet jej oczy, niezwykle jasne, jakby chciały pokazać wodzie, jaki powinna mieć kolor, przysparzały jej problemów. Przez to, że były lekko skośne i dość wąskie, innym wydawało się, że patrzy na świat hardo.

Jej jedyna broń.

Najczęściej pełne strachu, kryły jednak wiele tajemnic. Niezauważanych przez nikogo. Przebywała w swoim świecie częściej, aniżeli chciałyby się do tego przyznać. Gdy raz już dała się pochłonąć i wciągnąć w niekończący się korowód uwielbiających jej towarzystwo przyjaciół, brnęła weń coraz głębiej i głębiej. Za to tutaj nikt jej już nie rozumiał. Być może dlatego takim lękiem napawały ją kontakty z rówieśnikami. Oni byli otwarci na to, co niósł świat, a ona zdawała się patrzeć na niego jedynie przez dziurkę od klucza. Na naciśnięcie klamki nie miała dość siły.

Nie lubiła szkoły. Choćby dlatego, że również większość nauczycieli nie rozumiała dziwnej, zamkniętej w sobie dziewczyny. Ich komentarze pod jej adresem jeszcze bardziej ośmielały innych do kpin.

Bała się też wracać do domu. Czasem sama nie wiedziała, co jest gorsze.

Szkoła?

Dom?

Jedynym miejscem, w którym czuła się bezpiecznie, była wyobraźnia. Tworzyła w niej coraz bardziej rozbudowane i kolorowe światy. Jasne, z drzewami w soczystej zieleni, słońcem, czymś ciepłym śmiechem. Przypominającym mamę i jej historie tworzone na dobranoc.

Czasem na to wspomnienie zdarzało się jej roześmiać. Patrzyli na nią jak na idiotkę.

W drodze do domu rozmyślała, co powie o minionym dniu w szkole. Spieszyła się bardzo, by nie być zbyt późno. Elżbieta, jej Zastępcza Matka, jak ją nazywała w myślach, wyliczyła kiedyś, ile czasu dokładnie powinna zająć droga. Kobieta ta kazała jej zwracać się do siebie:

Mamo.

Ninę bolało za każdym razem, kiedy musiała to robić.

Starła się zwracać do niej bezosobowo. Kobieta wyczuwała niechęć dziewczynki i to doprowadzało ją niemal do szału. Tak samo zresztą jak Tadeusza.

Zastępczego Ojca.

Bo mała Nina miała Zastępczą Rodzinę Która Tak Naprawdę Nie Była Rodziną. I bała się wracać do Domu.

Rodziny dom dziecka, będący jednocześnie pogotowiem opiekuńczym, istniał niemal od dwudziestu lat. Założyli go surowi ludzie, przeświadczeni o własnej dobroci. Wierzyli w obowiązek i dyscyplinę. Tę w fizycznej formie również. Szczycili się, że wychowali niemal trzy pokolenia porządných ludzi. Dzieci, choć skromnie ubrane, chodziły jednak czyste, nigdy nie wagarowały i nie nastęrczały nikomu zbytých problemów.

Nikt nie zwrócił uwagi, że są zbyt ciche i załęcznione.

To w końcu biedne dzieci.

Czy więc należało się dziwić, że nie były szczęśliwe?

Na sam widok budynku Niną wstrząsał dreszcz.

Był to duży, brzydki dom z pięcioma sypialniami. Cztery z nich zajmowało dwanaścioro dzieci. W każdym pokoju stały trzy łóżka, trzy małe szafeczki nocne, trzy biurka, trzydrzwiowa szafa i wisały trzy półki na książki.

Każde z nich musiało dbać o porządek i miało wyznaczone obowiązki. Nina nawet je lubiła, ponieważ pracując, mogła wyobrażać sobie, że jest zupełnie gdzie indziej.

Prowadziła w wyobraźni monologi z przyjaciółmi albo udawała, że jest w swoim rodzinnym domu z mamą.

Razem sprzątają, planując pieczenie jabłek z cynamonem albo nawet lepiej - ciasteczek.

Dawno nie jadła domowych ciasteczek.

Nieco zbyt twardych, gdy dodały za dużo migdałów, posypywanych przez nią przesadnie cukrem, chrząszczącym potem między zębami, a w końcu moczonych w herbacie, by można je było zjeść bez utraty kawałka zęba...

Pachniało wtedy w domu ciepłem, migdałami, cynamonem i bezpieczeństwem. Tego ostatniego Nina też nie czuła od dawna.

Zanurzyła rękę trzymającą ryżową szczotkę w misce z mydlinami i z westchnieniem zaczęła szorować podłogę.

Pomyślała, że nawet płyn, który kupowano w tym domu, ma drażniącą, niemiłą woń, jakby przypominał, że ten dom nie jest prawdziwym domem.

Wierzchem dłoni otarła czoło, bo zbyt długa grzywka łaskotała nadmiernie i przeszkadzała skutecznie w łączeniu pracy z marzeniami. Spojrzała na ręce i uśmiechnęła się na widok pomarszczonej od wody skóry. Kiedyś miewała taką od zbyt długich kąpiei z pianą, gdy potrafiła nawet trzy razy dolewać ciepłej wody, by móc posiedzieć jeszcze dłużej. Mama przychodziła do niej z wielkim puchatym ręcznikiem i z udającym surowość spojrzeniem wyganiała ją z wanny.

Dzisiaj czekał ją prysznic z zegarkiem w rękę. Każde z nich miało kwadrans na wieczorną toaletę. Przyspieszyła szorowanie podłogi. Jeśli nie skończy dość szybko, wejdzie do łazienki ostatnia, a to oznaczało zimny tusz.

Późnym wieczorem leżała już w łóżku w samotności, której nie rozpraszało nawet lekko sączące się spod drzwi światło ani świadomość, że obok śpią przecież inni. Zamiast zasnąć od razu, wyteżała wzrok, by wydrzeć ciemnościom każdy znany kształt, opisując go sobie w myślach, żeby nie zamienił się niepostrzeżenie w koszmarnie stwory

0 lepkich mackach, chcące zajrzeć pod jej kołdrę. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego serce tak zawsze tłucze się jej o tej porze, próbując wyskoczyć z piersi i uciec daleko, daleko. Chciało się jej wtedy krzyżeć, choć żebra miała ściśnięte strachem niczym imadłem i mogła jedynie przeczekać ten stan, doprowadzający ją na skraj obłędu.

Wstała i bosa, w zbyt krótkiej piżamce, drżąc ze strachu i niepewności, położyła się na chłodnych deskach podłogi, wpatrując się w ten wąski pasek światelka, jakby był on ratunkiem i jedyną drogą ucieczki prowadzącą do innego świata. Prosiła, by ktoś precyzyjnie przeczekał przez otwór choć skrawek sznurka. Złapałaby go, wypełzła i nigdy nie wróciła. Lecz mimo że powtarzała ten rytuał niemal codziennie, nic takiego się nie stało. Wróciła do łóżka

1 rozpląkała się bezgłośnie, łykając zawstydzona lzy, zasłaniając usta obiema dłońmi, by najłżejszy dźwięk rozpaczy nie przedostał się do wścibskich uszu przybranych sióstr. A gdy światło dnia zajrzało do pokoju, malując na kołdrach wzory

z firanki, i gwar ulicy zmiótł ciszę, jej oczy nadal były otwarte, uszy wciąż nasłuchiwały, aż w końcu dotarły do nich dźwięki budzącego się miasta i domu. Trzeba było wyjść na spotkanie kolejnego dnia przykrej rzeczywistości. Leżała jednak nadal nieruchomo, aż głęboką ciszę wczesnego poranka przerwały głosy budzących się dzieci zza cienkiej drewnianej ściany. Senne, różowymi obwódkami otoczone oczy dziewczynki zwróciły się ku zegarowi i jakby wylano na nią wiadro zimnej wody, usiadła na łóżku.

- Późno już! - szepnęła. - Ach, jak późno! Zaspałam!

Zaczęła ubierać się nerwowymi ruchami, zdradzającymi żywą, tylko przytłumioną mocno naturę. Nie zastanawiała się ani chwili nad znoszonymi bucikami, wyblakłą sukienką i stylonowymi rajstopami. Ubierała się szybko, jednocześnie czesząc włosy. Nie pozwalała sobie na zadumę nad rzeczami, o których i tak jej inni przypominają, znowu wyśmiewając ubrania noszone z pewnością wcześniej przez niejedną dziewczynkę. Wzrost miała niewysoki, ale ruchy płynne, włosy piękne, miedziane, ręce i stopy małe i kształtne, tylko wielkie wychudzenie i żółtawa bladeść nadawały jej mizerny wygląd. Kości łopatek ostro sterczały, a ramiona miały zagięcia ostre, cieniutkie.

Nieważne to jednak wszystko, nieważne.

Czas robić śniadanie. Musiała zjawić się w kuchni pierwsza, zanim Zastępcza Matka sama się o nią upomni. Pobiegła. W kuchni jednak zastała obraz działający na nią jak najlepszy hamulec. Szerokie, pokryte wałkami tłuszczu plecy ojczyma. Poczowała, jak strach uderza ją boleśnie wprost w splot słoneczny. Niemal zadławiła się swoim oddechem. Panika rozlała się po ciele jak zbyt gorąca herbata. Ale już było za późno i musiała, po prostu musiała wejść. Spojrzała na swoją stopę. Przekroczyła próg. Jedną nogą tkwiła nadal w przedpokoju. Ale druga była już w niebezpiecznej krainie potworów i największego z nich - znieawidzonego Jego. Źrenice rozszerzyły się jej, gdy powoli zaczął obracać się w jej stronę. Mogła przysiąc, że zobaczy za chwilę potworną gębę gnoma ze spływającą śliną i przebrzydłymi owrzodzenia-mi, podbitymi ropą, gotowymi wystrzelić tą mazią przy lada dotknięciu. Że jego pokryte czarnymi włosami łapska okażą się oślizgłymi mackami, zostawiającymi na niej swoje ślady. Za każdym razem, gdy jej dotykał, sprawdzała potem dokładnie, czy nie ma fluorescencyjnych śladów, po których każdy byłby gotów poznać, w jakie rejony ciała zagląda jego paluchy. Każda lekcja wychowania fizycznego wywoływała u niej rozstrój żołądka, doprowadzając niemal do wymiotów, aż kręciło się jej w głowie i najprostsze ćwiczenie przerastało jej możliwości. A w głowie miała tylko jedno: Czy wszyscy widzą? Czy wszyscy wiedzą? Dlatego tak na mnie patrzają? -1 purpurowiała. A dzieci i nauczycielka sztychili z niej, że taka niezdar, bo nawet gruba Ania ćwiczy lepiej od niej. Co za fajtłapa!

Nina ocknęła się nagle, słysząc wdzierający się w najgłębsze zakamarki umysłu wrzask:  
- Nie stój tak! Na co się, do cholery, gapisz!?

Ze szkoły wróciła z bólem brzucha. Poranek, napiętnowany obecnością ojczyma, na którą nie była przygotowana, ciążył jej aż do ostatniej godzi-

ny lekcyjnej. Teraz też czuła jego zapach. Musiał wyjść niedawno. Może wróci późno. Zastępcza Matka, obrzucając ją spojrzeniem z wyrazem nieco nawet przypominającym troskę, kazała jej położyć się do łóżka. Nina była jej za to wdzięczna.

Wsuwając zziębnięte stopy pod kołdrę, z lubością przyjmowała pieśczętę z początku chłodnego, ale stopniowo nagrzewającego się materiału. Wszyscy byli zajęci sobą. Zapomnieli o niej. Ciało rozluźniało się, stając się coraz bardziej miękkie, szykując się na nadejście „przedsnu”. Ulubionej części życia dziewczynki. Była to kraina, do której nikt nie mógł dostać się przypadkiem. Potrzebny był do tego nie tylko wysiłek woli, ale i gotowość ciała na przyjęcie marzeń. Tam nic nie „trzeba było”. Przeszłość nie ścierała się z terażniejszością. Nie było ni pamięci, ni niepamięci, ni jaźni. Wszyscy ludzie należeli do mglistego świata, który rozpływał się pod natarciem sennych pragnień. A ona mogła nagle mknąć, płynąć, latać, nie napotykając żadnych przeszkód i nie czując trosk. Rzeczywistość wysuwała wobec niej zbyt wiele roszczeń. Musiała czerpać skądś siły.

Nina rozejrzała się po pokoju, wstrzymując oddech, aż szumiało jej w skroniach, i w końcu widziała tylko kontury, szare na szarym tle, pozbawione głębi, jakby należały do jednego wymiaru. Jak na obrazku malowanym niewprawną ręką, gdy ma się do dyspozycji tylko ołówek. Gdzieś z oddali dobiegł ją dźwięk - coś upadło - i przez chwilę czuła się uwięziona na granicy między światami, bo strach nakazywał bronić się przed wtargnięciem kogoś, kto nigdy nie powinien zobaczyć jej w tym stanie. Podświadomość szeptała, że trzeba obmyślić strategię na taki wypadek, wybudować mocne, ceglane mury, może jeszcze otoczyć je szańcami. Na straży postawić waleczne elfy z szybkostrzelnymi łukami. Wezwać zielonołuskiego smoka, mającego trwać pomiędzy magicznymi słowami, gotowego na wezwanie. Wystarczy wyszeptać jego imię, tajemny symbol w duszy zapisany, i nikt ani nic nie wysledzi Niny.

Powieki jej drgały, przykrywając tańczące od emocji oczy.

Tak. Należało się tym zająć.

Ktoś dotknął jej ramienia. Drgnęła, lecz na jej twarzy wykwitł uśmiech, gdy spostrzegła znajome żółte, figlarne oczy.

- Urga! - Zaśmiała się radośnie, czując lekkość w piersi, w głowie i pod stopami.

Papuzie kolory zatańczyły jej przed oczami. Trwał jarmark! A ona o mały włos by go przegapiła!

Pierzasta przyjaciółka chwyciła jej dłoń i poszybowały.

- Nie wyjeżdżaj na tak długo - poskarżyła się skrzekliwie podobna barwnemu ptakowi dziewczynka. - Wiesz, ile tu pracy? Zaniedbujesz nas!

Nina zmarszczyła czoło, zafrasowana.

- Musiałam być gdzie indziej.

- Uff... musiałam... jakie to okropne słowo! Nina zaśmiała się i dała nura w przestworza, wywijając widowiskowego fikołka.

- Szczęściem tu zakazane!

Różowopomarańczowe słońce łaskotało promieniami, malując jej na plecach skrzydła motyla z pawimi oczkami. Zatrzepotała nimi, chichocząc, gdy poczuła, jak wydłużają się jej uszy, i po chwili wyglądała już jak najprawdziwszy elf. Skóra od czubka głowy po koniuszki palców u stóp przebarwiała się falą lekko brzoskwiniowego kolorytu, oczy zalśniły, nie zmieniając się jednak ani na jotę. Nie musiały. Były drzwiami, oknami, portalem do światów skrytych przed innymi.

I wtedy uderzył grom. Piski stworzeń, zaskoczonych nieznanym, strasznym i ciemnym, spadły na nią całą siłą przerażenia tyłu istnień, że zaczęła spadać, pociągając za sobą ukochaną Urgę, przez upstrzoną ciemnością przestrzeń w nagle powstałą otchłań. Upadek był długi, trwał niczym na zwolnionym filmie, klatka po klatce, aż mogła rozpoznać wszystkie twarze i poczuć ból wszystkich istnień. Po ciemności nastąpiła szarość, jakby widziana przez opaskę na oczach. Gdy do umysłu napłynęła pierwsza myśl, usta same otwarły się do krzyku, ale zostały natychmiast zakneblowane tłustą dłonią.

Przez chwilę zapomniała wszystkich słów, bo światy nie zdążyły się rozerwać i oddzielić, by nie musiała plugawić wewnętrznego. Nie potrafiła nic nazwać ani rozpoznać. I choć trwało to zaledwie przez ułamek sekundy, jej wszystkie wartości wyróciły się do góry nogami. Nie wiedziała już nic. Nic nie czuła i nie pamiętała. Tylko ta pustka bezbrzeżna i zgubienie, brat zagubienia, bezosobowy.

Rozpaczliwym wysiłkiem, niemal nadludzkim, usiłowała rozpoznać jakiś sens. Skupiła wszystkie siły i moce, przerwała linię, nie chcąc zguby przyjaciół, by żadna ze ściśle strzeżonych tajemnic nie wymknęła się w ziemski świat, i upadła.

Sprężyny w plecach, zapach potu, tytoniu, zbierające się żółcią mdłości. To była kara za nieuwagę. Tym razem przyjęła ją pokornie. Nawet nie śmiała protestować. Zasłużyła.

## ROZDZIAŁ 2

Wpatrując się w sufit, znów zatoneła w myślach. Podobno zawsze istnieją przynajmniej dwie drogi, którymi można podążać. Pytanie, która z nich później budzi więcej wyrzutów sumienia. Nina zastanawiała się, czego powinna żałować. I dlaczego jest tak, że to złe wydarzenia kształtują życie, a dobre dostarczają co najwyżej wiary, że może być w życiu dobrze? Ciekawa była, czy mając wiedzę o następstwach wydarzeń, zawsze dokonywałaby właściwego wyboru.

Dziś wiedziała, jaki dzień ma przed sobą. Dokładnie, co do godziny, potrafiła przewidzieć, jakie ją czekają zajęcia. Skąd więc znowu ten niepokój? Jakby coś umykało, a ona nie mogła tego dogonić. Westchnęła. Gwałtownie odrzuciła kołdrę i w myślach zbesztala samą siebie. Zamiast skupić się na sprawach istotnych, znowu pozwalała sobie na psucie nastroju od samego rana.

Poranny rytuał parzenia kawy zawsze ją uspokajał. Podobnie jak niebieska tabletką xanaxu.

Jedna na noc, na spokojne sny, i jedna na dzień, na wszelki wypadek. Tak zresztą było i tym



razem. Kiedy dotarł do niej znajomy aromat czarnego jak smoła napoju, poprawił się już i humor.

Nucąc pod nosem lecącą w radiu piosenkę, zjrzała do lodówki. I jak zwykle zdecydowała się na jedną kromkę pszennego tost z konfiturą. Niczego innego rano nie zdołałaby przełknąć. Był czas, kiedy obfite śniadanie nie stanowiło dla niej problemu, ale wręcz rytuał. Ale to było dawno i tylko przez chwilę.

Usiadła przed oknem i pijąc kawę, patrzyła na ośnieżone drzewa okalające budynek. Między nimi widziała spacerujących ludzi z psami, którzy wybierali się do pobliskiego parku. Mieszkała tu od niedawna. Dwa pokoje z kuchnią i mała antresola stanowiły całe jej królestwo. Kiedy je zobaczyła, od razu wiedziała, że właśnie tego szuka.

Postanowiła utrzymać dom w klimacie przedwojennym. Zdecydowała się więc na tapety, podłogi z desek i wyszperane na targach staroci dywany. W oknach wisiały kotary w angielskim stylu, opuszczane na noc. Na antresoli urządziła małą sypialnię z garderobą, w której przeważały ciepłe beże, słoneczne pomarańcze i akcenty przywodzące na myśl styl toskański. Taki, jaki podziwiała w kolorowych czasopismach dawno, dawno temu.

Urządzanie mieszkania pozwalało jej zapomnieć o wielu innych sprawach. To była jej stara metoda na zmartwienia. Znajdowanie sobie zajęcia pochłaniającego niemal bez reszty.

Poświęciła się temu, ciesząc się każdą widoczną zmianą w nowym domu. Musiała przecież jakoś stłumić strach, że oto nagle będzie w tym mieszkaniu zupełnie sama, bez tupotu innych stóp. Bez dwóch dodatkowych szczoteczki do zębów w łazience i flakonów męskiej wody toaletowej.

Budziła się rano w totalnej ciszy, która dręczyła ją coraz bar-

dziej, aż wpadła na pomysł, że budzikiem może być równie dobrze i radio. Szczęśliwie już miała ten okres za sobą. Teraz uczyła się rozkoszować chwilami absolutnego spokoju.

Tworzyła z tych momentów swoje magiczne chwile i cieszyła się nimi coraz bardziej.

Nareszcie miała przystań, o jakiej zawsze marzyła. I potężny kredyt do spłacenia. Niewiele jednak potrzebowała i radowała się każdą spłacaną ratą.

Była wolna.

Od kilku lat stanowiła o sobie i dopiero się tego uczyła, wciąż popełniając błędy, przyprawiające ją samą o nieustanne poczucie zażenowania. Przykrywała nieporadność życiową ostentacyjnie surowym sposobem bycia, wpuszczając do swojego świata jedynie nielicznych. A i oni niemało musieli się czasem nagimnastykować, by dotrzeć do tej wrażliwej dziewczyny.

Coraz częściej jednak śmiała się, zaskakując tym siebie chyba najbardziej. I nie towarzyszyło jej już tak często poczucie bezbrzeżnej samotności. Odcięła się od przeszłości, zagrzebując na dnie pamięci wspomnienia, przez które nie mogła spać. Robiła to tak długo i zaciekle, że wkrótce przestały jej się śnić koszmary. Co prawda pomogły w tym i lekarstwa, i godziny spędzane na kozetce u psychologa, ale już od dawna nie musiała układać planów z zastrzeżeniem, że dwa razy w tygodniu godzinę poświęca na psychoanalizę. Lekarza odwiedzała sporadycznie, tylko gdy przełomowe dla niej chwile zaburzały wypracowany z trudem powolny rytm myśli.

Skrzywiła się, słysząc dźwięk telefonu komórkowego. Nie było jeszcze ósmej. Widząc wyświetlają-

cy się numer, zaklęła pod nosem. Dzwonili z pracy. A przecież ma wolny dzień. Za kilka dni wyjeżdżała na swoją pierwszą prawdziwą wyprawę w góry, a dotąd nie miała czasu, by kupić potrzebny sprzęt i ubrania. Marek będzie zły, że znowu odwołuje ich wspólne zakupy.

Oczywiście za dużo znowu wzięła sobie na głowę, ale taka już była. Wolą, gdy wiele się działo.

Dwadzieścia minut później jechała już samochodem do firmy. Musiała dokończyć ocenę raportów sprzedaży, choć pierwotnie termin wypadł dopiero za trzy dni. Pojawił się jednak nowy klient i sytuacja się zmieniła.

Ich wspólna agencja reklamowa rozpędzała się coraz bardziej, dodając pewności siebie nie tylko Ninie, ale i obu chłopakom, jej współnikom. Potrzebowali tego może nawet bardziej niż ona.

W tym nieznośnym słałości samczym świecie panowały niestety jeszcze twardsze reguły gry, a ona nie zawsze umiała być dla Marka i Jacka wystarczającą podporą. To oni raczej zajmowali się nią. Tak było od kilkunastu lat. Planowana wyprawa też była ich sposobem na to, by nadal czuła, że między nimi nic się nie zmieniło. Nie zostawia jej tym razem w dolinkach, jak zazwyczaj robili, ale zabiorą ze sobą.

Dopóki mieszkali razem, ich wspólne wyjazdy, tylko we dwóch, odbierała inaczej. Zresztą ktoś musiał pilnować porządku w firmie. Tym razem jednak był to pierwszy rok, kiedy mieszkali oddzielnie. Wspólne wakacje miały być małym zadośćuczynieniem za brak codziennej bliskości. Prawdę mówiąc, i tak zbyt późno przecięli pępowinę i za długo nie wpuszczali do swojego świata nikogo z zewnątrz, ale robili coraz większe i śmielsze kroki. Praca, wymagająca ciągłych kontaktów, bardzo im to ułatwiała, a nawet często wymuszała na nich wychodzenie ze skorup, misternie budowanych całymi latami. Zerknęła nerwowo na zegarek, gdy czerwone światło zaskoczyło ją na trzecim skrzyżowaniu z rzędu. Na Siekierkach znowu był korek. Zmęła w ustach przekleństwo, gdy po chamsku wepchnął się przed nią bezkarkowiec w starej beemce piątce. Z niesmakiem patrzyła na pierwsze wielkie płatki śniegu. Jeśli nawet one jej już przeszkadzały, to nie najciekawiej zaczynał się dzień.

Może to i lepiej, pomyślała. Przynajmniej będę mogła skupić się na pracy, a nie na dziwacznych przemyśleniach i mrzonkach.

Telefon dzwonił jak opętany, ale ona uparcie nie odbierała.

- Ludzie, litości! - krzyknęła w końcu, jakby mógł ją usłyszeć ten ktoś po drugiej stronie słuchawki. - Przecież muszę dojechać! Nie mam, do cholery, odrzutowca!

Wpadła jak burza do przeszklonego biurowca, ciskając oczyma gromy. Jak na złość, przepustka nie chciała uruchomić bramki prowadzącej do windy.

Szamocząc się z płaszczem, torebką i aktówką, upuściła w końcu wszystko na ziemię.

Wydała z siebie zabawny dla otoczenia, a w zamyśle mający zabrzmieć groźnie pomruk.

- Pani Nino, spokojnie, zaraz panią wpuszczę. Dlaczego tak nerwowo dzisiaj? - Sumiaste wąsy stojącego obok ochroniarza drgały od powstrzymanego śmiechu.

- Szlag by to... - Urwała, przeciągając dłonią po włosach. - Spieszę się, a to draństwo nie działa.

- Ale po co te nerwy?

W tej chwili komórka znowu zaczęła dzwonić.

- No właśnie po to.

Zdenerwowała się znowu, patrząc na wyświetlacz telefonu; tym razem odebrała.

- Jestem w holu, daj mi, do cholery, wjechać windą na górę - wysyczała, hamując się z najwyższym trudem.

Ochroniarz otworzył jej bramkę, a ona wystrzeliła jak z procy.

Siłą rozpędu wpadła do pokoju prezesa, wściekła jak osa i mając na końcu języka kilka przekleństw, i stanęła jak wryta.

- Niespodzianka!!!

Wrzask, kolorowe balony, konfetti i stłoczeni jak sardynki w puszcze wszyscy pracownicy firmy wydali się jej nierzeczywiści.

Stała tak przez chwilę z otwartą buzią, rozwianymi włosami i ledwo utrzymując wszystko w rękach. Jasnowłosy drobny mężczyzna wpadł na nią, śmiejąc się głośno i ściskając ją, nadal ogłupiałą.

-Wszystkiego najlepszego, rudzielcu!

-Ja was wszystkich kiedyś pozabijam... - Broda jej się trzęsła, ale na ustach powoli rozkwitał uśmiech.

Na widok następnego, zdecydowanie wyższego, ciemnowłosego mężczyzny, który do niej podchodził, już się otwarcie śmiała.

- Chyba nie sądziłaś, że zapomnieliśmy o twoich urodzinach? - mówił jej prosto do ucha i miażdżył w objęciach.

- Sama zapomniałam.

- Nooo, to rodzina w komplecie! - krzyknął blondyn, a z trzymanej przez niego butelki z hukiem wyskoczył korek.

Patrzyła na nich z miłością w oczach. Tak, byli jej rodziną.

- Mamy dziś dwudziesty ósmy dzień stycznia, jest siódma rano...

Nina w pośpiechu pakowała do plecaka kosmetyczkę, słuchając z niepokojem radiowej zapowiedzi ochłodzenia i nasilenia się wiatru.

Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi.

- Idę, idę! - krzyknęła, potykając się o leżący na podłodze śpiwór.

W progu stał Marek, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Niech zgadnę: oczywiście jeszcze niegotowa?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się przekornie. -Ale mam prawie wszystko.

- Za godzinę ma podjechać Jacek, więc dobrze byłoby żebyśmy się wygrzebali, bo znowu będzie nam dokuczał przez całą drogę.

- Och, nie martw się. Właściwie muszę tylko dopakować plecak. Mam nadzieję, że pogoda nam dopisze, bo jeśli mam się czegoś od was nauczyć, to nie zrobię tego podczas zawieruch.

Po prostu wam ucieknę! - Zaśmiała się perliście.

- I tak ci nie wierzę - powiedział Marek. - Będziesz nas jeszcze poganiać.

- Oby, oby... - Załamała ręce w komicznym geście, udając przerażenie. - Boję się okrutnie.

- Będziesz zachwycona. To nie zdeptane Zakopane. A pogodą się nie martw, zimą czasem tak bywa. Dwa dni powieje, potem przestanie i wyjdzie piękne słońce.

- Właściwie mógłbyś mi już chyba zdradzić, do-

kład jedziemy. Lubię niespodzianki, ale teraz już zaczyna mnie to denerwować.

- Zobaczysz, to się dowiesz - odpowiedział z szelmowskim uśmiechem, obrzucając wzrokiem pokój, w którym panował nieznośny rozgardiasz.

To była cała ona. Nareszcie.

Pamiętał, jak sam walczył ze sobą, by nie układać wszystkiego za każdym razem w nienaganny sposób. Jak mieszkając w trójkę, z Jackiem, uczyli się, że nie muszą nic robić, jeśli tego nie chcą. Niemal siłą zmusili się nawzajem do tego, by w końcu kupić oddzielne mieszkania. Nadal jednak żadne z nich nie wpuszczało do swego życia nikogo obcego. Marek zdawał sobie sprawę z tego, że trochę kiszą się we własnym sosie, lecz nadal nie ufał nikomu, podobnie jak przyjaciele. Najbliżsi mu ludzie. Jacek i Nina. Obaj z Jackiem najbardziej martwili się o nią. Może wówczas wydawali się sobie silniejsi, a może dlatego, iż nadal potrafiła szczelnie zamykać wszystkie prowadzące do siebie drogi i tylko oni sobie znanymi sposobami na powrót umieli wyciągać ją ze szczelnego pancerza.

Dopiero niedawno Nina przemogła się w końcu i pozwalała sobie na szaleństwo bałaganu, jak to nazywała. Najpóźniej z nich wszystkich. Nie mieszkali już razem, ale wciąż nie potrafili bez siebie żyć. Łączyła ich wspólna praca i przeszłość, o której nie dało się niestety zapomnieć.

Nareszcie, myślała, gdy samochód sprawnie pokonywał kolejne kilometry wytyczonej trasy.

Szczęśliwie bez większych przeszkód przejechali część drogi do Częstochowy, kierując się w stronę Krakowa. Aż w końcu zobaczyła góry. Oglądała je tyle razy, ale zachwyciły ją bezgranicznie. Zapomniała nawet, że Marek i Jacek siedzą obok. Wydawała ochy i achy niemal za każdym zakrętem, aż w końcu chłopcy jedynie uśmiechali się na te okrzyki. Ledwo panowała nad sobą, gdy rozpakowywali bagaże w jednym z niewielkich pensjonatów. Ulokowali się w spokojnej Jaszczurówce, z dala od gwarnych Krupówek. Skakała na jednej nodze niczym mała dziewczynka i poganiała ich, aż wyszli we troje, by omówić trasę jutrzejszej wycieczki. Łatwe podejście na Nosal miało też pomóc Ninie zaaklimatyzować się przed jutrzejszą, dużo trudniejszą trasą. Gdy stali już na szczycie, z niecierpliwością słuchała dość długiego wywodu Jacka, zaaferowanego wyprawą. Kochał góry i nie znosił, gdy ktoś twierdził, że nie interesuje go, jak nazywają się poszczególne szczyty czy doliny. Chciał jej też nieco przybliżyć cel wyprawy i trasy, jakie mieli do wyboru.

- Od rozstaju szlaków przy schronisku na Małej Polanie Ornaczańskiej pójdziemy zielonym szlakiem, potem czarnym prowadzącym do Doliny Chochołowskiej Drogą nad Regłami i czerwonym na Ciemniak. Mam nadzieję, że Nina będzie wyciągać te swoje krótkie nóżki. Spojrzał na nią spod oka, a ona się zachnęła.

- Bo na szczyt dojdziemy, o ile nie padnie nam po drodze dziewczynka - nie mógł się powstrzymać.

Oberwał rękawicami w głowę, ale tylko się odsunął i dalej analizował mapę z wybraną trasą. - Może być ciężko, bo niektórzy z nas mają nowe buciki... Auuu!

Tym razem Nina poczęstowała go kuksańcem w bok.

Mimo wszystko ciągnął dalej tym samym tonem mentora.

- Ale ostatecznie może laicy docenią widok ze szczytu...

Nina nie potrafiła zignorować tego celowego zawieszenia głosu.

- Mam nadzieję, że wcześniej mnie nie zniechęcisz - mruknęła.

- Z okolic podszczytowych Ciemniaka pięknie widać wapienne urwiska Krzesanicy - wtrącił wreszcie Marek.

- To najwyższy z Czerwonych Wierchów. Chcemy ci pokazać, jak wygląda, ale jeśli nie dasz ra-dy...

- Dam. Przynajmniej mam taką nadzieję. Kiedy ruszamy?

- Rano. Pobudka o wpół do siódmej. Jacek z szelestem składał mapę.

-A jeśli będziesz grzeczna, to moooooże uda ci się nas namówić jeszcze na Jaskinię Mroźną. Ale nie wszystko od razu.

- Pamiętaj, że wejść to nie wszystko. - Marek się zaśmiał. - Potem trzeba jeszcze... zejść.

Uniosła głowę i osłoniła oczy przed rażącym słońcem.

- Jest gorzej czy lepiej?

- To zależy. Idąc z Ciemniaka, pewnie będziemy chcieli przejść całą grań Czerwonych Wierchów, po kolei zaliczając Krzesanicę, Małołącz-niak i Kopę Kondracką. Tam jest bardzo łagodnie, będziesz mogła odpocząć. Zajmie nam to raptem godzinę. W sumie to będzie relaks i czas na twoje fotki. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Zejście z grani Czerwonych Wierchów możliwe jest na kilka sposobów: z Małołączniaka Kobylarzo-wym Żlebem w stronę Przysłopu Miętusiego i Doliny Małej Łąki, z Kopy Kondrackiej też do Doliny Małej Łąki albo do Kondratowej i dalej do Kuźnic. Ale tu decyzję zostawiam już kierownikowi naszej wyprawy.

Poklepał Jacka przyjaźnie po plecach i całą trójką, śmiejąc się, skierowali się ku zejściu z Nosala, a potem do pensjonatu.

Na grzańca.

### ROZDZIAŁ 3

Leżała zwinięta w kłębek, patrząc z przerażeniem na padający śnieg. W połowie nieświadoma przemykających przez głowę myśli widziała wirujące płatki, które co jakiś czas przyjmowały

kształt białej zasłony. Mącił się jej wzrok, biały puch przesłaniał świat.

Zrozpaczony umysł był zdolny skupić się jedynie na myśli wciąż powracającej w majakach:

- Co robić... Co robić...

Kiedyś już tak było... Nie dali się wówczas losowi. Teraz jednak chłopców nie było przy niej, nie trzymali jej za ręce...

Wtedy to też była styczniowa noc. Troje nastolatków, skulonych i obejmujących się nawzajem, brnęło po kolana w śniegu. Park był ciemny tylko gdzieniegdzie jaśniały punkty latarń ze zbyt słabymi żarówkami. Nic dziwnego. Miasteczko było biedne. Oszczędzano na wszystkim. Wyglądali na zabłąkanych, i tak faktycznie było. To był już drugi dzień ich wędrówki. Poprzedniej nocy próbowali już spać tu na ławce, ciasno przytuleni, rozcierając sobie nawzajem kończyny i nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Bali się zwrócić do kogokolwiek o pomoc, ale ich strach, teraz podkopany przez wyczerpanie, wydawał się już nieco bledszy niż jeszcze wczoraj.

Marek, najstarszy z ich trójki, spojrział na Jacka i Ninę. Dziewczyna wyraźnie była najslabsza, choć dzielnie dotrzymywała im kroku.

- Musimy coś zrobić. Długo tak nie wytrzymamy - powiedział w końcu.

Ninie usta zacisnęły się w desperacji.

- Nie wrócę tam. Nie mogę tam wrócić. Umrę, jeśli każą nam tam znowu iść!

- Ćśśśś... - Trzęsący się z zimna Jacek próbował ją uspokoić. - Nikt ci nie każe tam wracać.

My też się nie palimy do powrotu do tego więzienia... Zaraz coś wymyślimy.

Wyszli z parku i skierowali się ku szarym budynkom wymalowanym graffiti.

- Spróbujemy ogrzać się w poczekalni PKS. Jest zaraz za tymi magazynami - zdecydował Marek, chuchając w złożone dłonie.

- Nie wyrzucą nas? A jeśli ktoś wezwie policję?

- Ninka, musimy się trochę ogrzać, bo porobią się nam odmrożenia, a z nimi na pewno daleko nie zajdziemy.

Sam jednak najchętniej zostałby w miejscu, gdyż każdy ruch sprawiał mu ból. Byli nieludzko zmęczeni. Miał ochotę wychłostać samego siebie za głupotę i krótkowzroczność.

- Coś mi się wydaje, że nasz plan miał zbyt wiele dziur - mruknął Jacek.

Marek parsknął śmiechem.

- I ty to w ogóle nazywasz planem? - Chłopaki, to moja wina... - Nina miała łzy w oczach. - Ale ja już naprawdę...

- Spokój! - fuknął Marek. - Sami chcieliśmy się stamtąd wyrwać. To my cię tak naprawdę namówiliśmy. Idziemy.

Gorączkowo próbował zebrać fakty, by jakikolwiek załazek pomysłu pojawił mu się w głowie. Prawda jednak była okrutna. Nie mieli dokąd iść. I byli niepełnoletni. Wiedział, że daleko nie zajdą. Ważne jednak, by nie musieli wracać do miejsca, z którego uciekli. Nigdy więcej.

Spojrzał na drobną sylwetkę Niny.

Znaleźli ją trzy dni temu, skuloną na łóżku, plecami do pokoju, twarzą do ściany, kiwającą się rozpaczliwie. Gdy ją odwrócili, najdelikatniej, jak tylko potrafili, wrzeszczała wniebogłosy, łkając i zawodząc. Przerażeni, nie wiedzieli, co robić. W końcu przykryli ją całą kocem, nie zostawiając na widoku nawet czubka głowy. Siedzieli przy niej, mówiąc cicho to, co zawsze opowiadali sobie w chwilach spędzanych na snuciu marzeń.

Minęły trzy godziny zanim pozwoliła się znowu dotknąć. Po omacku chwytła ich dłonie, co kilka sekund sprawdzając, czy aby należą do nich, a nie do kogoś innego.

- Jestem brudna, jestem brudna, jestem brudna... - mamrotała i otrzepywała się z niewidocznego dla nich brudu.

Nie wiedzieli, co robić. Nie mogli po nikogo iść. Jacek bezgłośnie łykał lzy i patrzył na Marka wzrokiem z niemym pytaniem: co teraz?

Boże, skąd ja mam to wiedzieć? - myślał wtedy.

- Może ją umyjemy - zaproponował nieśmiało Jacek, sam wstydząc się tego pomysłu.

Marek spojrzał na niego uważnie.

- To wcale nie jest takie głupie.

Krok po kroku doprowadzili ją w końcu do łazienki. Ze zdziwieniem zauważyli, że przyjęła to z wdzięcznością. Trzęsącymi się rękami zdjęła z siebie sweterek i spódniczkę.

Marek wydał z siebie jęk. Jacek nie wytrzymał i zwymiotował, ledwo dopadłszy muszli klozetowej.

Całe plecy, brzuch i ledwo zaznaczające się piersi miała pokryte podbiegłymi krwią siniakami i poparzone papierosami. Po udach wcześniej musiała spłynąć jej struzka krwi, teraz zakrzepła, jak wyraźny dowód zbrodni.

- To nie on - szepnął Marek bezgłośnie. - On by nie zostawił śladów.

Chwycił się za włosy, szarpnął raz i drugi.

- To te suki! Pierdolone suki!

Nina stała na środku łazienki, naga, z przerażeniem w oczach.

- Nie, nie, nie, nie, nie... - błagała, nie wiedząc właściwie o co.

Przykucnęła w nagłym spazmie na zimnych podłogowych płytkach, rozczapierzając dłonie i szukając po omacku, sama nie wiedząc czego.

Pierwszy opanował się Jacek.

- Ninka, wszystko w porządku. - Wyciągał w jej stronę mydło na dłoni. - Weź. Twoje ulubione. Rumiankowe. Napuszczę ci wody do wanny Chcesz? Ciepłej.

Skinęła głową.

Brała kąpiel, szorując skórę do czerwoności, mimo ran. Nie czuła bólu. Oni siedzieli na zimnej podłodze, tępo patrząc na siebie.

Na drugi dzień we troje uciekli.

Na dworcu śmierdziało bezdomnymi. Ławki zajęte były przez skulone postacie odziane w cały

swój od dawna nieprany dobytek. Słodkawy, przyprawiający o mdłości odór oznaczał jednak również, że tu jest z całą pewnością ciepło.

Nikt nie zwracał uwagi na stałych bywalców poczekalni. Co innego jednak, gdy w środku nocy wpadają do niej zmarznięte nastolatki o rozbieganych i wystraszonych oczach, zachowując się, jakby chciały być niewidzialne.

Lidia, pełniąca tej nocy dyżur przy jedynym czynnym jeszcze okienku, przez jakiś czas obserwowała trójkę dzieciaków. Obawiała się najpierw, że to zwykli chuligani, popiwszy wcześniej, teraz szukają guza. Po kilkunastu minutach jednak zaniepokoiła się ich wyglądem. Sama miała syna mniej więcej w ich wieku. Potrafiła też rozpoznać, kiedy dziecku dzieje się krzywda. A oni tak właśnie wyglądali.

Zostało jej pół godziny do końca pracy. Chwyciła za słuchawkę i zadzwoniła na wewnętrzny, pod którym powinien być Wiesław. Ochroniarz natychmiast odebrał.

-Wiesiek, powinieneś tu przyjść. Jakies dzieciaki próbują się zagrzać w poczekalni. Nie, nie, są spokojne, ale coś mi się tu nie podoba. I weź czajnik z gorącą wodą.

Pewniejsza, bo w towarzystwie kolegi, z dwiema szklankami herbaty w dłoniach wyszła do nich zza drzwi prowadzących do pomieszczeń służbowych.

Najpierw poderwali się do ucieczki. Ale widok gorącego napoju w rękach kobiety podziałał jak magnes.

- Coście tacy zmarznięci, co?

Na te słowa, gest i ton, którym je powiedziała, zareagowali zupełnie nieoczekiwanie.

Odrobina

troski obcej osoby okazała się kroplą przełamującą długo budowaną tamę. Jak na komendę z oczu całej trójki popłynęły łzy.

Urywanymi zdaniem, prosząc, sami nie wiedząc o co, i na przemian opowiadając, wyrzucili z siebie wszystko.

Godzinę później przed poczekalnią PKS we wciąż padającym śniegu stały dwa radiowozy, migając w ciszy niebieskimi kogutami.

Młody aspirant na darmo jednak przekonywał łagodnie trójkę dzieciaków, kurczowo się obejmujących:

- Dwoma samochodami będzie bezpieczniej i wygodniej. To potrwa tylko kilkanaście minut. Nikt was nie rozdziela. Obiecuję, że na posterunku będzie cała trójka.

Spojrzał ponad wciśniętymi w ramiona głowami na kolegę, kręcąc z niedowierzaniem głową. Stanowili jednak tak żalony widok, że w końcu obaj ulegli. W jednym radiowozie, wciąż trzymając się za ręce, cała trójka ze strachem o to, co będzie dalej, pojechała na pobliski komisariat.

W chwilach świadomości przeżywała wciąż na nowo moment upadku i łoskot śniegu. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, nie wiedziała, gdzie jest, nie pamiętała nawet, skąd się tu wzięła. Miała mglistą świadomość, że nie powinna być tu sama, nie powinna być w tym miejscu.

Bolały ją zębra i lewa noga. Pod ręką wyczuwała swój plecak. Nie była jednak w stanie się ruszyć. Domyślała się, że musiało minąć już kilka godzin, robiło się coraz ciemniej. Śnieg padał jakby mniejszy, ale przed oczami Niny znowu wszystko rozmazało się w mgłę. Wydawało się jej, że ktoś ją szarpie, co sprawiało jej niewysłowiony ból. Zaprotestowała słabo. Była taka zmęczona. Chciała odpocząć. Sen wydawał się jedynym ukojeniem. Wtedy nie czuła, jak ból ogarnia niemal całe ciało. Był ciepłym i dawał złudne poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo teraz potrzebowała.

Poczuła mocny uścisk i ktoś szarpnął ją nieostrożnie. Jęknęła w proteście.

Powoli zaczęła wracać jej świadomość i z otaczającej mgły wyłoniły się nieco zamazane kontury mającej nad nią postaci. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to okulary zasłzy jej warstwą szronu. Zdjęła je więc niezdarnie i zobaczyła twarz, na której widok zamarł jej oddech. Była jednak zbyt słaba, by w jakikolwiek sposób zareagować, a po chwili znowu dryfowała na fali letargu.

Mężczyzna był mocnej postury, ale i tak dźwignięcie dziewczyny i plecaka sprawiło mu nieco trudu. Kiedy zsunął mu się kaptur, wyjrzała spod niego pokryta bliznami po poparzeniach lewa strona twarzy, nieco zasłonięta przez dość długi zarost. Widok był przerażający.

Wrażenie potęgowało lewe oko, na wpół przymknięte, przykryte niekształtną fałdą skóry. Takie oblicze w połączeniu z dużym, silnym ciałem mogło budzić przerażenie.

Poruszał się bardzo sprawnie i pewnie. Po minie i pomruku, wydobywającym się z gardła, można było wnioskować, że wcale nie jest zadowolony z zaistniałej sytuacji. Rozzłościła go głupota turystów.

- Schodzić ze szlaku, kiedy wszędzie stoją ostrzeżenia, by tego nie robić! Co za debile! Jak byk stoi, żeby iść przez Chudą Turnię!

Widział lawinę i zastanawiał się, gdzie są jej towarzysze. Zauważył ich rano, jak szli w kierunku

Ciemniaka; obserwował ich, zdziwiony, że zdecydowali się wyruszyć w tak niepewną pogodę. Ale oprócz niej nie znalazł nikogo. Zawiadomił już TOPR.

Nie przypuszczał, by tamci mieli tyle szczęścia co ona. Wygląd nieba wskazywał, że zamieć wcale się nie skończyła, będzie więc musiał zająć się nią sam.

Popatrzył z niechęcią na delikatne dłonie i zupełnie nowy strój. Kurtka, co prawda zupełnie dobry goreteks, była czystutka i bez oznak użytkowania. Mógł się założyć, że na stopach znajdzie odciski od nierozchodzonych jeszcze butów.

Ułożył ją troskliwie na ziemi. Wyglądało na to, że jedynie złamała nogę. Nie chciał zrobić jej krzywdy a nie był pewien, czy nie ma żadnych wewnętrznych obrażeń. Wiedział aż za dobrze, że nie ma żadnego wyboru. Okrył dziewczynę śpiworem wydobytym z plecaka i szybkim krokiem skierował się w miejsce, gdzie ją znalazł.

Dokładnie badał okolicę w nadziei, że znajdzie jakiś ślad. Wiatr się wzmaczał. Spróbował ponownie połączyć się z TOPR-em. Bez skutku. Wiedział, że to wina pogody. Nie przypuszczał zresztą, by śmigłowiec wystartował w taką zamieć.

Nie miał wyjścia. Musiał zabrać stąd dziewczynę. Najostrożniej jak umiał, zupełnie jakby miał do czynienia z nowo narodzonym, nieporadnym źrebięciem, zaczął schodzić w kierunku pozostawionego nieopodal dolinki skutera. Czekало go przejście granią, a potem został mu las złożony z małych świerków i kosodrzewiny. Gdy na dnie doliny zobaczył trzy małe czarne punkciki na tle hektarów lasów, wiedział, że już blisko do pozostawionego tam wcześniej skutera. Sypało strasznie.

Wreszcie dotarł do maszyny, umieścił dziewczynę przed sobą i ostrożnie ruszył w kierunku domu.

Modlił się, by nie popełnić jakiegoś błędu, przez który dziewczyna ucierpi jeszcze bardziej. Niezmiennie mrużąc pod nosem, dotarł wreszcie do granicy swojej działki.

Obudziła się w momencie, kiedy kładł ją na łóżku. W pomieszczeniu panował półmrok, co dodatkowo uniemożliwiało jej dokładne zorientowanie się w sytuacji. Czuła jednak miłe ciepło, które po tak długim wyziębieniu zdawało się niemal obce. Noga i zebra cały czas nie dawały o sobie zapomnieć, tym bardziej że wybawca chyba nie zdawał sobie sprawy z rozległości jej obrażeń. Niezdarnie próbował ściągnąć z niej kurtkę i spodnie, urażając raz za razem wszystkie bolące miejsca. Nina zaczęła cicho pojękiwać, co chyba zdenerwowało mężczyznę, bo zaczął po swojemu mrużyć niezadowolonym tonem. Oczy dziewczyny powoli przyzwyczajają się do panującego półmroku i z cienia zaczęły wyłaniać się rysy jej wybawcy. Nina, zaskoczona wyglądem jego twarzy, nie potrafiła ukryć zdziwienia przemieszanego ze strachem, które pojawiły się w jej oczach.

Mężczyzna to zauważył, jego ruchy stały się jeszcze bardziej niecierpliwe. Niezdarnie i zbyt mocno chwycił ją w miejscu, gdzie zebra bolały najbardziej, i Nina odpłynęła.

Ocknęła się jakby z koszmarnego snu i poczuła chłód.

Tylko nie to... - pomyślała. Nie chcę znowu czuć zimna.

Zaczęła szcekać zębami. Wtedy pojawiła się nad nią postać. Mężczyzna o pokiereszowanej twarzy spojrzał na nią uważnie, a później zniknął.

Poczuła, że jej ciało otula coś miłego i miękkiego. Powoli zaczęło ogarniać ją ciepło, które pozwoliło znowu zapaść w sen. Miała świadomość, że budziła się kilkakrotnie, ale wszystkie te chwile wydawały się równie odległe jak dom, w którym bardzo chciała teraz być.

Sny, w których pojawiały się twarze towarzyszy podróży, męczyły ją niczym fizyczne tortury. Prawie namacalnie czuła każdy ich dotyk. Potrafiła wtedy tylko płakać, jakby wiedziała, że nie może im pomóc.

Ten stan trwał kilka godzin, ale Nina nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Jej świadomość tkwiła w miejscu, gdzie znalazł ją mężczyzna.

A ten, siedząc za stołem, był raczej zaniepokojony niż zdenerwowany. Gniew ulotnił się już po paru chwilach od znalezienia dziewczyny. Nie rozumiał, co mówiła przez sen, ale kilkakrotnie wyłapał w jej majakach imiona dwóch mężczyzn.

Uważnie obserwował chorą. Niepokoił go jej stan.

Złamanie nogi wydawało się czyste, ale czy zebra były połamane, czy jedynie obite, nie wiedział. Poza tym co jakiś czas z płuc śpiącej wydobywał się niepokojąco brzmiały kaszel. Towarzyszyły mu zrozumiałe jęki bólu.

Miał dość czasu, by się jej przyjrzeć. Była bardzo delikatna, krucha. Teraz, z przezroczyście od choroby cerą, wydawała się istotą nie z tego świata. Włosy leżące w nieładzie na poduszce



miały kolor miedzi, a ogień strzelający w kominku połyskiwał w nich złotymi refleksami. Jej oczy zaskoczyły go intensywnością spojrzenia i niesamowicie jasną tęczę, ni to szarą, ni niebieską. Bardzo przypominały wodę. Gdy nagle otwierały się z koszmarne snu, były jeszcze bardziej niesamowite.

Wiedział, że patrząc na niego, wcale tak naprawdę go nie widzi. Znał dobrze reakcje ludzi na swój wygląd. Ona nie reagowała nań wcale.

Dotknął dłonią swojej pokrytej bliznami po oparzeniach twarzy i wzdrygnął się, jakby sam wystraszony. Mieszkając daleko od wszystkich, miał spokój i nikomu niczego nie musiał tłumaczyć.

Zbyt wiele złego doświadczył od ludzi, żeby za nimi tęsknić.

Dziewczyna, ze swoim wyglądem, była jego zaprzeczeniem.

Delikatnych rysów nie oszczędziły nawet głębokie sińce pod oczyma i drobne zadrapania. Skóra na lekko wystających kościach policzkowych była teraz zaróżowiona od gorączki, a pełne usta popękane. Mimo to, patrząc na nią, miał wrażenie, że widzi niebanalną piękność.

Wreszcie udało mu się dodzwonić do TOPR-u. Najdokładniej jak umiał zdał relację ze stanu Niny. Potem, by zająć myśli czymś innym, włączył telewizor. Przeskakując z kanału na kanał, zatrzymał się, gdy w wiadomościach pokazali znajomy mu widok.

„...lawina porwała troje turystów. Dwaj mężczyźni i kobieta wspinali się w rejonie Ciemniaka w paśmie Czerwonych Wierchów w Tatrach Zachodnich. Według nieoficjalnych informacji odnaleziono tylko Ninę Kowalik. Jej stan jest dobry. Nadal trwają poszukiwania Marka Święcickiego i Jacka Zelmana, doświadczonych taterników”.

Zdjęcia pokazujące zbocze najwyraźniej były archiwalne, ale mimo to Wiktora przeszedł dreszcz. Na ekranie pojawiła się twarz zakopiańskiego korespondenta, stojącego w zamieci, od której mrużył oczy.

„Według ratownika dyżurnego w rejonie Ciemniaka poruszała się trzyosobowa grupa, wspomniana kobieta i dwóch doświadczonych taterników. Jeden z nich najprawdopodobniej wszedł na nawis śnieżny i to spowodowało zejście lawiny, która go porwała, a potem pociągnęła za sobą pozostałych”.

Komputerowa animacja pokazała, jak mógł wyglądać upadek. Trzy kukielki w mgnieniu oka zniknęły za białą mgłą. Wszystko trwało kilkanaście sekund. Dziennikarz kontynuował:

„Nieoficjalnie też dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie to inni turyści, znajdujący się na sąsiednim zboczu, wezwali na pomoc TOPR. Na miejsce wypadku, mimo niesprzyjającej pogody, poleciał śmigłowiec z siedmioma ratownikami na pokładzie, ale niestety pogarszające się warunki zmusiły ich do powrotu do bazy. Komuś jednak udało się dotrzeć do poszkodowanej w wypadku Niny Kowalik i przewieźć ją w bezpieczne miejsce. Nie wiemy jednak, komu i dokąd. Tych informacji ratownicy nie chcieli nam udzielić. Jest z nami kierownik stacji pogotowia górskiego, ratownik Jan Spaślica. Proszę powiedzieć, co wiadomo o stanie turystki?”.

Zmieszany nieco mężczyzna odchrząknął, wpatrując się w mikrofon podetknięty mu pod nos. Wziął oddech i zaczął tłumaczyć:

„Kobieta jest w dobrym stanie, tylko lekko wychłodzona i ma złamaną nogę. Więcej obrażeń na razie nie można było stwierdzić. Czekamy, aż obejrzy ją lekarz. Muszę też przyznać, że grupa była bardzo dobrze wyekwipowana, mężczyźni doświadczeni, zresztą znani toprowcom ze wspólnych wypraw. Jednak lawina okazała się tak duża, że nikt nie miał szans na kontrolowane utrzymanie się na powierzchni. Tu decydowało jedynie szczęście”.

Kamera ponownie pokazała skupioną twarz dziennikarza:

„W Tatrach obowiązuje czwarty, w pięciostopniowej rosnącej skali, stopień zagrożenia lawinowego. Wiejący przez ostatnie kilka dni silny wiatr spowodował powstanie dużych nawisów śnieżnych. Według TOPR-u śnieg leży na zlodzonym podłożu, a to zwiększa niebezpieczeństwo zejścia lawiny nawet przy małym obciążeniu tego fragmentu szlaku. Tak

doświadczeni taternicy powinni byli to przewidzieć. Będziemy śledzić poszukiwania i na bieżąco informować państwa o stanie turystki".

Wiktor wyłączył telewizor. Zabrali tę kobietę na wcale nie taki łatwy w tych warunkach szlak. Aż tak wierzyli w swoje umiejętności, że miało ich starczyć również dla niej?

Podszedł do lustra i wzdrygnął się na widok swojej twarzy, choć zdołał się do niej już nieco przyzwyczaić. Nie zawsze tak przecież wyglądał.

#### ROZDZIAŁ 4

Był środek lata. Wracał do domu. Za oknem migały mijane domostwa, przesuwały się pola i lasy, przechodzące metamorfozę zwyczajną o tej porze roku. Zieleń nieco przyblakła, ustępując żółci wywołanej zbyt długo trwającą suszą. Za każdym razem, gdy widział mniejsze i większe miasteczka, zastanawiał się, czy to przypadek, że z perspektywy torów wszystkie miejscowości wydają się brzydkie, zaśmiecone i smutne. Zupełnie jakby tory prowadzono przez najbrzydsze części kraju, celowo wzbudzając u podróżnych niekoniecznie pozytywne refleksje. Pociąg tłukł się niemilośnie na wysłużonych szynach, a jemu każdy mocniejszy stukot sprawiał ból.

Miał kaca.

Nie tylko z powodu alkoholu wypitego poprzedniej nocy.

Przed oczyma przesuwały mu się obrazy wydarzeń i na myśl o nich mimowolnie z jego gardła wydobył się jęk. Dla niego impreza skończyła się dość szybko. Lila wciąż dolewała mu piwa, które dziwnie szybko sprawiło, że przestał kontrolować sytuację. Teraz oskarżał się o głupotę, bo powinien wiedzieć, czym chrzczono browar na imprezach.

Bardzo szybko zasnął w jakimś pustym pokoju.

Obudziły go dwie pary rąk, które pozbawiały go ubrania. Dwie pary oczu i dwie pary ust chichoczących na widok jego ciała. A potem... Nietrudno przewidzieć, jak zachowa się ciało dorosłego mężczyzny, który bardzo długo żyje w ascezie. Nawet jeśli umysł broni się ostatkiem sił, przymulony wypitym alkoholem. Zakrył dłońmi twarz.

Kompromitacja.

A myślał, że jest odporny na te wszystkie głupawe dziewczyny z kampusu, które budziły w nim tylko politowanie. Wczoraj jednak... Ech, szkoda gadać. Czuł niesmak. Znowu zrobiło mu się niedobrze i ledwo zdążył do śmierdzącej toalety na końcu wagonu.

A zaczęło się tak niewinnie.

Wielka ognista kula powoli wysunęła się zza starej kamienicy, widocznej z okna pokoju. Wyjrzał przez nieco przykurzoną szybę. Na zewnątrz piasek nagrzewał się od promieni słonecznych i niemal natychmiast oddawał ciepło. Przechodnie powoli przesuwali się drogą widzianą z oddali jedynie skąpymi szarymi fragmentami. Wraz z nimi na podobieństwo żywego strumienia ulicą płynęło gorące powietrze. Ciepło wsiąkało w najwęższe uliczki, zostając tam już na zawsze, zmieszane z odorem niemytych ciał nasiąkniętych tanim alkoholem.

Otrząsnął się z nieprzyjemnego chwilowego zamroczenia, zrzucając z siebie resztki snu.

Przez chwilę chciał nawet popłynąć razem z tłumem do centrum miasta, oddychać tym spoconym nieco powietrzem z zupełnie innej perspektywy.

Pogłodził zimny jeszcze lastrykowy parapet. Uchylił okno. Zapach bzu, unoszący się w powietrzu, nieco ukoił nerwy. Napił się wody ze stojącej przy łóżku szklanki. Zimno rozlało się wewnątrz ciała, doskonale je chłodząc. Leniwie i sennie zaczynał się ten dzień, rozpędzając mgły po chłodnej nocy. Trochę nawet ich żałował, patrząc, jak tuliły się w niemej pieszczocie do ścian z czerwonej cegły i wyliniałych trawników. W końcu uznały zwycięstwo poranka i znikły. Na wzgórzu ukazało się miasto z iglicami katedry, licznymi gmachami i poźółkłą zielenią zaniedbanych skwerów. Przejrzało się dumnie w nurtach rzeki. Stojąc w otwartym oknie, zaśmiał się do siebie niespodziewanie. Cóż z tego, że mieszkał na zatęchłym poddaszu staromiejskiej kamienicy?

To już zresztą nie potrwa długo.

W pokoju z paroma najniezbędniejszymi sprzętami jasnym blaskiem odbijała się pościel, niemal nienaruszona w czasie snu. Nic dziwnego. Ze zmęczenia nawet śniąc, nie był w stanie się przewracać. Jak zaległ w łóżku trzy godziny temu, tak obudził się przed kilkoma minutami. Rozejrzył się po niezamiecionych kątach i jakby dopiero dostrzegł ziejącą z nich pustkę. Nietrudno było się domyślić, że bieda w swej ziemskiej wędrówce często tu zaglądała. Nie z konieczności jednak, ale z zaniedbania mieszkańca, bo przecież gdyby tylko chciał, mógłby żyć wygodniej. Ale to i tak było tymczasowe.

Zadumał się. Przez małe okienko widział spiętrzone dachy kryte czerwoną dachówką, kominy, a dalej - w dole - srebrzyła się rzeka. Z wieży kościelnej melodyjnie rozległ się dźwięk sygnaturki. Monotonne nieco popłynęło w dal echo dzwonu, a zawtórowało mu wkrótce trąbienie klaksonów naciskanych przez kierowców, nieco już zdenerwowanych koniecznością stania w porannym korku. Miasto budziło się, nabierając pędu, do kolejnego dnia. Przeciągnął się, aż zachrzęściły kości. Zaszumiało mu w skroniach, ziewnął więc, dotleniając mózg. Czas było się zbierać na jeden z ostatnich egzaminów. Krętymi uliczkami staromiejskiej dzielnicy zdążył krokiem równym i szybkim. Rosły i gibki, ale nadal trochę pognieciony. Pogwizdując cicho, z rękami w kieszeniach, zamyślony, wyminął kilku przechodniów i skręciwszy w akademicką uliczkę, wąską i głuchą, znalazł się na niej zupełnie sam. Po chwili jednak zza węgła staroświeckiego gmachu wysunęły się dziewczęce postacie obserwujące go z ciekawością.

W ich oczach nie wyglądał ani na jednego ze studentów, ani na cherlawego wykładowcę. Jego sylwetki nie maskowała nawet spuszczone głowa, zgarbione plecy i wbity w ziemię wzrok. Jak zresztą można ukryć niemal dwa metry wzrostu, szerokie bary i koci chód? Był odludkiem i budził mieszane uczucia. Nikt nie szukał z nim bliższego kontaktu, a i on o to nie zabiegał. Był mrukiem, na zajęcia przychodził w ostatniej chwili. Nie miał zwyczaju wystawać pod budynkiem i rozmawiać z rówieśnikami tłoczącymi się przed aulą. Po wykładach szybko wracał do swojego pokoju. Plan był bowiem prosty, a on zawsze trzymał się wytyczonego celu. Miał to po ojcu, który dzięki temu osiągnął z niczego tak wiele. Zresztą musiał się spieszyć, miał skończone dwadzieścia pięć lat. Starszy od statystycznego studenta, starał się nadrobić stracony czas, zaliczając po dwa semestry w jeden. Nie czuł więzi z otaczającymi go ludźmi.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

- A ten?

- Oszalałaś?! Wiktor?! - Julia zaśmiała się, zaskoczona.

- Dlaczego? - W oczach Liliany zamigotały iskierki przekory.

- Przecież on nie przyjdzie! Zresztą spróbuj wydobyć z niego chociaż jedno pełne zdanie!

- Tak sądzisz?

- Lila! Nie sądziłam, że jesteś taka zdesperowana. Bierzesz się już za dziwolągów?

Ale Lila już jej nie słuchała, energicznie zmierzając w kierunku Wiktora. Ten w niemym zdziwieniu wysłuchał wyrzuconego jednym tchem tekstu brunetki, która nie wiadomo skąd wyrosła mu przed oczyma.

- Jutro robimy pożegnanie roku w damskim. Przyjdziesz?

Wydeła przy tym usta, być może w przeświadczeniu, że taka mina dodaje zmysłowości.

Otaksował ją wzrokiem.

Dziewczyna faktycznie była ładna, co zresztą ewidentnie wykorzystywała, preżąc się w zabawny sposób. Miała na sobie podkreślający biust trykot i krótką spódnicę odsłaniającą smukłe i wysportowane nogi.

Znał takie bardzo dobrze. Przyjeżdżały z tatusiami po konie do hodowli.

Nie był głupi. Wiedział, że musi się za tym coś kryć. Nie był w ich typie. Nie chodził na imprezy, nie jeździł samochodem, nie ubierał się w markowe ciuchy.

- Dlaczego?

Zbita z tropu Lila, która zupełnie nie spodziewała się tak prozaicznego pytania, odpowiedziała dopiero po chwili:

- A dlaczego nie?

Patrzył na nią, rozbawiony niedorzecznością sytuacji, a jeszcze bardziej zakłopotaniem dziewczyny.

- Brakuje wam facetów? - Mrugnął do niej, czując się trochę jak starszy wujek, chcący zrobić przysługę młodszej, ale bardzo atrakcyjnej i głupiutkiej kuzynce.

Zarumieniała się, zła na reakcję, nad którą nie umiała zapanować. Przez myśl jej przemknęło, że to jednak nie jeden z tych głupkowatych chłopaków, którzy ją adorowali. Dopiero teraz zauważyła, że jest nie tylko starszy, ale też dojrzalszy, co zupełnie umknęło jej wcześniej. Była zła na siebie i własną głupotę. Ale na wycofanie się było za późno. Zwłaszcza że wszystko obserwowały dziewczyny.

- Hmm... Szczerze mówiąc, to też. - Roześmiała się, nadal zawstydzona.

- Może przyjdę.

Sam nie wiedział, dlaczego się zgodził, ale chyba był to skutek rozbawienia, jakie odczuł na widok zmieszania na twarzy dziewczyny. Poczucie, że to on panuje nad sytuacją, spowodowało podjęcie zupełnie niezrozumiałej dla niego samej decyzji.

Wracała do koleżanek wyraźnie niezadowolona. Nie wiedziała, jak poradzić sobie ze świadomością, że nie została potraktowana tak, jak do tego przywykła. Z drugiej strony jednak mogła mieć pretensje tylko do siebie. Pomyślała, że zbyt długo już przebywa w towarzystwie zanadto rozbawionych, przygłupawych koleś z kampusu i koleżanek o inteligencji

plazów. Przede wszystkim była jednak zła na Wiktora. Bo okazał się za bardzo inny, niż zakładała. A nie była przyzwyczajona do tego, że czegoś w pełni nie kontroluje.

- I co? - dopytywały dziewczyny.

- Przyjdzie, przyjdzie... - Machnęła niedbale ręką. - Ale powiem wam... Jest dziwny. Nie wiem, czy to był do końca taki dobry pomysł.

Wzruszyła ramionami i przygryzła wargę.

Wiktor, nieświadomy wcześniejszych obaw dziewczyn, teraz, siedząc w pociągu, był już pewien, że pójście na imprezę okazało się czystą głupotą. Chcąc się zabawić kosztem przygłupich, jak sądził, dziewczyn, sam stał się obiektem kpin. Teraz pragnął jedynie wrócić do domu. Zająć się końmi, wspólną pasją jego i ojca. Za długo był poza domem. Rodzicom bardzo jednak zależało, by skończył studia i otworzył się bardziej na innych. To pierwsze się udało, drugie... może niekoniecznie. Co prawda na samym początku niektórzy studenci szukali z nim kontaktu, znając doskonale ich hodowlę, gdyż studiowali z nim i pasjonaci hippiki. Ale on, skupiony na nauce, swym mrukliwym usposobieniem skutecznie zniechęcił wszystkich do kolejnych prób nawiązania przyjaźni. Można z nim było godzinami rozmawiać o koniach, ale przecież życie nie kończyło się na zwierzętach.

Zamyślił się, patrząc w okno. Rodzice często opowiadali mu, jak to wszystko się zaczęło. Poznali się, gdy byli jeszcze oboje nastolatkami. Pracowali w tej samej stajni. Już wówczas wiedzieli dokładnie, co w przyszłości chcą robić. Początkowo łączyła ich tylko pasja, potem połączyło i uczucie.

Ojca zmobilizowała do działania miłość do koni, które na jego oczach cierpiały. I lży młodziutkiej dziewczyny, niemogącej pogodzić się z warunkami, w jakich trzymano zwierzęta. Próbowali jeździć w pobliskiej stajni, jedynej w okolicy, która utrzymywała się głównie z krycia klaczy. Wówczas stały tam trzy. Wraki koni. Dwie spośród nich miały żrebaki, choć same ledwo stały na nogach. Te opadnięte grzbiety, na których wyraźnie można dostrzec zarys kręgosłupa. Te obwisłe brzuchy, po których widać, że właściciel nie oszczędzał klaczy.

Cierpieli, patrząc na te warunki. Na klacz mającą za mało mleka, obok której biegał radośnie chudy źrebak, bez szans na prawidłowy rozwój. Wyciągający pysk w stronę matki jakby z żalem, że ciągle jest nienajedzony. Konie całymi dniami stały w ciasnym boksie, nie widząc słońca. Jedna klacz miała zaawansowaną zaćmę, ale nikt się

o nią nie troszczył. Była tylko od tego, aby rodzic

1 odchowować źrebce. Dawno nieczyszczona, nie-strugana, niegłaskana, niedotykana.

Dwoili się i troili, nie zważając na przytyki właściciela. Płacili jednak za jazdy i odwalali brudną robotę w stajni, ograniczał się więc jedynie do głupich złościwości.

W drugim budynku stały ogiery. I choć miały nieco lepsze warunki, ich trening był poważnie zaniedbany. Czołowy „rozplądniacz” miał trwale uszkodzone nogi. Zero mięśni, sama skóra i kości, zdziczały, wyprawiał się nawet na wałachy. Świata zewnętrznego, podobnie, jak klacze, na co dzień nie widział.

I padok w oplakany stanie. To było wszystko, co potrafił zaoferować właściciel.

Tuż obok ogiera stał brat sławnego Wielanda. Kastrat! Wołało to o pomstę do nieba. A powód okaleczenia tak wartościowego konia? Podobno był niebezpieczny dla otoczenia, szczypał.

Rzucał się, nie pozwalał dotykać. Gryzł. Poza tym był nieproporcjonalny. Typowa krzyżówka beznadziejnej klaczy z pola i „superogiera”. Nikt nie zadał sobie wcześniej trudu, by pracować z tym koniem, by wyciągnąć z jego predyspozycji te najlepsze.

Wiktor pamiętał, jak ojciec opowiadał o tym, za każdym razem tak samo gestykulując, z malującym się zatroskaniem na twarzy.

- Pamiętaj, że nie tylko pochodzenie koni rozplodowych jest ważne!

Uśmiechnął się na wspomnienie wzburzonego ojca.

-To jest o wiele bardziej skomplikowane! Wyjątkowo ważna jest kondycja rodziców! Gdy są w kwiecie wieku, regularnie trenowani, otaczani opieką i zwykłą życzliwością, sytuacja może zmienić się radykalnie. Źrebak po takich rodzicach będzie bardzo dobry użytkowo. Pamiętaj, synu, klacz, która regularnie zażywa ruchu, będzie dawała lepsze i zdrowsze źrebce. A przede wszystkim będzie miała szansę dotrzymać ciężę.

Wiktor mimowolnie poruszał ustami, jakby powtarzając za ojcem:

- Ogier musi mieć żelazne zdrowie, by dać podobnego potomka. Nie wystarczy tylko dobry papier. Ale też i nie warto kryć klaczy bez pochodzenia nawet wybitnym ogierem, bo nie wiadomo, co za licho z tego połączenia wyjdzie. Na źrebaka mogą wpłynąć geny dziadków lub nawet pradziadków.

Rodzice niemal codziennie niestrudzenie wertowali dostępną literaturę. Dzięki temu odkryli, że by odnieść sukces, muszą przede wszystkim zadbać o to, aby nie sprzedawać nigdy najlepszych koni i nie zostawiać w hodowli najslabszych osobników. Gdyby wpadli w to błędne koło, szybko skończyliby podobnie jak inni hodowcy. Zmęczeni, pozbawieni złudzeń i zapału do dalszej pracy. A tego bardzo chcieli uniknąć.

Rodzice Wiktora, których połączyło wspólne marzenie, nie chcieli, by trzeba było wyjeżdżać za granicę po dobrego konia. Nie chodziło im też jednak o stworzenie drugiego Janowa Podlaskiego. Dlatego w ich stajniach pojawiły się nie tylko konie półkrwi arabskiej, lecz także idealne w górach haflingery i hucyły. Konie nieduże, ale twarde i niewybredne, odporne na choroby i trudy życia.

Wrodzony spokój i doskonale zrównoważenie tych zwierząt sprawiły, że chętnie dosiadali ich nawet początkujący adepci sztuki jeździeckiej. Zaskakiwały laików swoją inteligencją, gdy na przykład badały kopytem kładki na potoku. Ten niewielki konik powoli odzyskiwał swoją wielkość. I stawał się coraz droższy. W końcu ceną czasami dorównywał dużym rasom.

I wtedy, gdy byli już w połowie drogi, zmarła mama. Cicho, we śnie, kiedy w ogóle się tego nie spodziewali. Wiktor zamknął się w sobie jeszcze bardziej, a ojciec z jeszcze większą pasją poświęcił koniom. Nawet po śmierci żony robił wszystko tak, jak według niego podobałoby się jego Marysi.

Czasem Wiktor przyłapywał ojca na mówieniu do portretu mamy, jakby chciał skonsultować się z nieżyjącą już żoną.

Zrozumiał wtedy, że choć rodzice kochali go bardzo, to najwięcej miłości czuli do siebie nawzajem.

Nie był o to zazdrosny, choć trochę zazdrościł im tak głębokiej więzi, myśląc czasem, że sam chciałby takiej doświadczyć... kiedyś.

Krajobraz za oknem zrobił się górzysty. Humor nieco mu się poprawił na myśl, że już niedługo wróci do świata, gdzie wszystko ma swoje miejsce. Niewymuszone i naturalne. A bieg rzeczy ma określony porządek. Dzień miał się ku końcowi. Wiktor wiedział, że tak naprawdę uciekł, ale doszedł do wniosku, że nie ma ochoty zostawać na uczelni tylko po to, by uczestniczyć w uroczystym rozdaniu dyplomów. Dla niego liczyło się jedynie, że skończył studia i jest wolny. Może teraz skupić się na ważniejszych sprawach. Hodowla. Tylko to miało teraz znaczenie.

Od przykrych wspomnień oderwała go myśl, że oto jest już prawie w domu. Pociąg właśnie zatrzymywał się na końcowej stacji. Zakopane.

Z niecierpliwością przemierzał drogę dzielącą go od domu. Zrezygnował z jazdy busem. Pieszko skierował się w stronę Gronika. Niemal po godzinie wreszcie jego oczom ukazał się upragniony widok.

Budynek był piętrowy, wzniesiony z bali. Stał na niespełna hektarowej działce porośniętej trawą. Obok ciągnęły się stajnie z przybudówkami dla pomocników, za domem znajdował się rozległy padok. Wokół rosły grusze i jabłonie, a skierowana w stronę otwartej przestrzeni ściana miała duże czterokrzydłowe wyjście na taras, na którym kwitły dzikie róże. Kiedyś duma jego matki. Za drogą pod regłami mieli jeszcze kawał łąki, na której wypasali konie. I ta cisza.

Niezmacona żadnymi natrętnymi odgłosami, przerywana jedynie naturalnymi dla otoczenia dźwiękami.

Naprawdę był w domu.

Mieszkał tu prawie całe życie, ale to nie przeszkadzało mu wciąż na nowo odkrywać uroków niczym nieskrępowanej przyrody, szczęśliwie mało zadeptywanej przez ludzi.

Tylko nieliczni zapuszczali się w jego rodzinne strony i to uważał za największe szczęście. Padok był miejscem, w którym przebywał bodaj najchętniej. Szczególnie teraz, gdy biegało po nim troje nowych źrebiąt. Wielka duma jego i taty. To była ich przyszłość. Mieli zamówienia z całego świata. Po kilkudziesięciu latach pracy, niekończących się kłopotach i walce o każdego konia nadszedł moment, w którym mogli powiedzieć:

- Udało się.

## ROZDZIAŁ 5

Musiały minąć dwa lata, zanim to poczuł. Mimo wielkiego zaangażowania w hodowlę widział, że czas ucieka. Ojciec też nie dawał mu o tym zapomnieć, wskazując nieraz na wiszący w salonie portret jego i mamy. Wiktor wspominał dwa przelotne romanse z „córniami tatusiów”, jak nazywał je ojciec. Było, minęło. Nie miał na to czasu. Bez sensu roztrząsać coś, co nie jest tego warte.

Pogrążony w myślach, dopiero po dłuższej chwili zauważył zaniepokojoną minę Piotra, najstarszego pracownika i przyjaciela ojca. Szedł w jego stronę, ściągając robocze rękawice.

- Wotan ma grudę.

- Cholera! - Wiktor uderzył palcatem po udzie. - Bardzo się rozwinęła?

- Chodź, sam obejrzysz.

Obaj pospiesznie skierowali się do stajni. Na widok wchodzących mężczyzn wszystkie konie zaczęły chrapać i przestępować z nogi na nogę.

- Spokój, spokój. - Piotr skierował się do trzeciego boksu po lewej stronie.

- Wyprowadź mi go do światła, tu prawie nic nie widać - poprosił Wiktor. - Ojciec wie?

- Nie. Szedłem do niego, a wpadłem na ciebie.

Obaj pochyłili się nad pęcunami bułanego ogiera. Faktycznie, gruda wyglądem przypomina zaschnięte błoto.

- Widziałem, że ma zaczerwienioną skórę, jeszcze zanim pojechałem po Koriana. Prosiłem tego debila Romana, żeby go oglądał i smarował. Szlag by to... - Piotr był wyraźnie wściekły. Wyprostował się i spojrzał na Wiktora.

- To kolejne zaniedbanie tego idioty. Jemu się po prostu nie chce. To bez sensu, żeby go tu trzymać. Trzeba coś z tym zrobić. Poza tym on mi się nie podoba. Jest śliski. Zwierzęta też to czują. Nie lubią go, podskubują...

- Dobrze - skwitował krótko Wiktor. Wiedział, że na zdaniu Piotra może polegać.

Nie jeden raz przekonał się o tym i nawet nie miał zamiaru dyskutować o nieodpowiedzialnym pracowniku, zwierzę bowiem było teraz ważniejsze.

- Porozmawiam dziś z ojcem. Zrobimy z tym porządek.

Zaniepokojony stanem Wotana, jeszcze raz przeciągnął dłonią po pęcinach. Strupy już zdążyły uformować swego rodzaju skorupę. Wiedział, że w skrajnych przypadkach gruda może doprowadzić do napuchnięcia kończyny. A nie chciał dopuścić do kulawizny u konia. Ogier miał długie szczotki na pęcinach. Pomyślał, że powinni je lekko podciąć, aby zapewnić obieg powietrza i ułatwić utrzymanie czystości.

- Zabłoconych padoków nie da się uniknąć. A koń musi się ruszać - mówił jakby do siebie Piotr, kontynuując myśli Wiktora. - Codzienna dawka ruchu jest niezbędna, trzeba pamiętać o oczyszczaniu i osuszeniu nóg po każdym powrocie do stajni.

Wiktor z niepokojem obserwował zdenerwowanie konia za każdym razem, gdy pochyłali się nad jego pęcunami.

- Może przed wypuszczeniem go na padok spryskamy mu nogi mieszanką octu i oliwki dla dzieci?

- Jak najbardziej - potwierdził doświadczony pracownik, kiwając głową, zadowolony, że młody trzeźwo myśli. - Oliwka ochroni skórę przed pękaniem, będzie bardziej elastyczna. Ocet uniemożliwi żerowanie bakteriom. Sam się tym zajmę. - To mówiąc, poklepał ogiera, po którym przebiegł, dla odmiany, dreszcz zadowolenia. - Będiesz dziś jeździł na Zadorze? Jest niespokojna. - Zerknął na Wiktora spod oka, zmieniając temat.

Wiedział, że łatwo go wyprowadzić z równowagi, wołał więc nie nakręcać go bardziej złymi emocjami. Prawdę mówiąc, chciał, by to pan Stanisław zwolnił Romana, bo jeszcze byłby świadkiem rękoczynów. Wiktor umiał panować nad sobą, ale pod warunkiem, że ktoś nie robi krzywdy zwierzętom.

- Tak, chciałem ją zaraz osiodłać.

- Należy się jej porządne galopowanie. - Piotr skinął głową z uśmiechem, z zadowoleniem stwierdzając, że Wiktor nieco się rozluźnił.

- Mnie też! - Ten zaśmiał się, odgadując, dlaczego Piotr proponuje mu akurat teraz przejażdżkę.

Znali się bardzo dobrze. Właściwie od zawsze. Piotr pracował u ojca, zanim Wiktor postawił pierwszy krok, trzymając się kurczowo palca wskazującego wielkiej dłoni taty.

Zadora, perłowa klacz, miała niesamowity temperament i była wrażliwa na zmiany w otoczeniu.

I wariowała, jeśli nie dostawała swojej porcji galopu.

Wiktor też chciał najpierw zrzucić z siebie nerwy. Nie powinien wybuchnąć w rozmowie z nieodpowiedzialnym pracownikiem, a niestety gniew często utrudniał mu kontrolę emocji.

Osiodłał klacz i skierował ku najchętniej obieranemu szlakowi.

Z doliny miał widok na urwiste turnie, górujące pośród drzew. Pełne grozy, ale i piękna.

Niedaleka, ale zarazem wystarczająco odległa zatłoczona turystami Dolina Kościeliska, choć ma swój niezaprzeczalny urok, nie obfitowała w tak rozległe widoki. Nabrał głęboko

powietrza do płuc. Jazda zawsze pozwalała spojrzeć na wiele spraw z szerszej perspektywy. Ale wiedział też, że długo już nie może się oszukiwać i zwierzęta nie wystarczą, by czuć się spełnionym. Problem tkwił jednak w tym, że dziś nie widział żadnego sposobu na zmianę swojego życia. W pewnym sensie był przecież szczęśliwy.

Nie musiał zmuszać klaczy do galopu. Pęd powietrza działał cuda. I dawał poczucie nieograniczonej wolności. Powoli zwalniał konia, przechodząc z klusa w stęp. Człowiek i zwierzę głęboko oddychali, zmęczeni i zadowoleni z chwili przeznaczonej jedynie dla nich. Zawrócił do domu.

Zatopiony w myślach usłyszał rżenie Zadory i poczuł swąd spalenizny. Zza wzgórza wydobywał się dym. Mieszkali dość daleko od ostatnich zabudowań Gronika i po raz pierwszy w życiu Wiktor tego żałował. Płonął jego dom... i stajnie. Z głuchym okrzykiem popędził przerażoną klaczkę. Podjechał pod zabudowania, niemal w biegu zeskoczył z siodła i niewiele myśląc, wpadł do płonącego budynku. Nawoływał ojca. Ktoś próbował zatrzymać Wiktora,

ale go odepchnął. W głowie huczał mu szum płonącego ognia, przeraźliwe rżenie koni, krzyki ludzi i nieznany dotąd dźwięk, rozsadzający niemal czaszkę. Nie wiedział, że to atak paniki. Miotając się i krztusząc, jak przez mgłę usłyszał sygnał straży. Adrenalina dodała mu siły, ale odebrała rozsądek. Przez ułamek sekundy zdawało się mu, że ojciec jest na piętrze. Dławiąc się dymem, dotarł do połowy schodów. Poręcz płonęła. Nad głową ogień tworzył strzeliste sklepienie gotyckiej katedry. To jednak było przerażająco gorące, eksplodowało intensywnym pomarańczem i czerwienią. Nagle stopnie załamały się pod nim niczym kruche zapalki. Ostatnie, co zapamiętał, to ogromny ból w lewym boku i ogarniający go żar. Jakby cały płonął.

Ból. Kiedy go poczuł, jednocześnie wróciła pamięć. Świadomość tego, co się stało, na chwilę pozbawiła go tchu. Chciał wstać, ale nie był w stanie ruszyć nawet małym palcem. Jęknął. Zdażył zauważyć, że jest w szpitalu. Jak na komendę zresztą nad głową pojawił się czepek pielęgniarzki.

- Leż spokojnie. Zaraz przyjdzie do ciebie lekarz.

- Ojciec? - wyszeptał.

- Zaraz przyjdzie lekarz - powtórzyła i odeszła szybko, co w jego oczach wyglądało jak ucieczka od niewygodnego pytania.

Kilka minut później pochylał się nad nim doktor. Był dość niskim i pulchnym mężczyzną w średnim wieku. Na jego dobroduszej twarzy z oznakami zmęczenia widniał wyraz troski i niepokoju.

- Nareszcie postanowiłeś się obudzić... Trochę cię z nami nie było.

- Co z moim ojcem?

- Bardzo mi przykro, ale nie udało się nam go uratować.

Lekarz położył Wiktorowi rękę na czole, jakby miał zamiar sprawdzić, czy nie ma gorączki. A on głośno wciągnął powietrze przez nos. Szczęki zacisnęły się mocno, aż słychać było zgrzyt zębów.

- Dość długo byłeś w śpiączce - podjął po chwili lekarz.

- Jak długo?

- Prawie trzy miesiące.

Spojrzał uważnie na doktora, zaskoczony, a w jego oczach pojawiła się niepokojąca pustka.

- To dlaczego jeszcze boli mnie głowa? - zapytał.

- Gdzie cię boli? - Lekarz był wdzięczny, że może skupić się na objawach. Mimo wieloletniego doświadczenia nie radził sobie z przekazywaniem pacjentom złych wiadomości.



- Z lewej strony. - Spróbował podnieść lewą rękę i poczuł, jakby dźwigał ciężar odlany z ołowiu. Kątem oka zauważył dziwnie pomarszczoną skórę ramienia. Oddech gwałtownie mu przyspieszył.

Lekarz wyjaśnił:

- Byłeś bardzo poparzony. Cała lewa strona ciała jest w bliznach. Mieliśmy kłopot także z lewą nogą. Może to i dobrze, że cały czas spałeś. Przynajmniej nie czuleś bólu.

Przynajmniej nie czuleś bólu, powtarzał później w myślach, a coś znacznie silniejszego chciało mu rozsadzić klatkę piersiową.

Ojciec. Jedyne prawdziwe przyjaciel, jakiego miał. Może szorstki w obyciu, nieco prosty w poglądach i sprawiający wrażenie niezwykle twardego, ale o wielkim sercu.

Wiktor nigdy nie czuł się bardziej samotny. Naprawdę został sam. Nawet nie wiedział, czy ma do czego wracać.

Po miesiącu rehabilitacji Wiktor opuszczał gmach szpitala. Spod kaptura, naciągniętego głęboko na oczy, nie było widać niemal nic.

Szedł w deszczu, napięty do granic możliwości. Cieszył się, że pada. Ulicami Krakowa chodziło niewielu ludzi. W pociągu zaszył się głęboko w kąt i udawał, że śpi. Przez ostatnie dni próbował znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Najtrudniej było z tym: co dalej?

Żywe w nim były tylko złość i nieutulony żal. Jakby ktoś zabrał mu cały świat, tak mały przecież i nienarzucający się innym, ale jego własny, bezpieczny i swojski.

Kiedy stanął przed zgliszczami, chciało mu się wyć. Dosłownie.

Z domu nie zostało niemal nic. Próbowano go przygotować na ten widok; pracownicy odwiedzali go w szpitalu, składając kondolencje i pytając, co mają zrobić z melicznymi pozostałymi koźmi. Ale jak można być przygotowanym na coś takiego?

Drogę prowadzącą do domu znaczył jedynie kamienny stopień i potomstwo jednego krzaka bzu, o którym mama tak często wspominała i który tak bardzo kochała.

Zabudowania stajenne były nadpalone, czarne. Ziały pustką. Zacisnął szczęki, poprawił wiszący na prawym ramieniu plecak i ruszył w ich kierunku. Sam dom nie nadawał się do zamieszkania. Osmalone kikuty szkieletu straszyły, budząc bolesne wspomnienia o tym, jak piękne było to kiedyś miejsce.

Widać jednak, że ludzie bardzo starali się uprzętnąć teren; nieopodal stał jeszcze kontener, z którego wystawała stalowa rama łóżka jego rodziców.

W budynkach przy stajni latem nocowali tymczasowo pracownicy. Miał nadzieję, że będzie mógł choć tam się przespać. Znalazł dwa rozprute materace i jakiś koc.

Śmierdziało bimbrem. Nietrudno było się domyślić, jakich gości miało ostatnio to miejsce.

Nic zresztą dziwnego. Sam poprosił pracowników, by poszukali innej pracy, przynajmniej dopóki nie zorientuje się, w jakiej jest sytuacji. Część ocalałych koni kazał sprzedać, część umieścić w zaprzyjaźnionych stadninach. Nie było powodu, by pojawiał się tu ktokolwiek.

- Wszystko zniknęło - wyszeptał. - Nie ma nic.

Następne tygodnie, niepostrzeżenie przeradzające się w miesiące, były pasmem przygotowań, wypełniania dokumentów, przeliczeń i spotkań z bankowcem ojca, z prawnikiem ojca, z wierzycielami ojca, z klientami ojca. Wszystko, co robił i mówił, dotyczyło ojca. Zmuszał się do działania nadludzkim niemal wysiłkiem. Widział płochliwie rzucane spojrzenia i szybko opuszczany wzrok, kiedy tylko udało mu się któreś z nich pochwycić.

Sam nie mógł patrzeć na siebie w lustrze, więc trudne było pokazywanie się innym. Gdy pierwszy raz zobaczył swoje ciało, znienawidził je. Nigdy nie przywiązywał nadmiernej wagi do wyglądu, ale zawsze był silnie zbudowany i uważał za normalne, że ciało ma zwinne i mocne. Niezliczone blizny po oparzeniach i miejsca, gdzie przygniotła go belka, nieustannie przypominały mu o słabości. Bo blizny stanowiły o słabości.

Kilku sąsiadów próbowało mu pomóc, ale po jego gwałtownych reakcjach szybko dali sobie spokój. Mówili później, że zdiczał i jest nieobliczalny.

Przerzązał ich też widok jego wielkiej, teraz zdeformowanej sylwetki.

On, mimo szczerzej niechęci do ludzi, utrzymywał kontakt ze znajomym bankowcem ojca i dwoma wieloletnimi pracownikami. Prawą ręką nadal był Piotr. To on poprowadził go za rękę przy odbudowie domu, a później pomógł przy próbie odbudowania i hodowli. Bankowiec z kolei doradzał mu co jakiś czas lokaty, które pozwalały na początku utrzymać zwierzęta. Długi miał bowiem ogromne, ale możliwe do spłacenia. Tylko dzięki tej niezachwianej pewności trzech otaczających go osób nie poddał się od razu. Zresztą tak bardzo przecież kochał konie. Równo osiemnaście miesięcy później sprzedał pierwsze źrebię.

## ROZDZIAŁ O

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie. Jej oczy otworzyły się, jakby działały w zwolnionym tempie. Odzyskiwała świadomość, ale organizm zupełnie nie był na to przygotowany. Bolało ją dosłownie wszystko. Czowała nawet najdrobniejszą cząsteczkę siebie, tak jakby każda komórka była obca i niechciana. Powieki same opadły z powrotem. Z mroku, w którym tkwiła od tak długiego czasu, wyłoniły się głosy Marka i Jacka. Nawoływali ją i poganiali. Nagle zrobiło się jasno. Znowu tam była.

„Tatrzański Park Narodowy - Dolina Kościeliska”.

Tablica zachęcała do wejścia. Marek kupił bilety i ruszyli.

Po przekroczeniu bramy Nina zobaczyła po lewej piękny naciek wodny na pionowych skałach, który najwyraźniej dawno już zamarzał. Utworzyły się wielkie sople, a w środku nich wielka dziura, która wyglądała jak portal do innej krainy. Po kwadransie wędrowki znaleźli się na rozstaju szlaku zielonego biegnącego Doliną Kościeliską, czarnego prowadzącego do Doliny Chochołowskiej Drogą nad Regłami i czerwonego na Ciemniak.

- Naszym celem będzie właśnie Ciemniak - oznajmił Jacek.

Na początku przeszli drewniany mostek, na którym było mnóstwo ubitego śniegu, i teraz czekała ich długa wędrowka lasem.

- Trzy godziny pięćdziesiąt? - zdziwiła się Nina, patrząc na tabliczkę z wypisanym czasem przejścia.

- Na pewno tak długo iść nie będziemy - powiedział Marek. - Przewiduję niecałe trzy godziny. Nam to zajmuje około dwóch godzin i dwudziestu pięciu minut, ale ty na pewno tak szybko nie pójdziesz, zresztą wcale się nam nie spieszy.

- Może najpierw powinniśmy ją wziąć na zejście z Rakonia przez Grzesia? - zastanawiał się głośno Jacek.

- Nie mamy tyle czasu - zaproponował Marek. - Nina biega dwa razy w tygodniu i chodzi na basen, kondycję ma, ale dwa dni z rzędu wejść to chyba za dużo naraz.

Nina już się ucieszyła, że idą całkiem równym szlakiem, kiedy po dwóch minutach zaczęło się podejście na Uplaziański Wierszyk.

- Ale się spociłam - roześmiała się po kilku minutach. - Cała jestem mokra!

- Zaraz odpoczniemy, nie martw się. - Marek poklepał ją po plecach.

I faktycznie, gdy tylko pojawił się prześwit w lesie i widok na Kończystą Turnię i Zawiesistą Turnię, zatrzymali się, a Nina zaczęła robić zdjęcia.

Tam idziemy, pomyślała z zadowoleniem, stojąc na razie u ich stóp.

Z każdym krokiem szło jej się coraz lepiej, oddech powoli się regulował. Po niedługim czasie weszli na Polanę Uplaz. Tam szlaki się rozdziwiły.

- Jak myślisz, którym idziemy? - spytał Marek Jacka.

Ten wzruszył ramionami:

- Wszystko jedno. I tak się przecież łączą w jeden.

- Ja muszę odpocząć. - Nina, nieco zawstydzona, usiadła na niewielkim kamieniu, jedynym, który wystawał spod grubej warstwy śniegu.

Marek podał jej termos z kawą.

- Napij się. Na pewno jest jeszcze gorąca. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Nie spieszy się nam - pocieszył ją Jacek. -Mamy naprawdę dobre tempo. Dzielna jesteś. Ruszyli dalej. Nina przy wejściu na polanę zauważyła tablicę informującą o zagrożeniu lawinowym.

Przez Polanę Uplaz przeszli szerokim łukiem, po czym szlak skręcił po zboczu Uplaziańskiej Kopy. Nina robiła zdjęcia niskim świerkom. To przez wysokość, na jakiej rosły, nigdy nie będą większe. Opuściwszy las na chwilę, obchodzili małą formację skalną, za którą Nina poczuła lekki zawrót głowy. Szli po stromym szlaku, a jej przyszło na myśl, że tak wysoko nigdy nie była. Podobało jej się to uczucie. Świerki ustąpiły miejsca przysypanym śniegiem kosodrzewinom. Ten odcinek był jednym z gorszych. Mimo że Jacek szedł pierwszy, to Ninie i tak nogi często się zapadały na zaspach, pod którymi kryły się gałęzie kosówki. Wreszcie wyszli ponad górną granicę kosodrzewiny.

- Tam jest Giewont - wskazał ręką Jacek. -A za nami Kominiarski Wierch i jego cztery Rzędy Smytniańskie.

Do Chudej Przełęczki szło im się coraz lepiej.

- Co jest? - Jacek nagle przystanął.

- Zmienili przebieg szlaku. - Marek przeszedł przed Ninę i stanął obok Jacka. Obaj patrzyli z niejakim zdziwieniem na oznaczenia.

- Pociągnęli szlak przez Chucią Turnię.

- Bez sensu - prychnął Jacek.

- Może naprawdę jest źle. - Marek się zawahał. - Wiesz, że łatwo można się tam ześlizgnąć aż na sam dół kamienistej.

- Czego? - spytała Nina.

- To jest Dolina Wielkiej Świstówki.

- W razie czego mamy linę i haki, Nina jest lekka i sprawna... - Jacek patrzył z wyczekiwaniem na Marka.

- No, nie wiem - wahał się tamten.

- Spróbujmy - nalegał Jacek.

- Dam radę? - zaniepokoiła się Nina.

- Myślę, że spokojnie - powiedział z pewnością w głosie Jacek. - Nas jest dwóch.

- Dla niej już przejście małą granią będzie wyzwaniem, Jacek. - Marek nie był przekonany.

- Pokażcie, jak to wygląda - zdecydowała Nina. Przeszli dalej, a jej oczom ukazało się wąziutkie

przejście między dwiema skałami i potem stromy stok prowadzący do skalnych dolin.

- Tu trzeba uważać i iść jak najwolniej, ale przecież się nam nie spieszy - nadal nalegał Jacek. Ninie dodatkowo adrenaliny dodał fakt, że szlaku nie było widać, bo znajdował się za skałą głęboko w dół, dokąd musiałyby zejść po grani.

- Ja bym spróbowała - stwierdziła.

Przed sobą widzieli jeden mniejszy szczyt, a za nim dużo większy - ten właściwy - Ciemniak. Krok za krokiem posuwali się do przodu. Pojawiło się podejście, pod samym szczytem było mocno oblodzone. Nina nie wiedziała, jak stawiać stopy.

Obok rosły kępy kosówki. Jacek zdecydował, że pójda tamtędy.

I na jakieś szesnaście metrów przed szczytem Jacek już musiał wykopywać stopnie.

- Nina, wyżej stopa, wyżej - zachęcał Marek, a ona, zła na własną niemoc, z wysiłkiem podciągnęła się na osłabionych już nieco rękach. Noga jak zaklęta ześlizgnęła się ponownie z nawisu.

- Cholera jasna! - zaklęła pod nosem, a Jacek zaśmiał się nad jej głową, przyglądając się zmaganiom dziewczyny i obserwując, czy Marek daje sobie radę z asekuracją.

-A mówiłem, że trzeba ćwiczyć z większym zaangażowaniem? Leniuchu przebrzydły! Masz teraz za swoje! Bołą rączki i nóżki, cooo?

- Zzzzamknij się - wysapała już wściekła, nie mogąc poradzić sobie z własną słabością, której świadkami byli w dodatku inni, i ostatkiem determinacji wreszcie podciągnęła się wyżej. Zgrzana i zmęczona, była jednak dziwnie lekka i zadowolona. Nieznane dotąd uczucie czystej satysfakcji rozsadzało jej klatkę piersiową. Spojrzała w dół, nie mogąc się powstrzymać, choć wiedziała, że przyplaci to zawrotem głowy. W skroniach jej pulsowało. Widok wart był jednak tego drobnego poświęcenia. Bezkresna przestrzeń, przecinana surowymi i wyniosłymi szczytami, kpiącymi w swojej doskonałości z wszystkiego co ludzkie i ulotne. Potrzebne było jej to zrozumienie swojej niedoskonałości w obliczu piękna niezależnego od człowieka i jego dokonań. Tu mogła jedynie próbować zbliżyć się do nieprzerwanie trwającej ponadczasowości. A i tak było to więcej, niż dotąd przeżyła. Rozumiała wreszcie Marka i Jacka. Oni obaj widzieli to już wcześniej. Ona dopiero poznawała. Wiedziała teraz, dlaczego chcieli, by mogła to przeżyć. Tu nie liczyło się nic, co pozostawiali za sobą. Była ona, jej oddech i suma wrażeń, o które warto było walczyć z fizyczną słabością. Zobaczyła, jak wąski jest korytarz, którym szli. Zrozumiała. To są właśnie prawdziwe góry. Było tak stromo, że na wszelki wypadek jeszcze raz zapytała Marka, czy będą schodzić inną trasą.

- Chciałam się upewnić, bo zejście tą samą drogą byłoby dla mnie psychicznie niemożliwe. - Westchnęła.

- Będziemy schodzili normalną trasą, którą wchodzi i schodzą wszyscy, bo to zejście mogłoby być dla ciebie za trudne technicznie - uspokoił ją ponownie i uśmiechnął się zachęcająco.

I tak, wchodząc coraz wyżej, pokonywali oblodzone skały i śnieg. Najbardziej bolały kolana, ponieważ przemoczzone spodnie cały czas przylegały do śniegu, a było naprawdę zimno.

Wtem Jackowi obsunął się spod nogi kawałek lodu i poleciał w dół. Jacek szybko krzyknął, aby przypadkiem nie oberwała tym odłamkiem. Śledziła potem tor jego lotu... Kilkaset metrów. Nie widziała już miejsca, gdzie się zatrzymał.

- Ale super - wyszeptwała niemal bezgłośnie, lecz uważnie obserwujący ją Marek bezbłędnie odgadł jej nastrój.

- Zobaczysz, jak będzie na górze. Zasuwamy dalej, pogoda mi się nie podoba. Jacek, co myślisz? Zdamy? Czy spadamy?

Zapytany przez chwilę studiował niebo i sąsiednie szczyty. Zmarszczył czoło w niewyraźnym grymasie.

- Nina, dasz radę przyspieszyć?

Widziała, że chłopcy nadrabiają miną, ale wyraźnie zwiększyli tempo w ciągu ostatniej godziny. Wymieniali się spojrzeniami i choć nic nie mówili, domyśliła się, że nie są zadowoleni z panujących warunków.

- Dam. - Chcąc o tym przekonać ich i siebie, podciągnęła się wyżej bez widocznego wysiłku. Jutro się nie ruszę, pomyślała jeszcze.

Skupiona na tym, by zachować rytm, nie od razu zrozumiała, co się dzieje. Jacek wydał z siebie głuchy krzyk, w którym brzmiała panika:

-Marek!!! Nina!!!

Grzmot ją zaskoczył. Zobaczyła, jak Marek przelatuje obok niej, i miała świadomość, że też coś krzyczy. Usłyszała jeszcze błagalne:

- Machaj rękami! Machaj rękami!

Jakaś niesamowita siła przygniotła jej klatkę piersiową, na moment blokując oddech, okulary przysłoniła jej biel, zamieniająca się w szarość. Plecak ciągnął ją zdwojonym ciężarem, a ona w panice starała się nie zapominać o tym, by machać rękami. Instykt podpowiadał jej, że to może pomóc. Czowała się trochę jak ptak, któremu przeszkadza w locie powietrze o konsystencji ołowiu. Tętent w głowie w końcu rozpoznała jako niemożliwy do opisania huk. Oprócz niego nie słyszała nic. Próbowwała krzyknąć, ale krtań miała jak zasznurowaną. W

końcu złapała haust powietrza, gwałtownie, jak nurek, któremu udało się wydostać na powierzchnię wody.

Otworzyła oczy.

W domu panował miękki półmrok. Widziała mężczyznę siedzącego przy stole. Wyglądał na zmęczonego. Ale nie tak jak człowiek, który skończył ciężką fizyczną pracę. Raczej jak ktoś, kto dźwiga na swoich barkach ciężar przygniaty

tający dzień w dzień, coraz bardziej, aż ramiona uginają się od niewidzialnego brzemienia.

Odwrócił się do niej i wtedy światło lampy ukazało jego oblicze. Nina widziała, że specjalnie daje jej czas na oswojenie się ze swoim widokiem. Teraz jednak ta twarz jej nie przeraziła.

Sama nie wiedziała dlaczego. Coś podpowiadało jej, że ten widok budzi zazwyczaj negatywne odczucia. Kiedy wstał, wydało się jej, że wygląda trochę jak yeti. Ta myśl nawet trochę ją rozbawiła i kąciki ust uniosły się z wysiłkiem.

Spojrzał na nią i zobaczył, że nie śpi. Widział, jak się mu przygląda. Spiał się w obawie przed jej reakcją. Przez chwilę patrzyła na niego, a później... uśmiechnęła się.

Nina zauważyła, że nieznajomy wstrzymał oddech. Widziała, jak bardzo stara się zbliżyć powoli, by jej nie przestraszyć. Wtedy chwycił ją nagle ból, który przyniósł ze sobą atak kaszlu. Jęknąwszy, wyciągnęła do niego rękę, jakby w geście prośby o pomoc. Mężczyzna sięgnął po stojący na stoliku obok kubek i przyłożył jego brzeg do jej spękanych ust. Napój okazał się tak gorzki, że twarz sama wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia. Odruchowo parsknęła. Kiedy wydał z siebie potok słów, jedynie z tonu domyśliła się, że nie jest zadowolony z jej reakcji. Przyszło jej do głowy, że nawet nie jest w stanie zrozumieć, co do niej mówi. Była jednak nadal bardzo słaba, po chwili więc oczy same zamknęły się jej do snu. Gdy po kilku następnych godzinach odzyskała świadomość na dłużej, pogoda wreszcie zaczęła się zmieniać. Śnieżycy niemal ustała. Mężczyzna nadal siedział przy stole, czuła się zatem tak, jakby spała najwyższej godzinę. Przez chwilę jeszcze wpatrywała się w niego.

Zobaczył,

że na jej ustach ponownie pojawił się uśmiech. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio ktokolwiek uśmiechał się na jego widok, a ona zrobiła to już drugi raz w ciągu kilku godzin. Chcąc zagłuszyć dziwne kołatanie serca, zaczął krzątać się po kuchni, przygotowując ciepły bulion. Niedługo przysłała po nią karetkę. Starał się coś powiedzieć, ale ze ściśniętego gardła wydobył się jedynie nieprzyjemnie brzmiący pomruk, który brzmiał jak burczenie niezadowolonego niedźwiedzia.

Nina nie wiedziała, co zrobiła nie tak, skoro mężczyzna znowu wydawał się taki zły. Poza tym zupełnie nie rozumiała, co, na Boga, chce jej powiedzieć.

- Ja naprawdę nie rozumiem, co do mnie mówisz - usłyszał nagle zdanie wypowiedziane nieco gardłowym głosem.

Faktycznie, gdy się denerwował, nie panował nad wymową. Skupił się przez chwilę i spokojnie wyjaśnił:

- Robię ci supkę, żebyś zjadła coś pożywnego - odezwał się. - Lekarz mówił, że kilka łyżek ci nie zaszkodzi. Skoro odzyskałaś przytomność, powinnaś się czegoś napić.

- Dziękuję - wyszeptwała.

- Nie obiecuję, że będzie smaczne - ostrzegł. - Może lepiej poczekać z podziękowaniami.

- Dziękuję za ratunek... - Jej głos zdrzął na wspomnienie niedawnych wydarzeń. - Gdzie oni są? Gdzie Marek... Jacek?

Jezu, pomyślał, co ja mam jej powiedzieć? Poplątały mu się dłonie, gdy próbował zebrać myśli, i o mało nie wylał zupy.

- Zamieć ustała dopiero dwie godziny temu. Nic jeszcze nie wiadomo - skłamał, nie mając odwagi powiedzieć, że szanse na odnalezienie ich żywych są niemal zerowe.

Podszedł do niej i usiadł na brzegu łóżka. Ninie nie podobało się, że nie zaczął mówić od razu. Cała jego sylwetka mówiła za niego. Chciał być delikatny. Ale ona nie tego

potrzebowała. Chciała usłyszeć dobre wiadomości, a coś w środku krzyczało, że tak się nie stanie.

- Znalazłem cię samą - płątał się. - Traf chciał, że byłem niedaleko, i jak tylko zobaczyłem, co się dzieje... Niestety, droga zabrała mi dużo czasu. Pod Ciemniak niełatwo się teraz dostać... Jesteś mocno poturbowana i w dodatku byłaś niezwykle wyziębiona...

- Ile czasu tu jestem? - przerwała mu, chcąc się podnieść, ale ze zdziwieniem odkryła, że nie może.

- Kilka godzin. Za wcześnie na jakiekolwiek wiadomości. Szukają ich. Nie bój się. Ratownicy będą próbować ponownie jutro. Dzisiaj jest już i za późno, i za ciemno. Zostaniesz u mnie na noc. Potem zabierze cię karetka. Jak widzisz, mieszkam na końcu świata - próbował żartować. Głowa opadła jej na poduszkę.

- I chwała Bogu, że tu mieszkasz - wyszeptala, a serce kołatało jej w panice.

Boże, Boże, Boże, nie prosiłam cię nigdy o nic, ale pomóż im! Proszę cię bardzo! Błagam! - myślała. Wstał, kierując się w stronę kuchni.

- Przyniosę ci supkę. Musisz jeść. - Wrócił do swojego tonu, zupełnie jakby sądził, że jeśli nadal będzie dla niej miły, to ona po prostu rozklei się zupełnie.

A on, cóż, zupełnie nie wiedziałby wówczas, co z tym fantem zrobić.

Nina patrzyła za nim, ale nie widziała zupełnie nic. Przed oczyma wirowały jej czarne plamy. Zupełnie odruchowo wzięła do ręki podawaną łyżkę i zaczęła metodycznie jeść. Kiedy odbierał od niej puste naczynie, niespodziewanie zapytała:

- Jak masz na imię?

Jakby zdziwiony jej pytaniem, odpowiedział:

- Wiktor.

- Wiktor... - powtórzyła, jak gdyby chcąc nauczyć się brzmienia usłyszanego słowa, a jemu nie wiedzieć czemu przeszedł dreszcz po plecach.

- Ja mam na imię Nina.

Kiwnął głową w odpowiedzi i po prostu uciekł.

## ROZDZIAŁ 7

- Zadowolony?! - krzyknęła, a miska z całą zawartością świsnęła tuż obok jego głowy. Gulasz powoli spływał po ścianie, tworząc na niej barwny wzór znaczony kawałkami mięsa i warzyw.

Stała z błyskiem w oczach i zarumienionymi policzkami, w jej spojrzeniu czał się mord.

Usiadła na stole z niejakim trudem, gdyż skutecznie przeszkadzała jej w tym noga uwięziona w gipsie. Opuściła głowę i starała się opanować. Nie było łatwo. Wiktor sam nie wiedział, czy bardziej jest rozbawiony, czy sfrustrowany i zły. Podszedł do niej dwoma szybkimi krokami i złapał za ramiona. Zaciskając szczęki, wyszeptał:

- Nigdy więcej tego nie rób. Rozumiesz? To nie moja wina!

Wiedziała, że nie powinna była tego robić. Miał rację. Nie potrafiła już jednak panować nad emocjami. Minęło tyle dni i nic. W dodatku na głos śmiał powiedzieć, że nie dziwi się ratownikom i ich decyzji o zaniechaniu poszukiwań. Tego było za wiele. Wyszarpnęła się z uścisku.

- Dobrze. Nie będę już dłużej męczyć cię swoim towarzystwem. Rozumiem, że masz dosyć...

Naprawdę rozumiem. - Przeczesała potargane włosy

dłonią. - Wracam do domu! - Zerwała się na równe nogi jak w gorączce. - Boże! Dlaczego właściwie jeszcze tego nie zrobiłam?

Skacząc na jednej nodze i opierając się o ściany, dostała się do pokoju, który zajmowała przez ostatnie dni. Złapała swój plecak i z furią zaczęła wrzucać do niego rzeczy znajdujące się w zasięgu ręki.

- Ładna wdzięczność - mruknął Wiktor, obserwując ją spod oka. - Pięknie potrafisz dziękować...

Stał oparty o ścianę i z założonymi rękoma przyglądał się jej spod przymrużonych powiek. Był wściekły.

Przeżuwał przekleństwa cisnące się na usta. A niech się wynosi. Dopóki się nie pojawiła, wszystko było proste. Miał dość tabunów ludzi przewijających się przez dom i wciąż obecnego uczucia napięcia, jakie mu towarzyszyło w jej obecności.

Nie potrzebuje komplikacji w życiu. Pojawi się cisza i spokój we własnych czterech ścianach. Nina wypadła z domu jak burza, mimo że opierała się na jednej kuli. Energii dodały jej nerwy. Skierowała się prosto ku stojącemu obok budynku samochodowi. Uniosła głowę i spojrzała w przestrzeń. Tam, na dole, była droga do domu oddalonego teraz o setki kilometrów.

Po policzkach popłynęły łzy, co dodatkowo wytrąciło ją z równowagi. Nie miała siły wsiąść do środka. Cała energia opuściła ją jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nawet nie słyszała, jak do niej podszedł. Złapał ją za rękę i delikatnie odwrócił twarzą do siebie. Stali tak przez dłuższą chwilę, mierząc się wzrokiem, niczym dwóch zawodników na ringu. W końcu Wiktor, mimo ściśniętego gardła, wykrztusił:

-Nigdzie nie pojedziesz... Nie teraz... Oszalałaś?

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić i kiedy! Sama wiem, co jest dla mnie najlepsze. - Starła się, jak mogła, aby brzmiało to dobitnie, ale łzy psuły cały efekt. - A ty jesteś okrutny. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć; zabolalo go. Ta kobieta doprowadzała go do szewskiej pasji, a jednocześnie serce ścisnęło mu się na widok łez płynących po jej zaczerwienionych policzkach. Za dużo ich ostatnio było.

Westchnął ciężko, sam zdziwiony swoim postępowaniem.

- Jeżeli naprawdę chcesz wracać, to cię zawiozę. Albo znajdę kierowcę, który to zrobi. Nie chcę mieć na sumieniu twojej drugiej złamanej nogi.

Zakłopotanie, które zagościło między nimi, można było kroić nożem, tak zgęstniała od niego atmosfera.

Nina, zaskoczona, ale jeszcze bardziej zmęczona, nie zaprotestowała. Niechętnie skinęła głową na potwierdzenie. Było jej tak strasznie głupio. Nie panowała jednak już nad niczym. Nie potrafiła.

- Chodźmy do domu. Ugotuję coś na kolację. Poprzednia, o ile dobrze pamiętam, wylądowała na ścianie, zamiast w naszych żołądkach - żartował.

Na twarzy nie miała nic prócz bezbrzeżnej pustki. W oczach coś, czego nie potrafił nazwać, a nie chciałby u nikogo nigdy oglądać. Musiał u niej.

- Poszukiwania odwołano. Trudno się z tym pogodzić, ale trzeba - próbował tłumaczyć jej spokojnie. - Zrobili, co mogli, uwierz mi. Nie mam zamiaru cię stąd wyrzucać, ale powinnaś sama zrozumieć, że twoja obecność tutaj niczego nie zmieni.

Jeżeli jednak musisz jeszcze dojrzeć do decyzji o wyjeździe i potrzebujesz czasu, możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

- Tak - odpowiedziała machinalnie.

Nie miał wątpliwości, że niewiele do niej dotarło. Podała mu jednak plecak.

Czuł się za nią odpowiedzialny. Po raz pierwszy czuł to w stosunku do jakiegokolwiek człowieka. Patrzył na Ninę i myślał, że pewnego dnia obudzi się i znowu będzie zupełnie sam.

Nie, to nie chodziło o samotność.

To chodziło o nią, choć jeszcze nie wiedział dlaczego.

Tak naprawdę nie chciał się przekonać. Od dłuższego czasu z niepokojem uświadamiał sobie, że lubi patrzeć na nią, czuć jej obecność, kiedy wracał do domu. Miękł na myśl, że ma się o kogo troszczyć, martwić. Nawet jeśli jej zachowanie pozostawiało wiele do życzenia, a niektóre gesty z jej strony wynikały jedynie z wdzięczności. Było w niej coś, co nie dawało

mu spokoju. Czasem wywoływała w nim dreszcze, kiedy przechodziła tuż obok i bezwiednie kładła mu rękę na ramieniu.

Zdziwiony, że nie odczuwa obrzydzenia na jego widok, nie wiedział, co ma z tym zrobić. To, jak się zachowywała, co mówiła, było naturalne. Bez podtekstów.

Dlatego robił wszystko, by nie myślała cały czas jedynie o swoich przyjaciółach. Niewiele jednak o nich mówiła. Mógł się tylko domyślać, jak silna łączyła ich więź.

A teraz, mimo starań, nie znaleziono żadnego z nich.

Nie radziła sobie z tym. Nie był głupi. Wiedział, że jej wybuchy są konsekwencją wiadomości o za-

niechaniu poszukiwań. Słyszał, jak co noc płakała, widział jej zapuchnięte powieki każdego ranka.

Pozornie była taka twarda. Codziennie pilnowała, czy nie pojawił się choć cień nadziei.

Chciała być na miejscu, gdy znajdą ich ciała.

- Jestem im to winna. Jak mogłabym inaczej? Zostawiłbyś w ten sposób najbliższych? - pytała. -Nie zostawię ich tu samych...

Teraz jednak nie było już powodu, by mieszkała u niego dłużej.

Weszli do domu w milczeniu, każde pograżone we własnych myślach. Nina widziała, że Wiktora coś gnębi, ale sama, delikatnie mówiąc, nie była w nastroju, żeby się nim przejmować.

Zdawała sobie sprawę z upływu czasu. Tu mogła trwać w swojej nieutulonej żalobie, nikt jej nie poganiał. Ale miała do załatwienia tyle spraw. Wszystkie wiązały się z chłopcami.

Na samą myśl łzy stanęły w oczach.

Kiedyś wydawało się jej, że nie istnieje żaden inny świat poza tym, który sobie stworzyli.

Teraz ze zdziwieniem patrzyła na dotychczasowe dorosłe życie. Wydawało się takie nierealne, jak zbyt krótki kolorowy sen.

Dzisiejsza kłótnia jednak uświadomiła jej, że pora wracać. Była zmęczona, zawiedziona, miała przygniatające poczucie winy, a nie mogła przecież tego zrzucić na człowieka, który już zrobił dla niej tak wiele. Czasem miała wrażenie, że jej życie jest jednym wielkim zbiorem tragicznych doświadczeń. A Wiktor... On też miał swoje ciężary do udźwignięcia i z pewnością dodatkowe nie były mu potrzebne. Miała zbyt wiele demonów, z którymi musiała sobie poradzić. Sama. Teraz już naprawdę zupełnie sama.

Wieczorem, po posiłku, który upłynął im w całkowitym milczeniu, Wiktor, nie mogąc znieść już ciężkiej atmosfery, wyszedł do stajni. Nina, na skraju wytrzymałości i wciąż nieumiejąca poradzić sobie z decyzją o zakończeniu poszukiwań, postanowiła raz jeszcze, w samotności, popatrzeć na tragiczny szczyt. Zbyt wiele ostatnio nachodziło ją myśli, do których nie chciała przyznać się nawet przed sobą.

Zarzuciła polar i wykuśtykała na podwórze.

Lubiła widok roztaczający się przed jej oczyma, choć teraz nie mogła patrzeć na góry bez drżenia i obawy. Powinna je kochać. Oni je kochali, ona też powinna. Dla nich. Mimo tragedii i bólu.

Ukryła twarz w dłoniach, ale zebrała się w sobie i ponownie uniosła głowę. Zmusiła się, by patrzeć na miejsce, które stało się grobem najbliższych jej ludzi.

Strata?

To było coś więcej. Przez myśl przemknęło jej: Za życie bez rodziców, bez rodziny, teraz...

Od-najdźcie się, proszę...

Wiedziała jednak od dawna, że zaklęcia nie działają.

Czy i o tym zapomniała?

Z zadumy wyrwały ją odgłosy krzątania Wiktora, poganiającego pracowników; słyszała też rżenie koni. Ruszyła ostrożnie w stronę lasu, utykając z powodu złamanej nogi. Niewiele było



już o tej porze światła, ale poznała dobrze te ścieżki, poza tym nie miała zamiaru odchodzić daleko. Tyle rozsądku jeszcze zachowała.

Starał się pozbyć napięcia, pracując. Wiedział, że Nina musi wracać do Warszawy, ale dlaczego,

na miłość boską, musiało się to odbywać w takiej atmosferze?

Poza tym nie sądził, że wzbudzi w nim to taki sprzeciw i niepokój.

Nie wiadomo kiedy stała się dla niego ważna.

Sama świadomość tego była dziwna. Głaszcząc bezwiednie młodą jabłkowitzką klacz, powoli się uspokajał. Konie zawsze pochłaniały jego złe emocje.

Tak mało o niej wiedział. Te dni były jednym wielkim oczekiwaniem na krótkie zdanie:

Znaleźliśmy ich.

Patrzył, jak robi wszystko, co w jej mocy, jak nie śpi po nocach, prawie nie je. Ale każdego ranka, na nowo silna, obdarza wszystkich energią i popycha: dalej, dalej. Nie śmiał odbierać jej nadziei, choć mocno stąpał po ziemi. Postanowił jednak: to nie od niego Nina usłyszy, że już za późno. Aż taki głupi nie był.

A potem to zrobił. W głupiej rozmowie przy jedzeniu, gdy stracił czujność.

- Idiota! - warknął pod nosem, siebie mając na myśli.

Pomyślał, że powinien Ninie coś wyjaśnić: że wszystko, co mówi, wynika ze strachu o nią, że widzi, jak się męczy, że rozumie. Ona chyba w ogóle nie zdaje sobie sprawy, jak dzielnie radzi sobie ze wszystkim.

Nie uciekła przecież.

Została tu do ostatniej chwili, starała się robić, co się da, by pomóc odnaleźć przyjaciół. To była jej pierwsza wyprawa w góry, tymczasem Nina sprawiała wrażenie, jakby brała na siebie odpowiedzialność za czyjąś głupotę.

Zmobilizowany impulsem, szybkim krokiem wszedł do domu. Nie było jej. Zalała go fala nie-

pokoju. Z bijącym sercem wybiegł z domu i miotał się po całym terenie. Wtedy ją zobaczył.

Szybkim krokiem, z wypisanym niepokojem na twarzy, opierając się na kuli, wyszła z lasu.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona wyrazem jego twarzy.

Zamiast odpowiedzieć, podszedł do niej i niewiele myśląc, przygarnął do siebie.

Trwali tak przez chwilę w milczeniu. Niechętnie, ale zdecydowanym ruchem odsunęła się w końcu. Zbyt była przytępiona, by zrobiło to na niej wrażenie.

- Co się stało? - powtórzyła.

Mężczyzna zawahał się na moment, ale po chwili, jakby podjąwszy jakąś decyzję, objął ją znowu, pomagając iść.

- Cały czas miałem w głowie naszą kłótnię. Chciałem ci wyjaśnić, dlaczego tak się zachowałem.

- I dlatego miotales się jak opętany? Próbowała nadać słowom wesołe zabarwienie, na przekór sobie, by udowodnić, że potrafi wykrzesać jakiegokolwiek inne uczucia niż żal i smutek.

Nie odpowiedział. Stali tak bez słowa, patrząc na siebie. Nina zadrzała.

- Zimno ci - wyszeptał. - Wejźmy do domu, zanim się przeziębisz.

- Wiktor, wszystko mnie przeraża. Nie mogę tu zostać, nie wiem, co czeka mnie tam, w domu. Jestem tchórzem. Tyle jest spraw, które powinnam uporządkować. Nie wiem, czy mam tyle siły... - wybuchła, nie panując nad sobą, i aż przykryła usta nadgarstkiem, gryząc go, by słowa nie wylały się z niej niczym nieprzerwany potok.

Stanął naprzeciwko niej i chwycił za ramiona, patrząc z uwagą w jasne oczy.

- Wiem. Naprawdę wiem. Kiedy chcesz wracać? - Jak zwykle w takich momentach brakowało mu odpowiednich słów, by dokładnie wyjaśnić jej, co myśli.

Zacisnął szczęki z bezradności.

Wytrzymała to pełne czułości i troski spojrzenie, które poruszyło w niej coś, czego bardzo nie chciała, więc zepchnęła to bardzo głęboko i szybko zasypała innymi uczuciami.

-Jak najszybciej. Nawet jutro - powiedziała szybko i zdecydowanie, by nie pojawił się choćby cień wątpliwości, że właśnie tak się stanie.

Dostała blokadę. Kolejne tabletki. Patrzyła na nie teraz, leżące na stolyczku w przytulnym, gościnnym pokoju Wiktora. Tak ładnie wyglądały. Ważyła je w dłoni kilka dobrych minut.

Wziąć czy nie?

Szum w głowie nasilał się, rósł, potężniał. Tętno przekroczyło chyba dwieście uderzeń na minutę. Decyzja.

Odłożyła tabletki.

Przebrała się w koszulę nocną, walcząc z uwięzioną w gipsie nogą. Udawała, że nic obok niej nie leży. Odwracała głowę za każdym razem, gdy oczy, jak głupie, szukały znajomych owalnych kształtów.

Wiedziała, że jest o krok od katastrofy.

Nagle zaśmiała się cicho.

Katastrofa?

A cóż to takiego?

Trudniej znieść przecież oczekiwania innych, że sobie z tym poradzi. Co jej zostało? Nic. Jedno wielkie nic.

Włosy łaskotały ją w twarz i ramiona. Złapała dłońmi za głowę, jakby chciała ją sobie odkręcić, wyłączyć myślenie.

Wdech, wydech, wdech, wydech, powtarzała sobie, bo coś ją kusilo, by zatrzymać ten oddech, aż oblecze ją dawno zapomniana szarość.

Ostatkiem sił, w wielkiej panice rzuciła się w stronę kapsułek z otepiającym zmysły lekiem. Jednym haustem połknęła wszystkie, aż krztusiła się nimi, przełykając.

Nie robiła tego dla siebie.

Pod powiekami widziała, jak po powrocie ze szpitala, kiedy pozwolili im mieszkać w jednym domu, siedzieli razem nad jej zeszytami.

Mierzylili jej zdrowie kolejnymi linijkami starannego pisma odrabianych lekcji i cieszyli się każdym dniem z oceną wyższą niż trzy.

Pracowała ciężko nie dla nauczycieli, tylko dla wyrazu dumy na ich twarzach.

Może i teraz by tego chcieli?

Tak jak obiecał, odwiózł Ninę do miasteczka i znalazł kierowcę, który miał odtransportować ją do domu. Jak zawsze wiele kosztowało go znoszenie spojrzeń mieszkańców. Nieznośne uczucie potęgowało jeszcze rozdrażnienie w związku z nieubłagalnie zbliżającym się pożegnaniem.

Był zły.

Nieco zapomniana czysta wściekłość, niepod-szyta żadnym innym uczuciem, znowu zagościła w jego wnętrzu. Czuł się bezsilny i nie chciał, żeby ktokolwiek to zauważył.

Zwłaszcza ona.

Chciał ją powstrzymać. Złapać w te swoje potężne łapy, przerzucić przez ramię i zanieść z powrotem do domu. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak groźnie wygląda. Z zaciśniętymi pięściami, zmarszczonym czołem i ciskającymi gromy oczyma był niczym rozjuszona zwierzę.

- Hej, potworze, bo wystraszysz tą miną wszystkich dookoła - próbowała żartować Nina. - Wyglądasz, jakbyś chciał kogoś rozszarpać.

Przed wyjazdem wzięła chyba za dużo tabletek, ale nie chciała łykać prochów przy obcych. A musiała mieć pewność, że nie rozsypie się po drodze, przyprawiając o zawał serca kierowcę.

- Nie martw się, za chwilę już nie będziesz musiała patrzeć na moją paskudną gębę.

Westchnęła ciężko.

- Jeśli ci z tym będzie lepiej, to możemy pokłócić się na pożegnanie. Ale wolałabym inaczej się z tobą rozstawać. I tak jest wystarczająco trudno.

- Słowa płynęły obok, jakby nie jej usta je wypowiadały. - Bardzo ci dziękuję. Za wszystko. Za ratunek, za dach nad głową w czasie poszukiwań... Wiem, że nie potrafię okazywać wdzięczności i trudne ze mnie babsko, ale jestem ci naprawdę wdzięczna...

- Chciałbym dostać czasem od ciebie jakiś znak życia - mruknął tylko, ganiąc się w myśli za to, że miał jej powiedzieć dużo więcej, a kiedy przyszło co do czego, potrafi wydusić jedynie to.

- Dam znać. - Uśmiechnęła się. - Ale ty też mi coś obiecaj: nie odsuwaj się od innych tak bardzo. Naprawdę nie musisz tego robić. Porządny z ciebie człowiek. Daj szansę ludziom to zobaczyć.

- Zawstydziała się, że wspomina o jego słabości, ale obiecała to sobie. - Nietrudno zauważyć coś więcej pod tymi bliznami. Zresztą... Sam je demonizujesz bardziej niż wszyscy dookoła.

- Nina...

- To wcale nie jest takie trudne. Wiem coś na ten temat. Obiecaj, proszę... - Złapała połę jego kurtki, jakby miało to pomóc w wymuszeniu obietnicy.

- Postaram się. - Skapitulował, wykrzywiając twarz w grymasie niechęci.

- Zadzwoń! - krzyknął, gdy samochód już ruszał. Słyszała, jak krzyczał, ale wiedziała, że nie odezwie się do niego bardzo długo. O ile w ogóle. Teraz chciała o wszystkim zapomnieć. Udawać, że nic się nie stało. Chłopcy po prostu gdzieś wyjechali, jak zwykle. Wrócą niebawem.

Rozluźniła się i próbowała odprężyć.

Samochód miał takie miłe w dotyku siedzenia. Gładziła dłonią materię.

Powinna pomałować paznokcie - zauważyła zaskoczona.

## ROZDZIAŁ 8

Miasto wrzało. Nina w ciągu kilku miesięcy zmieniła się nie do poznania. Błada, szara, ze zmęczonymi oczyma w ciemnych obwódkach, w niczym nie przypominała dziewczyny, którą była kiedyś.

Zbyt wiele ją przygniatało.

Przez ten krótki czas, kiedy przebywała w otoczeniu samej niemal przyrody, odwykła od szalonego tempa. Szybko jednak usuwała w cień wspomnienia z pobytu w górach. Wróciła do pracy, która była kiedyś ich drugim domem. Tworzyli tę firmę od podstaw. Ramię w ramię. Spędzali w niej razem czas, kłócili się, budowali swój świat. Kiedyś taka dumna z ich osiągnięć, teraz w przebłyskach świadomości nie potrafiła zrozumieć, dlaczego to robili i jaki to miało sens.

Niestety, zaległości były większe, niż przypuszczała, i teraz wszystko musiało być podporządkowane nadrobieniu. Odpowiadała za zbyt wielu ludzi, którzy pracowali dzień i noc, gdy zabrakło chłopców, a ona tkwiła w górach, czekając na wieści.

Dni zaczęły się zlewać w szarą bezkształtną masę. Gdy były nie do wytrzymania, nawet miewała momenty tęsknoty za szczytami i otwartą przestrzenią, która wydawała się teraz bliska, bo ich dusze tam zostały.

Tkwiła na granicy między rzeczywistością a światem, do którego teraz jednak bała się wracać, i męczyła się coraz bardziej.

Bardzo przeżyła pogrzeb przyjaciół, których ciała odnaleziono po kilku miesiącach. Patrzyła na dwie czarne trumny z niedowierzaniem, że w środku są właśnie oni.

Jak miała teraz żyć?

Reszty tego dnia nie pamiętała. Nie wiedziała, jak wróciła z cmentarza ani kiedy położyła się w ubraniu na kanapie i zasnęła. Nie pamiętała też kilku następnych dni. Wciąż widziała w myślach ich uśmiechnięte twarze i ostatni spędzony razem dzień.

Wiedziała, że wszystko to sprawia cierpienie po utracie, ale zbyt była jeszcze niepewna i krucha. No i z tyłu głowy tkwiło gdzieś jeszcze nie-chcące odejść samooskarżenie. Znowu wróciły koszmary, tyle że tym razem błędziła w nich po omacku we mgle, szukając kogoś bez skutku. Nie mogła się pogodzić ze stratą najbliższych w życiu osób. Jedynych, które rozumiały.

Jak to jest mieć syndrom Boga?

Znaleźć ślepo ufających wyznawców, gotowych spijać z ust każde słowo. Bez zastrzeżeń. Traktować je jak wyrocznię w sprawach najmniejszej i największej wagi?

Pan Dyrektor był człowiekiem niezwykłym. W czasach katastrofalnej nędzy placówek opiekuńczo-wychowawczych potrafił utrzymać kierowany przez siebie dom dziecka na bardzo dobrym poziomie materialnym, zdobyć środki na remonty ponadstandardowe wyposażenie, ubrania i inne potrzeby wychowanków. Dzieci wyjeżdżały regularnie na zorganizowane wakacje, nawet na wycieczki zagraniczne i rejsy żeglarskie. Były dowożone samochodami ośrodka do szkół, a te, które takie miały, nawet na wizyty w domach rodzinnych. Miały w pokojach telewizory, w świetlicy stały komputery, o których często szkoły mogły najwyżej pomarzyć.

Zapewniał dzieciom efektywną pomoc w nauce, czego rezultatem był pokaźny odsetek wychowanków kończących szkoły średnie i podejmujących studia wyższe. Dumą ośrodka był prowadzony przez Pana Dyrektora zespół muzyczny, występujący w programach telewizyjnych. Nagrywali nawet kasety z oryginalnym repertuarem.

Pan Dyrektor miał ponadto szczególne umiejętności techniczne, dzięki czemu wiele prac w ośrodku wykonywał sam, ucząc przy okazji chłopców, którzy z czasem traktowali go jak ojca i mentora. Przypominali jedną wielką rodzinę. Mężczyzna spędzał z wychowankami mnóstwo czasu, poświęcał im swoją uwagę, często większą niż ktokolwiek dotąd. Dzięki temu dla wielu stał się najważniejszą osobą na świecie. Zarówno chłopcy jak i dziewczęta zabiegali o jego przychylność, kupowali mu ze swego skromnego kieszonkowego prezenty. Szczycili się jego względami, przechwalali upominkami, które od niego dostali. Odczuwali między sobą solidarność, gdy czuli się traktowani jednakowo. Wybuchali nienawiścią, gdy ktoś był według nich faworyzowany. Szukali wtedy winnego i karali go. Czasem w okrutny sposób.

Nina, po raz pierwszy widząc budynek, zawahała się, ale prowadząca ją opiekunka uspokajająco położyła jej rękę na ramieniu.

- Uwierz mi. Tu jest naprawdę dobrze. Ten dom to więcej niż tylko dom dziecka. Wybraliśmy ci takie miejsce, byś po tym wszystkim wreszcie mogła się poczuć bezpiecznie.

Dziewczyna spojrzała w dobre zielone oczy kobiety. Było jej trochę obojętne, co się z nią dzieje. Wciąż na lekach przeciwdepresyjnych, po bolesnym procesie sądowym przeciwko dotychczasowym opiekunom z rodziny zastępczej, z którego niewiele wynikło, nie spodziewała się już od życia zbyt wiele.

Przyprowadziła ją kobieta nerwowo przyglądająca loki przepalanej trwałej. Starał się na nią patrzeć jak na kogoś obcego. Ale w dołku czuł znajomy ucisk. Wiedział. Od chwili gdy dostał wszystkie jej dokumenty i nieco przyblakłą czarno-białą fotografię, wiedział. Przez kręgosłup przeszedł mu dreszcz, stawiając wszystkie włoski na baczność. W łędźwiach poczuł napięcie, członek mu nabrzmał. Oblizwał wargi, bo nad górną pojawiły się drobne kropelki słonawego potu. Szła ku niemu z opuszczoną główką i ukrytym spojrzeniem. Dokonał oględzin pozbawionego jeszcze kobiecych kształtów, dopiero dorastającego ciała. Gdy w końcu uniosła twarz, uznał, że jest inteligentna, ale zgaszona, choć widać było, że drzemie w niej mocny charakter, ukryty nawet przed nią samą. O tak. Była warta jego reakcji. Nigdy się nie mylił.

Podczas rozmowy starał się, by nie opadła z niego przybrana poza. Nie mógł głębiej odetchnąć ani się rozluźnić, bo ta pinda, z którą Nina przyszła, gotowa

była jeszcze coś zauważyć. Nalał sobie wody i ta niewinna czynność pozwoliła mu odzyskać równowagę.

Uśmiechnął się, jak zazwyczaj, dobrotliwym ojcowskim grymasem.

- Kochane dziecko - powiedział ciepło - nareszcie trafiłaś w odpowiednie dla siebie miejsce. Pierwsze dni były niczym kolorowy film, w którym klatki poruszają się zbyt szybko dla zmęczonych oczu.

Ze spotkania z Panem Dyrektorem niewiele pamiętała. Gdyby ktoś wtedy kazał jej go opisać, nie potrafiłaby tego zrobić.

Nikt jednak jej nie przeszkadzał i dano jej czas, by oswoiła się z nowym otoczeniem.

Zaszywała się w czytelni, siadając z podkulonymi kolanami, na których opierała książkę.

Czytała lub tylko patrzyła w zapisane drobnym maczkiem kartki.

Piątego dnia, gdy jak zwykle trwała w swoim odrętwieniu, do sali wpadło dwóch chłopaków, szarpiąc się i bijąc.

- Ty debilu! - krzyczał jeden. - Coś ty zrobił!

- Kretynie! Puść mnie! Ty zawszony brudasio! To nie moja wina!

Brunet był silniejszy i zwinniejszy. Szybko wyrwał się niższemu blondynowi, popychając go tak, że ten przeleciał przez pół pokoju i z impetem wpadł na biurko, uderzając się boleśnie.

- Aaaaaaaa!

Nina zerwała się z krzesła i zaczęła drżeć, zaskoczona swoją reakcją. Najwyraźniej nie radziła sobie jeszcze z jakimkolwiek przejawem agresji, nawet jeśli nie dotyczył on bezpośrednio jej. Chłopcy dopiero wtedy ją zauważyli.

- Widzisz, co zrobiłeś? Zobacz, jak ją wystraszyłeś! - Brunet podszedł do Niny.

- Cześć, jestem Marek, a ten kretyn to mój kumpel Jacek. Właśnie zniszczył mi ulubiony podkoszulek i musiałem sprząć gówniarza. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

Nadal patrzyła na nich z niedowierzaniem. Blondyn podszedł do niej, wycierając ręce o spodnie.

- Ty jesteś ta nowa, prawda?

Kiwnęła głową, ale nie wyciągnęła ręki na powitanie. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, ale nie skomentowali tego. Różni tu trafiali. Ona nie była wyjątkiem. Oswoi się.

Do sali wpadła ruda Agata.

- Obiad! W te pędy! Wtedy się ocknęła:

- Mam na imię Nina.

Jak na komendę zaprezentowali białe uśmiechy.

- Chodź, słyszałem, że dzisiaj jest schabowy. - Jacek aż mlasnął.

- A ON nie lubi, jak się spóźniamy - mruknął Marek.

Jacek zgarbił się, gubiąc przy tym nieco swojego rezonu.

- Taaak, lepiej chodźmy. Tak właśnie ich poznała.

Dni mijały zaskakująco szybko. Lato zmieniło się w jesień, jesień w zimę. Padający śnieg niechcący przypominał jej pełne napięcia długie dni w górskiej chacie.

Stała w oświetlonej sali z kieliszkiem wina w ręku i wyglądała zamyślona przez okno. Była na fir-

mowym przyjęciu gwiazdkowym. Gwar i śmiechy ledwo do niej docierały. Nawet nie usłyszała, gdy ktoś do niej podszedł.

Dopiero wypowiedziane słowa sprowadziły ją na ziemię:

- Milion za twoje myśli.

Adam, szef działu projektów, stanął przed nią ze swoim amerykańskim uśmiechem.

- Myślę o górach - przyznała.

- Mówili, że już dawno doszłaś do siebie po tamtym wypadku. Ale chyba nie do końca, prawda?

Wydawał się nieco zakłopotany, ponieważ przyszedł do firmy raptem dwa miesiące temu. Nie bardzo orientował się w sytuacji. Ale już wiedział, że ludzie nadal żyli tu śmiercią szefów; mówiono o nich dość często. Nie przy niej jednak. To też zdążył zauważyć. Mógł się jednak tylko domyślać dlaczego i nie chciał wejść na jakąś minę.

- Nie musisz się o mnie martwić. - Roześmiała się nieco sztucznie, co zauważył, mimo że udawanie wesołości miała już opracowane niemal do perfekcji. - Wszystko w porządku.

Jestem po prostu trochę zmęczona. Ostatnio zważyło się dużo pracy.

- Słyszałem, że masz niezłe tempo. - Pokiwał głową. - Ale skoro jesteś zmęczona, może odwiedzić cię do domu? I tak miałem zamiar wychodzić. Nie przepadam za takimi przyjęciami. Wszyscy udają, że świetnie się bawią, a tak naprawdę ukradkiem zerkają na zegarki i czekają, żeby szef bądź szefowa - zawiesił głos - już wyszli. - To mówiąc, mrugnął do niej porozumiewawczo.

Trochę szumiało jej w głowie od wypitego wina. Nie powinna pić. Tym razem jednak nie umiała się powstrzymać.

- Ja też nie przepadam za przyjęciami. - Zaśmiała się. - Ale nie chcę cię fatygować. Wezwę taksówkę.

- Nie wyglupiaj się - zachnął się Adam. - Poza tym - jego słowom towarzyszyło rozbawienie - pomyśl, jaki piękny temat do soczystych plotek dostarczymy, jeśli wyjdziemy stąd razem. Roześmiała się. Dziwny dźwięk, pomyślała jeszcze, ale dała się ponieść.

- No dobrze. To niezły pretekst. Udało ci się mnie przekonać. - Odstawiła kieliszek na tacę przechodzącego kelnera i skierowała się ku wyjściu, dziwnie pewna, że Adam podąży za nią. Pierwsza gwiazdka bez Jacka i Marka. Nie chciała o tym myśleć. Nie dziś. Ani nawet jutro. Najchętniej nigdy.

Na drugi dzień, tak jak przewidywali, w biurze wrzało od plotek, które rozgrzał jeszcze ogromny bukiet łososiowych róż stojący na jej biurku. Nina po raz pierwszy od bardzo dawna bawiła się w najlepsze, widząc, jakie podchody robią koleżanki, by dyskretnie wybać ją co do relacji z Adamem. Nie było tajemnicą, że stanowił łakomy kąsek dla wszystkich wolnych kobiet w firmie. Młody, inteligentny, przystojny, na wysokim stanowisku. Z bardzo dobrej i szanowanej rodziny o koneksjach w świecie polityki. Ktoś nawet twierdził, że ma tytuł szlachecki.

Niemal ideał.

Co prawda nie bardzo ją to interesowało, ale potrzebowała trochę uczucia próżności.

Gdy zadzwonił telefon, jej głos w słuchawce zabrzmiał naprawdę radośnie:

- Halo?

- Podobają ci się kwiaty?

- O taaak, a jeszcze bardziej podobają mi się miny wszystkich dookoła. - Postukała piórem w otwarte dokumenty, kołysząc się na miękkim fotelu obrotowym.

- Co powiesz na otwartą wojnę? Znieruchomiła, marszcząc brwi.

- To znaczy?

- Zabieram cię na lunch.

-Adam... - Zawahała się, wkładając skuwkę do ust. - To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Nina, spokojnie, naprawdę mam grzeczne zamiary. Tylko nie mów mi, że nie jadasz! - Zaśmiała się.

Adam był fantastycznym kompanem. Zachowywał się czasem jak dobry przyjaciel, a czasem bezwstydnie ją adorował. Nie mogła nie przyznać, że niezwykle podbudował jej poczucie własnej wartości. Rozkwitła. Zaczęła nabierać chęci do życia, a nie tylko do pracy. Nagle okazało się, że świat się nie wali tylko dlatego, iż ona odczuwa chęć pójścia na basen, saunę czy do fryzjera. Nic złego się nie dzieje, kiedy od czasu do czasu odwiedzi sklep z markowymi ubraniami. Dostarczało to drobnych przyjemności, poza tym wpływało na jej wizerunek w pracy. Ludzie już nie zachowywali się w jej obecności, jakby przepraszała za

sam fakt, że nie spotkała ich żadna tragedia. Znowu stanowiła część zespołu, który pracował na wysokich obrotach. To z kolei procentowało zleceniami. Rynek reklamowy rozwijał się w szalonym tempie, a oni byli jedną z najstarszych polskich agencji. Kilka razy z Markiem i Jackiem zastanawiali się,

czy nie sprzedać udziałów zagranicznym inwestorom, składającym coraz poważniejsze oferty, ale w końcu postanowili czekać, i teraz Nina tego nie żałowała. Mogła w swoim tempie powrócić do dawnego sposobu pracy, bez obawy, że musi się komukolwiek tłumaczyć.

Spojrzała w lustro. Wyglądała teraz inaczej. Włosy sięgające ramion były cieniowane tak, by warstwami opadały, tworząc ładny owal wokół twarzy, dodatkowo mieniąc się rozświetlającymi pasemkami. Lekko opalona skóra nabrała brzoskwiowej barwy, a basen działał znakomicie na jej figurę i samopoczucie. Wkrótce wrócił też apetyt i lepszy sen, zniknęły więc sińce pod oczami. Tryskała energią, była radosna, ale od czasu do czasu zupełnie nieobecna myślami.

Adam, choć momentami myślał, że dobrze ją poznał, w takich chwilach zastanawiał się, czy w ogóle wie, kim jest ta dziewczyna, o której nie mógł przestać myśleć. Chciał bardzo określić głośno, na czym polegają ich relacje, ale zawsze kiedy planował taką rozmowę, w ostatniej chwili dochodził do wniosku, że tylko mógłby ją tym wystraszyć.

Uwielbiał jej towarzystwo i ze zdziwieniem zauważał, że szuka pretekstów, by spędzać z nią jak najwięcej czasu. Dziwiło go to, bo do tej pory wszystkie związki polegały na wiecznych unikach przed usidleniem przez kobietę. Teraz miał wrażenie, że goni za Niną, a ona czasami daje się dogonić, aby za chwilę oddalić się poza jego zasięg.

Podziwiał tę drobną kobietę za jej siłę woli. Wiedział, że nie miała w dzieciństwie rodziny, i choć nie miał pojęcia o ogromie jej przeżyć, już to wywoływało jego podziw.

Ponadto pociągała go niemiłosiernie.

Była naturalna w każdej sytuacji i zupełnie nie zdawała sobie sprawy z otaczającej ją aury pełnej kobiecości. Miała miękkie ruchy, pozbawione śladu wyuzdania. Nie poruszała się w wyuczony sposób, jak większość otaczających go dziewczyn, i nie starała się za wszelką cenę podkreślać strojem swoich atrybutów.

I była chyba jedyną znaną mu kobietą, która się rumieniła. Uwielbiał prawie jej komplementy, by potem widzieć, jak zdradliwy róż pokrywa gładkie policzki.

Choć potrafiła świetnie wybrnąć z każdej potyczki słownej, to właśnie ta reakcja potwierdzała, że pozbawiona była wszelkiej sztuczności.

Spędzali ze sobą dość dużo czasu. Odwiedzili kilka restauracji, byli na kilku filmach i przyjęciach. Zdarzało się im przesiedzieć cały wieczór przy butelce wina, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Mimo że kilka razy próbował, nigdy nie udało się mu namówić jej na zwierzenia dotyczące wypadku w górach.

Tego wieczoru jak zwykle siedzieli na kanapie, rozmawiając o ostatnio oglądanym filmie.

Adam, zupełnie odprężony, z rozbawieniem słuchał zachwyty Niny nad rolą Nicole Kidman, od czasu do czasu udając, że zupełnie się z nią nie zgadza. Tak naprawdę robił to jedynie dlatego, by zobaczyć, z jakim przekonaniem i pasją broni swojego zdania.

Zaferowana dyskusją, żywo gestykulowała, a on zastanawiał się, jak to możliwe, że nie wylała jeszcze kawy z trzymanej w ręku filiżanki.

- Jak możesz twierdzić, że ona w każdej roli jest taka sama? Przecież to nieprawda. Mało jest aktorek, które miałyby na swoim koncie tyle zróżnicowanych postaci. Nie można jej zaszufladkować. Jest wszechstronna i zawsze można ją utożsamiać z odgrywaną bohaterką. Poza tym to chyba dobrze, że role jej nie przytłaczają. Ona się staje tymi kobietami, ale ma nad nimi kontrolę. Ona je gra, a nie jedynie odgrywa.

Zaśmiał się w końcu, nie mogąc już dłużej znęcać się nad rozmówczynią.

- Ależ oczywiście, masz całkowitą rację!

- Drań! - Przejrzała go w końcu. - Długo miałeś zamiar się ze mną tak droczyć?  
Poprawiła bawełnianą sukienkę koloru perłowej szarości, by zasłonić kolana.

- Kiedy nie mogę się powstrzymać. Jesteś niesamowita, kiedy wkładasz tyle pasji w to, co robisz.

- Jesteś niepoprawny. Właściwie powinnam się na ciebie gniewać. Robisz sobie ze mnie żarty i bawisz się niczym na dobrym przedstawieniu.

Sposepniała, wlepiając wzrok w resztkę napoju.

- Nina, przecież dobrze wiesz, że uwielbiam cię pasjami! To z czystej sympatii!

Spojrzała na niego spod oka, nieco uspokojona, choć kiedy słuchała ostatniego zdania, coś w niej drgnęło, coś, co niemal przypominało strach. Odstawiła filiżankę na stolik i wstała z kanapy.

- No dobrze. Jest już tak późno, że nie będziemy mieli okazji porządnie się pokłócić.

Adam westchnął cicho, odgadując, że Nina chce uniknąć dalszej rozmowy. Zawsze poddawał się takim sugestiom, ale tym razem postanowił nie dawać tak łatwo za wygraną.

- Czemu znowu uciekasz? I przed czym, Nina?

- Co masz na myśli? - Speszyla się, oparła ręce na oparciu mebla, nie chcąc siadać.

- Przecież wiesz, że cię uwielbiam. Czy to cię tak wyprowadza z równowagi? Czego się tak boisz?

- Chyba ci się coś wydaje, Adamie. - Wyraźnie zaczęła się denerwować.

- Nie sądzę. Zawsze kiedy próbuję określić nasze relacje, a przynajmniej to, jak ja je widzę, ty uciekasz. Długo tak można?

- O co ci chodzi? Przecież nasze relacje są niezwykle czytelne! - Oczy rozszerzyły się jej w zdumieniu.

- Tak? To jak je nazwiesz?

- Jesteśmy przyjaciółmi. Adam kiwnął głową.

- Jasne. To powiedz mi teraz, kiedy ostatnio umówiłaś się z jakimkolwiek innym mężczyzną.

- Opuścił głowę, doskonale wiedząc, jaka może być odpowiedź.

- A co to ma do rzeczy?

- Odpowiedz po prostu. - Nadal starał się mówić cicho.

Nina milczała przez dłuższą chwilę.

- Ponad rok temu - szepnęła w końcu, kłamiąc, bo trudno było jej przyznać, jaka jest prawda.

- Czyli od czasu, kiedy się spotykamy, nie wychodziłaś z innym facetem, tak? - kontynuował bezlitośnie.

- Nie wiem, co to ma do rzeczy.

- Zaraz ci wyjaśnię. Powiem tylko, że odkąd się widzimy, ja też nie spotykam się z żadnymi innymi kobietami...

- .. Adam... - próbowała mu przerwać.

- Nie tym razem, Nina, teraz mnie wysłuchaj. - Zniecierpliwił się. - Czy zdajesz sobie sprawę, że w cywilizowanym świecie nasze spotkania są nazywane randkami? Czy zdajesz sobie sprawę, że większość facetów na moim miejscu czułaby się oszukana taką zabawą w chowanego? - Wpatrywał się w nią intensywnie, zamierzając doprowadzić tym razem sprawę do końca.

- O czym ty mówisz?

- O tobie. Przecież głupi zauważyłby, że mi na tobie zależy. Ale ty mnie ani nie odpychasz, ani nie przyciągasz do siebie. Drepczemy w miejscu, a ja nawet nie wiem dlaczego, bo jeśli robię coś źle, to może powinnaś mi o tym powiedzieć. Pozwalasz mi błądzić po omacku, Nina, a to nie jest w porządku.

- To nie tak... - szepnęła. - Ty nie rozumiesz...

- No właśnie, nie rozumiem, ale jak miałyby być inaczej, skoro niczego mi nie wytłumaczysz? - Patrzył nadal prosto na nią.



Cisza była jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał. Zrezygnowany i zdenerwowany, podniósł się z kanapy.

- Wiesz, jak już zbierzesz się na odwagę, żeby ze mną porozmawiać, daj mi znać. Ale mylisz się co do przyjaźni, jaka nas łączy. Przyjaciele potrafią ze sobą rozmawiać. Zwłaszcza na trudne tematy.

Skierował się ku wyjściu.

-Adam, zaczekaj - poprosiła. - Przepraszam. Nie jestem chyba taka, jak myślałeś.

- Nie, Nina. Ja sobie ciebie nie wyobraziłem. Poznałem cię taką, jaka jesteś. To ty stwarzasz te wszystkie bariery. Odwlekając pewne rzeczy, czynisz je trudniejszymi, niż są w rzeczywistości. A potem dziwisz się, że nie potrafisz sobie z nimi poradzić. Jestem cierpliwy, ale też jestem tylko człowiekiem - powiedział, jednocześnie zarzucając na siebie marynarkę. - Dobrej nocy. Przemyśl to wszystko, proszę. -

To mówiąc, sięgnął do klamki, ale w tym momencie, podejmując jakąś decyzję, nagle odwrócił się do niej. - Może to ci nieco rozświecili w głowie.

Objął ją zdecydowanym ruchem, zanurzając jedną dłoń w rozpuszczonych włosach. Pochylił się, cały czas patrząc jej w oczy. Nina, jakby zdziwiona, w ogóle nie protestowała, choć wiedziała, co się zdarzy. Pocałunek zaskoczył ją jednak. Czuli mocne ramię obejmujące ją w pasie i delikatną pieszczotę dłoni na policzku i we włosach. Usta same zdecydowały o oddaniu tego, co dostały. A może tego chciała?

Adam z trudem odsunął się po dłuższej chwili, ale cały czas trzymał ramię wokół jej bioder.

- Widzisz? - wyszeptał. - Świat się nie zawalił. Serce biło jej mocno. Opuściła głowę i włosy zasłoniły jej twarz tak, że nie widział reakcji.

- Dobranoc - rzucił, wychodząc.

Nina nie mogła zasnąć. Wiedziała, że Adam ma rację. Wiedziała o tym od dawna, ale chyba naprawdę wykorzystywała fakt, że był wobec niej taki cierpliwy. Nie naciskał. Nie poganiał. A ona, zamiast docenić jego zachowanie, chowała się niczym mała dziewczynka.

Czego ty chcesz? - zapytała samą siebie.

Przed oczyma zaczęły się jej pojawiać obrazy z dzieciństwa i ogarnął ją strach na myśl, że ktoś mógłby odgadnąć jej tajemnicę.

Poczuła, jak policzki pokrywa jej rumieniec wstydu.

Już była gotowa zrzucić całą winę na dawne wydarzenia, ale jakiś głos w środku cicho podpowiedział, że jest zbyt inteligentna, by tłumaczyć

się przed samą sobą w taki sposób. Wstyd i upokorzenie były jednak wciąż zbyt silne i zagłuszyły głos rozsądku szybciej, niż się pojawił.

Czuli się winni. Nienawidziła tego uczucia. Tak długo udawało się je tłumić, a dzisiaj wszystko wróciło, w dodatku jakby większe, bo pojawił się jeszcze Adam ze swoimi pretensjami.

Oczywiście, była tylko kobietą. I to kobietą potrzebującą oparcia bardziej, niż się do tego przyznawała. Niejednokrotnie ukradkiem przyglądała się Adamowi, podziwiała jego wyprostowaną sylwetkę, sposób, w jaki się poruszał. Często jednak zdarzało się jej porównywać go do Wiktora i za każdym razem zastanawiała się, jak to możliwe, że są tak bardzo różni.

Dziwiło ją to, obaj bowiem wywoływali w niej ciepłe uczucia. Nie wiedziała tylko, dlaczego Adama obawia się mniej, mimo że teraz znajdował się bliżej aniżeli Wiktor. Wiedziała, w czym tkwił jej problem, za dużo miała za sobą sesji terapeutycznych, by nie wiedzieć. Ale nadal nie czuła się na siłach. Nie potrafiła. Wkraczała coraz głębiej w realny świat dorosłych i ich relacji, bez osłony, którą zapewniali jej Jacek z Markiem. Trochę późno zaczynała być naprawdę dorosła.

Nie spała niemal całą noc.

W myślach raz tłumaczyła się przed samą sobą, raz ganiła za głupotę i naiwność. Ranek zaskoczył ją zaledwie po dwóch godzinach snu.

Półprzutomna wzięła prysznic i zawinięta jedynie w szlafrok zaparzyła sobie kawę. Siedząc przy oknie, spoglądała na dobrze znajomy krajobraz. W parku jak zwykle spacerowali sąsiedzi ze swoimi czworonogami, od czasu do czasu przemykali amatorzy joggingu.

- Dzień jak co dzień - mruknęła, trochę zła na siebie, że w ogóle przyszło jej do głowy, iż świat mógłby w jakikolwiek sposób zareagować na jej problemy.

- Egoistka - dodała po chwili.

Odstawiła kubek i przeczesując włosy palcami, podeszła do szafy.

Bezwiednie sięgnęła po zieloną sukienkę sięgającą kolan. Lubiła ją za wygodę miękkiej tkaniny i uspokajający kolor. Już ubrana, nałożyła jeszcze długie kolczyki i buty na wysokim obcasie. Obrzucając mieszkanie szybkim spojrzeniem, doszła do wniosku, że powinna w nim posprzątać. Tak samo jak w swoim życiu.

Dzień był niezwykle ciepły. Włączyła klimatyzację w samochodzie i podkręciła głośniej muzykę. Zawsze pozwalało jej to oderwać się od nieprzyjemnych myśli.

W biurze jak zwykle panował gwar, czekało na nią mnóstwo pracy, szybko więc uwolniła się od złego nastroju.

Dopiero koło czternastej zorientowała się, że Adam nie zadzwonił, żeby zaproponować zwyczajowy lunch. Przyzwyczajona, że to on pamiętał o jedzeniu, oprzytomniała dopiero w momencie, kiedy poczuła, jak bardzo jest głodna. Wtedy przypomniała sobie, co usłyszała poprzedniego wieczoru. To ona teraz musi wykonać krok.

## ROZDZIAŁ O

Wciąż z mieszanymi uczuciami, wiedzona jedynie niejasnym poczuciem konieczności działania, szła w kierunku gabinetu Adama. Na jej twarzy widać było wyraz determinacji, ale gościł na niej również spokój.

Skierowała się prosto do sekretarki Adama.

- Oliwio, mogę wejść czy jest zajęty?

- Dla ciebie, słonko? - zaszczębiotała ładna blondynka. - Wchodź śmiało.

Patrząc na nią, Nina niejednokrotnie zastanawiała się, dlaczego Adam nie umawiał się z tą dziewczyną. Śliczna kobieta o delikatnych rysach dziecka, z wiecznym uśmiechem na ustach. Przy tym zaprzeczająca wszelkim stereotypom o głupich blondynkach.

Przekraczając próg pokoju, zobaczyła go pochylonego nad jakimiś dokumentami. Kiedy weszła, wstał, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. Szybko jednak ustąpił wyrazowi napięcia, gdy tylko ujrzał jej spojrzenie.

- Nina! Jaka miła niespodzianka. Ślicznie wyglądasz - powiedział na powitanie, całując ją w policzek.

- Nie zadzwoniłeś, żebyśmy wyszli na lunch! - W jej głosie dało się wyczuć lekkie zdenerwowanie.

-Ach, lunch. - Adam jakby odetchnął, myśląc, że skoro to jest przyczyną jej wyrazu twarzy, to szybko będzie mógł ją udobruchać.

- Miałem milion spraw, spotkanie za spotkaniem...

- Co do wczorajszego wieczoru... - przerwała mu szybko, bojąc się, że zaraz opuści ją cała odwaga, w którą uzbroiła się, przychodząc do niego.

- Taak?

- Miałeś rację. Jestem po prostu tchórzem. Przez chwilę milczeli, a na policzkach Niny pojawił się rumieniec.

- Taak? - powtórzył, unosząc nieco lewą brew.

- Och, nie myśl, że od razu przyznam ci rację we wszystkim. - Zaperzyła się nieco; była zdenerwowana bardziej, niż na to wyglądała.

- Okej, możemy przyjąć metodę małych kroków, skoro chcesz.

- Adam, przyszedłam, bo musimy porozmawiać, a wiem, że wyjeżdżasz na jakiś czas...

- Tak, tak - tym razem on jej przerwał. - Ale to tylko tydzień, później zajmie się już tym dział reklamy...

- Daj mi skończyć, proszę. Muszę przemyśleć wiele spraw, wczorajszy wieczór mi to uświadomił. Mam zamiar wyjechać. Wzięłam urlop.

- Chciałem z tobą porozmawiać, może jednak przesadziłem, nie mam prawa cię tak oceniać, kiedy sam zachowuję się czasem niejednoznacznie...

- Daj spokój. Będę nad Jeziorem Czarnym. Spędzę tam kilka dni, może mnie oświeci, co ze mną jest nie tak. --Zaśmiała się, chcąc jakoś rozładować ciężką już atmosferę.

Wyszedł zza biurka i oparł się o nie, wyciągając długie nogi i krzyżując ramiona na piersi.

- Długo tam będziesz?

- Nie wiem, parę dni. Potrzebuję odpoczynku.

- Rozumiem.

- Odezwij się - poprosiła, wychodząc.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Adam potarł policzek dłonią.

- Krok do przodu, dwa do tyłu - mruknął. Pomyślał, że mimo wszystko powiedziała mu, gdzie może ją znaleźć. Gdyby szukał oczywiście.

Wiedział, że coś jest nie tak. To, w jaki sposób zachowywała się w stosunku do niego, nie wynikało z wyrachowania. Domyślał się jedynie, że za tym kryje się coś więcej. Nie był tylko pewien, czy ona jest na tyle silna, aby stawić temu czemuś czoło.

Z drugiej strony, choć zależało mu na niej, coś stale podszeptowało, że gdyby znaczył dla niej tyle, ile ona dla niego, powinna robić wszystko, by się do niego zbliżyć. A przede wszystkim zaufać mu.

Choć prawdę mówiąc, wyglądało na to, że zaczęła coś jednak robić. Pytanie, jak mocno zależy jemu...

Las był taki, jakim go pamiętała z czasów, gdy podczas wakacji studenckich dorabiali sobie w ośrodku jako pomoc, sprzątając w stołówce i pokojach. Szeregowe domki letniskowe z daleka wyglądały jak małe szałaszy, ale gdy podeszło się bliżej, okazywały się całkiem spore. Składały się z małego pokoju gościnnego z aneksem kuchennym i dwiema sypialniami, w których oprócz łóżka, małej szarki nocnej i szafy nie mieściło się nic więcej. Wszystko w ciepłych barwach.

Na sofie leżała patchworkowa narzuta, pod nogami owcza skóra. W każdym pomieszczeniu stały meble z sosnowego drewna, na których widać było wszelkie rysy i zagłębienia pozostawione przez poprzednich gości.

Zmieniło się wiele w wystroju, gdyż utkwiły jej w pamięci o wiele skromniejsze sprzęty, ale minęło tyle lat, że nikt nawet już nie pamiętał chudej, wystraszonej dziewczyny, przemykającej wśród wczasowiczów.

Zostawiła torbę na łóżku i wyszła na zewnątrz, chcąc odetchnąć po długiej podróży.

Wyjazd miał stanowić mały test. Spędzić czas tam, gdzie pełno było wspomnień, i nie zwariować.

Tafla jeziora w świetle zmierzchu przypominała grafit. Dookoła panowała cisza przerywana jedynie odgłosami przyrody. Usiadła na zwałonym pniu, tym samym co przed wieloma laty, i zamknęła oczy, zadowolona z podjętej decyzji. Pobyt tutaj dobrze jej zrobi. Gdzieś niedaleko ryba rzuciła się z głośnym pluskiem.

Nina przez chwilę wypatrywała następcę, ale na darmo.

Przyleciał, nie wiadomo skąd, wiatr. Uniosła ze zdziwienia głowę. Nasłuchiwała go, odnajdując w nim historię dźwięków niesionych zapewne przez wiele kilometrów. Zdawało się jej, że szumiał o wszystkim, co widział i słyszał na szerokim, wielkim i przedziwnym

świecie, i leciał, aż przyleciał do niej. Uśmiechnęła się. Przenikał ją teraz, silniejszy, zwiastując wieczór. Woda marszczyła się delikatnie, przeszkadzając niebu w przeglądaniu się w niej niczym w lustrze.

Wiatr nie mącił ciszy, albowiem nie był z wiatrów takich, co grzmia i huczą, wstrząsają i obalają. Odwróciła głowę, patrząc na łąki, gdzie pieszczotą muskał w locie rumiane smółki i czerwone szczawie. Odgarnęła zawiane na czoło włosy, przytrzymując je dłonią, by nie zasłaniały widoku. Wiedziała już, dlaczego przyjechała w to miejsce.

Westchnęła ciężko. Robiło się coraz ciemniej, a ona musiała jeszcze jechać po jakieś zakupy. Poza sezonem nie mogła liczyć na jakikolwiek posiłek w stołówce. Z niechęcią i ociąganiem wstała z pnia i ruszyła w stronę domku.

Po powrocie ze sprawunkami podeszła do kominka, przekonana, że rozpalony ogień pomoże jej się zaaklimatyzować. Trochę też zmarzła. Wieczory były tu chłodniejsze niż w mieście. Ogień przyjemnie trzaskał, kiedy rozpakowywała zakupy i układała je w lodówce. Ze stojącego na bufecie radia sączył się smooth jazz, obok stała butelka czerwonego wina i napelniony do połowy kieliszek.

Trzymając w dłoni melon, jednocześnie zrzuciła z nóg sandały i próbowała nucić. Kiedy uporała się ze sprawunkami, wzięła jedną z przywiezionych książek i usiadła na sofie, podkulając nogi.

Na stojący obok stolik odstawiała kieliszek i pochyliła się nad lekturą. Mimo wielkiej chęci czytania dały o sobie znać ostatnie przeżycia i nieprzespana noc. Głowa sama opadła jej na ramię. Po chwili już spała.

Wydawało się jej, że spaceruje po znajomej okolicy, ale to nie było otoczenie jeziora.

Powietrze, jakby ostrzejsze, przyprawiało o lekki zawrót głowy.

Z daleka ktoś nawoływał. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że słyszy swoje imię. Nagle do-

okoła zrobiło się białe i zimno. Ostre igiełki lodu kaleczyły jej twarz. Wpadła w panikę.

Biegła coraz szybciej i szybciej, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Zaczęła zapadać się w nagle pojawiający wokół śnieg.

- Nina!

Ktoś szarpnął ją za ramię dokładnie w momencie, gdy na horyzoncie pojawiła się postać.

Skądś ją znała, ale nie zdążyła sobie przypomnieć.

Nad nią stał Adam i lekko potrząsał jej ramieniem.

- Na miłość boską, dziewczyno, zamykaj drzwi! Jesteś sama w takiej głuszy i tak po prostu śpisz!

-Adam?!

- Masz szczęście, że to ja - powiedział, wyraźnie zły.

- Co ty tu robisz? Miałeś lecieć do Toronto!

- Ale nie poleciałem - warknął, wciąż wściekły, że jest tak bezmyślna, śpiąc na odludziu z otwartymi drzwiami.

- Dlaczego?

- Dlaczego co? Dlaczego nie poleciałem czy dlaczego tu przyjechałem?

- Jedno i drugie. - Przetarła dłonią oczy. - Zupełnie nie wiem, kiedy zasnęłam. - Nina najwyraźniej niewiele robiła sobie z jego złości.

- Poleciał za mnie Rafał. Przyjechałem, bo chciałem się z tobą zobaczyć.

- Tak po prostu?

- A muszę mieć specjalny powód? - Był wyraźnie zdenerwowany. - Całe szczęście, że to jedyny działający o tej porze roku ośrodek, bo już się bałem, że czeka mnie noc w samochodzie.

Uśmiechnęła się i odgarnęła opadające na czoło włosy.

- No to mnie już zobaczyłeś... - Coś szelmowskiego błysnęło w jej oczach.

Zdębiał, bo powiedziała to najzupełniej poważnie, z taką miną, że pewien był wskazania mu za moment drzwi.

Nina nie mogła już powstrzymać śmiechu. Wstając, zrzuciła z kolan książkę. Adam schylił się i wtedy zobaczył, że coś wypadło pomiędzy kartek.

Nina podeszła do bufetu i sięgnęła do szafki po drugi kieliszek. Odwróciła się do niego już z napełnionym szkłem i znieruchomiała.

Adam wpatrywał się w jakiś papier. Poznała go natychmiast. Zupełnie zapomniała. Jak mogła do tego dopuścić?

- Piękne. Kto to narysował?

- Przyjaciel.

Ton jej głosu spowodował, że cały się spiął.

- Przyjaciel? Znam go?

- Nie, nie znasz. To Wiktor.

- Wybawca... - Pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Tak, wybawca.

- Ma talent.

- Też tak uważam, ale on nie jest typem artysty. - Rozluźniła się nieco i podała mu kieliszek.

- To znaczy?

- No wiesz, taki nieokrzesany facet, raczej przypomina wagabundę niż malarza. Ale czasem zaskakuje, kiedy z małego kawałka drewna wyczarowuje figurki koni. - W jej oczach pojawiło się coś, czego nigdy dotąd u niej nie widział. Specyficzny rodzaj czułości.

Na niego nigdy tak nie spojrzała.

- Lubisz go - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Uratował mi życie - powiedziała, patrząc Ada-

mowi prosto w oczy. - Karmił i opiekował się mną, kiedy majaczyłam. Czy to takie dziwne, że żywię do niego ciepłe uczucia?

- Nie. - Powstrzymał westchnienie, nie chcąc się zdradzać. - Lepiej to schowaj.

Nina wzięła kartkę do ręki. Spojrzała na dobrze znany obrazek. Przedstawiał piękne, surowe góry- Bez słowa wsunęła go z powrotem za okładkę książki.

- Pewnie jesteś głodny? - zapytała; jedzeniem zawsze można zmienić zreżymowany temat.

- Prawdę mówiąc, diabelnie. - Nadal uważnie na nią patrzył. - A czym możemy się uraczyć na tym czarującym pustkowiu? - zakpił lekko.

Udając, że tego nie zauważyła, wyjęła talerze.

- Kurczakiem. Przygotuję kolację, nie martw się, możesz w tym czasie spokojnie się rozpakować. Który domek wynajęłaś?

Adam odchrząknął.

Odwróciła się do niego, zaalarmowana brakiem odpowiedzi.

- Właściwie nie miałem szansy... Od razu przyszedłem do ciebie. Dozorca z samochodu pokazał mi, gdzie cię szukać. Będzie dopiero jutro. Prawdę mówiąc...

- ...liczyłeś, że przenocujesz tutaj, tak? - Zdenerwowała się nagle, ale szybko opanowała emocje. - Dobrze - powiedziała zaskakująco łagodnie, a on prawie zakrzuszył się własnym oddechem.

- Naprawdę?

- Tak. Tu są dwie sypialnie. Pościel jest w każdej. Ja ulokowałam się w tej po lewej.

To mówiąc, odwróciła się do szykowanego posiłku, nie zadając sobie trudu, by ocenić reakcję Adama.

Po chwili usłyszała, że wyszedł. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na westchnięcie. Oparła się całym ciężarem na dłoniach, które dociskała do blatu. Drżały. Ledwie zdążyła wziąć kilka głębszych oddechów, nim wpadł z impetem, dźwigając dużą torbę podróżną.

Parsknęła śmiechem, momentalnie zmieniając wyraz twarzy.

- Przyjechałeś na miesiąc? Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Śmieję się, śmieję. Nie miałem pojęcia, gdzie będziesz i ile cię będę szukał.

Teraz już naprawdę nie mogła się powstrzymać.

Ten facet był prawdziwym mieszcuchem, nie dało się ukryć. Była gotowa założyć się o cokolwiek, że znalazłaby w jego bagażu nawet suszarkę do włosów. Pokręciła głową rozbawiona.

Wydobyła z piecyka kurze udka i ułożyła je na wielkim kolorowym talerzu razem z sałatą i pokrojonym melonem. Zachecona wciąż ładną pogodą, wyniosła jedzenie na małą werandę, gdzie stał niewielki drewniany stół i cztery krzesła.

Był piękny wieczór. Jasny i bezwietrzny. Drzewa tylko delikatnie potrząsały liśćmi z łagodnym szelestem, mącąc niemal idealną ciszę. Stała przez chwilę nieruchomo, delektując się nią, ale zaraz sprowadził ją na ziemię głos Adama:

- Pijemy wino?

- Tak! - odrzyknęła. - Kieliszki stoją na stoliku. Po kilku kęsach Adam podniósł kieliszek.

- Za spotkanie.

Skinęła tylko głową, ale uśmiechnęła się, jednocześnie opuszczając głowę, by nie widział jej rozbawionej miny.

Poczuła wtedy na sobie jego wzrok. Tak natarczywy, że gdy uniosła po chwili twarz, musiała odwrócić oczy.

Adam patrzył na nią uważnie. Widział ruch bioder, gdy nachylała się w stronę stołu, każde uniesienie ręki do ust.

Zmierzchało.

Ciemna skóra odcinała się od błękitnej bluzeczki na ramiączkach.

Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek dotąd. Bez makijażu i eleganckich kostiumów czy oficjalnych sukienek, które tak często nosiła, naturalna, jak żadna znana mu kobieta.

O tak.

Była piękniejsza niż we wszystkich jego marzeniach, które snuł podczas samotnych chwil.

Nie zamierzał wypuścić jej z rąk.

Takiej kobiecie nie można pozwolić odejść.

Pomógł jej posprzątać, gorączkowo szukając w myślach jakiegoś pretekstu, by ten wieczór nie skończył się zbyt szybko.

Ale Nina wcale nie miała zamiaru mu niczego ułatwiać.

- Masz u siebie w pokoju ręczniki? - spytała, zabierając ze stolika książkę i kubek z zimną już herbatą.

- Chyba nie.

- Tak myślałam. U mnie leżą dwa komplety. Weź jeden. Prawdę mówiąc, chciałabym się już położyć spać. Jestem naprawdę zmęczona.

Wszedł za nią do sypialni. Mimo że przebywała w tym domu tak krótko, pokój przepelniony był jej zapachem. Łóżko stało pod oknem, zasłane kolorową kapą, on zaś wyobraził ją sobie leżącą w pościeli i obraz ten mocno utkwiał mu w głowie.

Chwytnąc się ostatniego pomysłu, wyrzucił jednym tchem:

- A może jednak uda mi się namówić cię na wieczorny spacer?

Wyglądał tak, że nie miała serca odmówić. Poza tym spacer to nie żadna zbrodnia.

- Dobrze. Włożę tylko jakiś sweter.

Poszli obok siebie, przedzieleni odległością podyktowaną przez Ninę, a jemu ręce same wyciągały się w jej kierunku i tylko siłą woli udało się je powstrzymać. Wilgotna trawa ugięła się pod ich ciężarem. Gdy wysunęła się nieco przed niego, Adam patrzył na jej szyję ciemniejącą nad kołnierzykiem białego sweterka. Objął wzrokiem całą jej sylwetkę, napawając go czułością dotąd obcą jego naturze. To nie był jedynie pociąg fizyczny. To było

uczucie uwielbienia zmieszanego z podziwem. I wtedy Adam z przerażeniem odkrył, że zakochał się w tej kobiecie na amen.

Szedł za nią. Na ścieżkę wchodziło się przez sklepioną bramę, utworzoną przez gałęzie dwóch ogromnych drzew, które pochylały się ku sobie. Ich pnie, stare, ciasno oplecione bluszczem, brodate porostami, przywodziły na myśl baśnie o pradawnych kniejach. Ścieżka wiła się kręto. Wkrótce jasność prześwitywała jedynie skromnym blaskiem w wylocie utworzonej przez naturę bramy. Otoczyła ich tak głęboka cisza, że każdy krok rozlegał się głośnie echem, i zdawało się im, że drzewa, schylone nad nimi, przysłuchują się uważnie, oceniając, czy są godni, by pokazać im, co kryje przed nimi otoczenie.

Gdy oswoili oczy z półmrokiem, widzieli przed sobą i za sobą mały odcinek drogi w przyćmionym zielonym świetle. Od czasu do czasu skąpa wiązka promieni słonecznych przedostawała się przez jakąś szczelinę w liściach. Lecz zdarzało się to coraz rzadziej, aż wreszcie słońce znikło zupełnie. Dostrzegli zwierzątka zwinnie przemykające w poprzek ścieżki i kryjące się za pniami drzew. Najszybsze w tym lesie wydawały się pajęczyny. Grube nici splecione w gęste sieci, często przerzucone od drzewa do drzewa lub osnute wokół niższych gałęzi po obu stronach drogi. Pod sklepieniem drzew powietrze stało nieruchome, bez najlżejszego powiewu, wciąż jednakowo ciemne i duszne. Z ulgą więc wyszli w końcu na otwartą przestrzeń, gdzie przed oczyma lśniła grafitowa, dumna tafla jeziora.

Było tak pięknie, że powodowany odruchem przyciągnął ją do siebie.

- Zobacz, jak cudownie.

pała się ponieść chwili i oparła o szerokie ramiona. Ukrył twarz w jej włosach, zachęcony brakiem protestu.

Delikatnie odwrócił ją ku sobie i pochylił się nad drobną twarzą, by pocałować, mrucząc zmysłowo:

Moja maleńka...

Minie jakby ktoś wymierzył policzek. Szarpnęła się gwałtownie do tyłu i nim Adam, zaskoczony, zdążył zareagować, rzuciła się do ucieczki.

W głowie huczało jej: „maleńka, maleńka”. Czuła, jak twarz jej płonie, a w gardle rośnie wielka, twarda klucha, uniemożliwiająca oddychanie. W rekordowym tempie wpadła do domku, zgarnęła tylko potrzebne rzeczy i nie oglądając się za siebie, wybiegła do samochodu. Ruszyła z piskiem opon, kiedy na skraju polany pojawił się Adam.

Stał przez chwilę, nie mogąc pojąć, co właściwie się stało. Ale nie był tak głupi, by wreszcie nie zrozumieć jednego: Nina się go bała.

A raczej: bała się, gdy jej dotykał.

Gdy gorączkowo usiłował uzmysłwić sobie, czy widział kiedyś, by pozwoliła komukolwiek na bliższy kontakt, ze zdumieniem odkrył, że nie potrafi przypomnieć sobie nic. Poza jednym epizodem w jej domu.

Nina nie pozwalała się dotykać nikomu.

Jak mógł być taki głupi? Jak mógł nie zauważyć?

Złapał się za głowę obiema rękami.

- Co ja zrobiłem najlepszego?

Wyciągnął z kieszeni spodni telefon komórkowy. Bez wahania wybrał znajomy numer.

- Tato? Nie, nic się nie stało, ale mam prośbę. Mogę wypożyczyć od ciebie Henryka na kilka dni? Nie, nie musisz się martwić. Po prostu chcę zebrać kilka informacji i przyda mi się ta tęga głowa. A raczej jego dawne koneksje. Dobrze. Odezwę się jutro.

Gdy kończył rozmowę, przebiegło mu przez myśl, że dobrze mieć czasem ojca senatora i byłego milicjanta wśród jego najbliższych pracowników.

ROZDZIAŁ 10

Nina pędziła szosą, ocierając łzy. Jak mogła dać się tak łatwo wyprowadzić z równowagi?

Jednak wspomnienia wciąż były silniejsze?

Mineły ponad dwa miesiące, odkąd zamieszkała w domu dziecka. Rytm dnia był wyznaczany przez dyrektora placówki. Jak precyzyjny zegarmistrz podzielił dobę wychowankom, zapewniając im zawsze zajęcia. Mimo to udawało się jej i chłopcom znaleźć chwile tylko dla siebie. Mieli swoją grę. Codziennie dobudowywali fragment własnego wyimaginowanego świata. Każde z nich co trzeci dzień przedstawiało swoją wersję przyszłości, dokładając coraz to nowe wydarzenia. Wciągnęło ich to bez reszty. A ją uratowało przed zupełnym zatraceniem w coraz bardziej pochłaniającej czerni, nawiedzającej jej sny niemal co noc. We śnie stała w tłumie, samotna i zbyt mała, by ktokolwiek ją zauważył. Obejmowała drobne ramiona dłońmi i trzęsła się ze strachu, sama nie wiedząc, przed czym i przed kim. Usta drżały sobie tylko znanym rytmem, posiniałe, zziębnięte i tak popękane, że czuła na języku słonawy smak

krwi. Dziwiła się, bo podświadomie wiedziała, że we śnie nie powinno być to możliwe. I nagle tłum jakby oszalał. Rozległ się ryk tysięcy gardeł, każdy jęczał i szlochał, a ona, bezsilna i przerażona, modliła się, by i ją ktoś usłyszał, wyciągnął rękę i złapał mocno, najmocniej, by unióśł ponad wszystkimi głowami i zabrał pod niebem wciąż jeszcze niebieskim. By mogła przepłynąć lekka, jak nigdy, bez strachu, że spadnie, rozbije się na milion kawałków. Na próżno. Ktoś trącał ją ciągle i macał, a ona trzęsła się coraz bardziej w panice, że poznają wszyscy, że tu nie należy, wydadzą wyrok, rozszarpią za bezprawne ukrywanie się pomiędzy nie swymi. Lecz nagle wrzaski ucichły. Ze zdziwieniem odkryła, że nie znaleźli tego, kogo szukali. Ale i tak bezsilność doprowadzała ją niemal do szaleństwa, bo widziała w tych twarzach dzikie zwierzęta. W jej podwójnej fantazji mordowali i niszczyli bez opamiętania i bez litości.

Nagle odeszli. Jakby rozplynęli się gdzieś przed horyzontem.

A gdy szli, zmieniali się w poczwary, lizali nie wiadomo jak powstałe rany, ocierali łyzy, koili lęk. Świt wstawał coraz szybciej, a przecież przed chwilą jeszcze słońce stało wysoko, jakby zegar wyznaczał świat sennych koszmarów, idąc w tył.

Nina długo jeszcze musiała czekać, nim senna mara pozwoliła jej nie patrzeć na wykrzywione grymasami maski coraz straszniejsze, potworne, aż w końcu z ulgą uniosła powieki i siadła w pościeli.

Kiedy wreszcie usłyszała, że leżące obok dziewczyny oddychają wolno i regularnie, wstała. Otulona grubym swetrem, choć było niezwykle ciepło, wśliznęła się po schodach na taras, uważając, by żaden stopień nie skrzypnął.

Rogal księżycy, przesłonięty lekką mgiełką, rzucał na świat zimny blask, szła więc pewnym krokiem. Zresztą umiałyby pokonać tę drogę nawet w całkowitych ciemnościach. Jej palce niemal odruchowo znalazły korę ulubionego drzewa. Od razu je wybrała, gdy tylko po raz pierwszy wyszła na zielony dziedziniec, gdy pokazywano jej, gdzie są granice, w których wolno jej było poruszać się bez pozwolenia. Usiadła pod nim, opierając plecy o twarde i szorstki pień.

Miotły nią sprzeczne uczucia.

Tak bardzo nie chciała znowu poczuć się odrzucona, zraniona. Chłopcy jednak od razu wydali się jej jacyś dziwnie bliscy. Podobali się jej, choć nowe to było uczucie i nie bardzo wiedziała, co z nim właściwie zrobić. Spojrzała na dłonie. Drżały. Wstrząsnął ją dreszcz. W jej wnętrzu szalała burza. Dwa żywioły przewracały trzewia, podchodząc coraz wyżej pod gardło, dusząc. Paznokciami wbijała się w dłonie, kalecząc je aż do krwi. Jak dziwnie przyniosło to ulgę. Ból czysto fizyczny ukoił zszargane nerwy, a widok płynącej krwi spowolnił biegnące myśli.

Co ja robię? - myślała przerażona, że zadaje sobie rany, i to ją tak kołysze.

Zaczęła myśleć o chłopcach, wystawiając na próbę nowo poznaną słabość. Dostrzegła w nich prostotę, szczerłość i pasję, która ją fascynowała. Byli odważni, inaczej nie podjęliby walki z silniejszym przecież od nich Dyrektorem. Ale nie wiedziała, czy postępowali słusznie



i sprawiedliwie. Zbyt słabo znała prawdy tego świata, sprawiedliwość i niesprawiedliwość, by to trafnie osądzić. Co bowiem było sprawiedliwe?

Poruszenie i sympatia kazały jej podzielać ich uczucia, gniew na przemoc i ponizenie, których co dnia padali ofiarą już od wczesnego dzieciństwa. Ale w uszach brzmiał jej także rozważny, spokojny głos matki, która zawsze prosiła ją: „Bądź dobra. Nawet gdy inni błędzą, nie idź za nimi”.

Tak bardzo chciała się jej podobać.

Odwróciła się w stronę schodów i nasłuchiwała, żeby się upewnić, że z domu nie dobiegają żadne dźwięki. Potrzebowała jeszcze chwili bez innych głosów, natrętnej obecności wielu ludzi.

Nie spłoszył jej nawet drobny zimny deszcz, przenikający ubranie wilgocią. Wystawiła do niego twarz, z niemą prośbą, by zmył z niej zbyt ciężkie przeżycia po sennych koszmarach. Wdychała zmieniający się zapach drzew, zroszonych przez deszcz. Upewniła się jeszcze raz, czy nikt jej nie widzi, i z niechęcią, sunąc stopa za stopą, ruszyła w stronę budynku.

Odwróciła się, żeby spojrzeć raz jeszcze na zieleń, i zanim zdążyła wejść do domu, zadrżała. Chłód, strach, gniew - wszystkie te doznania dały o sobie znać w tej samej chwili. Jej spojrzenie, choć przywykła do takiego stanu, zaszło mgłą. Ale mijając pokój chłopców, mimowolnie się uśmiechnęła, nieśmiało, ale jednak.

Nina nie zdawała sobie sprawy, że Marek z Jackiem jej pilnują. Postanowili to robić od czasu, gdy tydzień temu Pan Dyrektor znanym im wzrokiem gapił się na dziewczynkę podczas kolacji.

Zresztą nic dziwnego. Nadchodził czas zmiany. A ona była nowa.

Kiedyś byli głupi i naiwni, jak większość tutejszych dzieciaków myśleli, że to dyrektor utrzymuje dom dziecka z własnych pieniędzy, a budynek i wyposażenie są jego własnością. Przekonywał

wychowanków o swoich rozległych znajomościach, dzięki którym potrafi załatwić wszystko. Bez dyrektora nie umieli wyobrazić sobie swojego życia.

Nic to, że przy okazji Pan Dyrektor był człowiekiem porywczym i nerwowym.

- To dlatego, że przysparzacie mi tylu zmartwień i nerwów. Robię dla was wszystko! - wrzeszczał często.

Z zadziwiającą łatwością sięgał po dyscyplinę, którą wymierzał swoście pojmovaną sprawiedliwość. Szeroki wojskowy pas był jednym z najważniejszych atrybutów jego władzy w ośrodku. Zawsze wisiał lub leżał na eksponowanym miejscu. Bicie było istotnym środkiem motywującym do nauki.

Obrywało się za wszystko, co nie spodobało się Panu Dyrektorowi. Poczawszy od złej odpowiedzi na pytanie z tabliczki mnożenia, a skończywszy na kradzieży papierosów. Bicie pasem, obudowane całym ceremoniałem „dobrowolnego poddawania się karze” w obecności innych dzieci, było standardową procedurą w razie ujawnienia jakiegoś występku.

Było także sposobem wymuszania przyznania się do winy.

W takim wypadku przez kilka dni z rzędu dyrektor zwoływał wychowanków do holu, a następnie bił wszystkich po kolei, żądając przyznania się do winy. Czasami także pas służył do przywracania porządku w sytuacjach, gdy zachowanie dzieci budziło jego zastrzeżenia.

Wymierzał wtedy karę natychmiast, często stosując zasadę: tyle razy pasem, ile lat ma dziecko. Niekiedy nerwy ponosiły go tak bardzo, że bił wychowanków bez opamiętania, doprowadzając do rozległych zasinień na nogach, pośladkach i plecach, a nawet do poważnych urazów.

Jacek kiedyś doprosił się swoim uporem i milczeniem czasowego niedowładów nóg od pobicia. Ani wychowawcy, ani większość personelu, ani wizytujący placówkę pracownicy nadzoru pedagogicznego „nic nie wiedzieli” o tych zdarzeniach. Nikogo z dorosłych nie dziwiły także inne kary stosowane przez dyrektora: wyjmowanie drzwi do pokoi, nakaz spędzania

weekendu w łózkach, ograniczenia do trzech razy w ciągu dnia możliwości korzystania z ubikacji czy wyrzucanie z szaf bielizny i rzeczy osobistych na podłogę. Jedynym kryterium wyboru rodzaju kary było samopoczucie dyrektora.

Dlatego wychowankowie za wszelką cenę zabiegali o jego dobry nastrój, starając się odgadywać i spełniać wszelkie życzenia.

Szczególną rolę miały tutaj do odegrania dziewczęta, choć chodziły słuchy, że chłopcami także nie gardził. Ci jednak albo lepiej trzymali język za zębami, albo faktycznie Pan Dyrektor rzadko pozwalał sobie na sięganie do ich spodni.

Chętnie przychodził do pokoi wychowanek późnym wieczorem, gdy leżały już w łózkach. Siadał przy nich, czasem kładł się obok, rozmawiał przyjaźnie, łaskotał je i głaskał, czasem także po plecach, piersiach, brzuchach i pośladkach, między nogami. Nie wszystkie na to pozwalały, nie wszystkie też były przedmiotem jego zainteresowania. Jednakże wszystkie się tego bały i przeżywały każdy wieczór, gdy dyrektor zostawał w ośrodku. Przybywające do domu dziecka nowe wychowanki, nawet bardzo małe dziewczynki, starsze koleżanki ostrzegały, że będzie do nich w nocy przychodził dyrektor. Nina też dostała takie ostrzeżenie. Przyszły do niej dwie. Dwie pewne siebie dziewczyny. Jedna, żując gumę i nadymając co chwila różowe balony, boleśnie wbiła palec wskazujący w jej ledwo zaznaczającą się pod bluzeczką pierś.

- Podobasz się Panu Dyrektorowi.

- Pewnie do ciebie przyjdzie w nocy. Może dziiiiś, a moooooże juuutro - dodała druga.

- Uważaj - ostrzegła pierwsza. - Nie warto go nie słuchać. Jeśli będzie potem zły, wszyscy oberwiemy, jasne?

Nina dobrze wiedziała, o czym mowa. Zaczęła łapać powietrze jak ryba wyrzucona z wody.

Dla dziewczyn jej widok był tak komiczny, że wybuchły gromkim śmiechem i wybiegły z jej pokoju.

Podkuliła kolana pod brodę, a rozbiegany wzrok szukał na wzorzystej wykładzinie drogi ucieczki, zupełnie jakby wzór stanowił labirynt, z którego można znaleźć wyjście. W końcu zeskoczyła z łóżka i pędem ruszyła w kierunku sypialni chłopców, potracając na korytarzu innych, ale w ogóle tego nie zauważając. Wiedziała, że czeka ją kara za odwiedzanie ich o tej porze. Miała to gdzieś. Była specjalistką od przyjmowania kar. Pod warunkiem, że będzie to pas, zniesie wszystko.

Gdy wpadła do ich sypialni, domyślili się, dlaczego jest tak wstrząśnięta, choć najpierw sądzili, że już się coś stało.

Siedzieli wtedy całą trójką do późnej nocy, obmyślając, co robić. Piętnastoletni Marek obgryzał paznokcie, miał bowiem świadomość, że za każdym razem trafią na niemożliwy do pokonania mur. Nikogo nie obchodzili. Mieli jedynie siebie. Jacek do dziś miał kłopoty z nogami, a Marek mógł jedynie przypuszczać, że nie o wszystkim przyjaciel mu mówi. Nie naciskał jednak. Sam był zbyt duży,

gdy tu trafił, aby stanowić łakomy kąsek dla Pana Dyrektora. Może dlatego też za wszelką cenę chciał chronić i Jacka, i Ninę. Chciał być komuś potrzebny tak bardzo, jak bardzo nie był potrzebny dotąd nikomu.

Ta noc, spędzona na dywanie, pod wspólnym kocem, uczyniła ich przyjaciółmi na śmierć i życie. I wtedy, po raz pierwszy i jedyny, Nina powiedziała komuś o sobie wszystko. Z brutalnymi, jak na dziewczynkę, anatomicznymi szczegółami, z rozbijającą szczerością, metodycznie, krok po kroku. Jak ojczym przyszedł do niej pierwszy raz. Jak trzymał dłoń na jej ustach, by nie krzyczała, i jak po wszystkim klepnął ją w pośladek, by „ruszyła dupę” i umyła się, bo zapaskudziła całe prześcieradło. I jak przychodził do niej potem niemal każdej nocy, aż kiedyś w końcu zemdłała w szkole, krwawiąc obficie. Wezwano pogotowie. Gdy lekarz szeptem poinformował nauczycieli, co jest przyczyną tego stanu, nie umieli spojrzeć

jej w twarz. Bo Nina, sama będąc dzieckiem, właśnie straciła swoje. Do tamtego domu już nie wróciła.

Niestety, chłopcy byli starsi od Niny i nie mogli pilnować jej cały czas. Mieli lekcje w różnych godzinach. Kiedy tylko jednak była taka możliwość, zawsze jeden z nich kręcił się gdzieś obok. A Pan Dyrektor krążył coraz bliżej. Mijało pół roku, odkąd znalazł sobie nową faworytkę. Ładna, ale nieco wyzywająca nimfетка o blond włosach zaczynała go już nudzić.

A kartoteka Niny fascynowała go coraz bardziej.

Nieuniknione stało się nieco ponad trzy miesiące po przybyciu dziewczynki do domu dziecka.

Pan Dyrektor nieznośnym sprzeciwu tonem pod-

czas kolacji zaprosił ją na rozmowę o tym, czego będzie od niej oczekiwał.

- Nie mieliśmy dotąd okazji o tym porozmawiać. A to ważne, żebyś wiedziała, jak tu żyjemy - powiedział i nie wiedząc czemu pogroził jej palcem.

Zawołał ją, kiedy już mieli kłaść się do łóżek i byli przebrani do snu. Dziewczyny, z którymi mieszkała w jednym pokoju, milczały i odwracały od niej wzrok. Nie mogła u nich szukać wsparcia. Chłopcy byli za daleko.

Weszła do jego gabinetu, cała się trzęsąc. Kazał jej usiąść obok niego na fotelu, bawił się przy tym pilotem od telewizora. Włączył w pewnym momencie kasetę wideo.

Zobaczyła tam gołe postacie. Opuściła głowę. Dyrektor powiedział:

- Masz patrzeć, przynajmniej się czegoś nowego nauczysz.

Spod ławy wyciągnął dwa kieliszki. Chyba to był szampan. Wtedy nie wiedziała, co to jest.

Proponował, by wypić. Odmówiła, choć kosztowało ją to niemało odwagi. Sam wysączył napój z obu kieliszków. Nawet nie wiedziała, jak się to stało, bo wyłączyła się zupełnie, tak samo jak kiedyś, kiwając się delikatnie do przodu i do tyłu, mrużąc w myślach jakąś dawno zasłyszaną melodię.

Wiedziała tylko, że znalazła się na podłodze, dyrektor leżał na niej, zaczął lizać po szyi.

Próbowała się bronić ostatkiem wolnej woli, ale on jedną ręką trzymał ją mocno, a drugą jeździł po ciele. Po chwili ściągnął jej spodnie od pizamy.

- No co, przecież dobrze wiesz, jak to robić - sapał. - Wiem, że potrafisz... Pewnie znasz kilka sztuczek. Trochę cię rozruszam i zaraz wróci ci pamięć. Ty mała świntucho, przecież ci się to podoba, podobają ci się dojrzały, prawdziwi faceci. Nooo, maleńka, rusz wyobraźnię.

Poczuła, że w nią wszedł, nie zważając, jak bardzo ją to boli. Erekcję miał potężną, zachwycony tym, powtarzał jej to przez cały czas.

Znowu próbowała się bronić, wiedząc jednak, że to na darmo.

Zaczęła płakać.

Dyrektor zauważył to i dał jej w twarz.

-Ty dziwko! Zepsułaś cały nastrój! Mnie nie okłamiesz! Rozkładaj nogi albo gorzko pożałujesz!

Patrzyła w sufit, a on uderzał swoim cielskiem w jej ciało, wbijając się coraz mocniej, aż opadł na nią ciężarem niemal stu kilo, gdy przeszedł przez niego ostatni spazm, zakończony wytryskiem.

Wróciła do pokoju, ale nie mogła się uspokoić, nie mogła zasnąć. Mimo strachu i wstydu pobiegła do chłopców. Nie było ich w pokoju. Ich brak sprawił jej większy ból niż sam gwałt. Pobiegła korytarzem wychodzącym na dziedziniec. Wśród wilgotnej nocy, z lekko mżącym deszczem nie było jednak widać niczego. Wróciła do budynku. Przebiegała przez nieprzenikniony mrok kolejnych sypialni, gorączkowo obrzucając spojrzeniem ciała skulone na łóżkach.

Może są w innym pokoju, może w ubikacji...

Myśli pędziły, wyprzedzając chaotyczne kroki. Biegła wciąż, nie spotykając na swej drodze zupełnie nikogo, a w oczach dwoiło się jej od świateł jarzeniowych, mrugających do niej szyderczo.

Jeszcze raz wpadła do ich sypialni, potem do ubikacji. Były puste. Umyślnie zaczęła tupać głośno, chcąc ich wywołać w ten sposób, by przestali wreszcie się chować.

Czy nie rozumieją, że nie pora na to?

Znowu, w panice duszącej za gardło, przebiegła kolejno pokoje. Ktoś mamrotał przez sen, a gdy wytężyła słuch, usłyszała ciche:

- Mamo, mamo...

I wydawać się jej zaczęło, że skarłowaciała wtedy, zrobiła się plugawa w obliczu tego słowa, skuliła się w sobie i zaszlochała jak dziecko, którym była przecież nadal.

Nikogo nie było już wokół, tylko ona w nieznośnym towarzystwie siebie samej. A mimo to nie umarła, serce nie pękło i biło uparcie. Spojrzała na dłonie, zdziwiona, że nie odpadły ze wstydu: nie poradziły sobie z obroną wątłego ciała. Stopy nosły dalej same, znajdując drogę do pokoju. Przykryła się kołdrą, starannie ją wygładzając, zajmując myśli każdą niechcianą fałdką, aż bawełna zadowolili ją na tyle swoim dotykiem, że w końcu zasnęła.

Nie wiedziała, że Pan Dyrektor zadbał o to, by chłopcy byli nieobecni przez następny tydzień. Był bardzo spostrzegawczy. I podniecało go to, że Nina wzbudzała u innych wychowanków instynkty opiekuńcze.

Następnego dnia dyrektor zachowywał się normalnie, jakby się nic nie stało. Nie mogła na niego patrzeć. Zresztą wtedy niewiele w ogóle widziała, skupiając się to na kolorze galaretki na deser, to na studiowaniu wielkości kartofli na talerzu. Starannie odrabiała lekcje, pięknie malując szlaczki pod zadaniami domowymi, dopracowując każdą kropkę na muchomorkach i płatki kwiatków w różnych kolorach.

Tymczasem schemat tamtego wieczoru powtarzał się przez cały tydzień. Nie biegała już jednak w poszukiwaniu chłopców, wiedząc, że nie ma to sensu. Znowu była sama.

A gdy chłopcy wrócili, nie byli w stanie spojrzeć jej w twarz. Nina jednak rzuciła się do nich ze szlochem, pozwalając sobie wreszcie na zapomniany prawie już odruch, więc w końcu tulili się do siebie jak dawniej. Jackowi po policzkach płynęły łzy, a pod powiekami miał tylko obraz zaczerwienionej i spoconej twarzy sapiącego Pana Dyrektora.

Od tego dnia przez dłuższy czas miała spokój.

W przeciwieństwie do niej niektóre dziewczęta w widoczny sposób stawały się faworytami dyrektora. Były znacznie lepiej traktowane, dostawały lepszą odzież, kosmetyki, słodczyce, prezenty. Mogły liczyć na przepustki do domu rodzinnego, na udział w atrakcyjnych wycieczkach czy obozach. Inne dzieci bez pudła rozpoznawały kolejną ulubienicę dyrektora i starały się za jej pośrednictwem załatwiać z nim swoje sprawy. Najmłodsza z ofiar miała osiem lat.

- Dyrektor obiecywał, że jak odejdę z domu dziecka, to dostanę mieszkanie - usłyszała kiedyś Nina szeptem wypowiedane przez jedną ze starszych dziewczyn zdanie.

Zrobiło się jej niedobrze, ale Marek uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

- To nic nie da - szepnął. - Nie zmienisz tego.

Ta dziewczynka była wtedy widocznie wyróżniana spośród innych, dostawała wszystkie najlepsze rzeczy. Nina nie była pewna, ale podejrzewała, że jej się to po prostu podobało. Być może dlatego przestała być czujna.

Wieczorem chłopcy wyrwali się z pokoju; cichcem sunąc korytarzem, opuścili mury budynku.

Gdy dopadli pierwszych drzew, Marek wyjął z kieszeni małą latarkę i rozglądając się jeszcze z niepokojem, zapalił ją. W smudze światła pojawiła się smutna, nieco blada twarz Jacka, patrzącego nań nieśmiało jasnymi oczyma.

- Co teraz zrobimy?

Marek bezradnie pokręcił głową, zasłaniając skąpe światelko drugą dłonią. Niespodziewanie dla siebie samego parsknął śmiechem.

- A co my możemy?

Jego głos rozległ się w ciemności jak zbyt mocne uderzenie, zamilkł więc przestraszony, rozglądając się uważnie dookoła.

- Specjalnie to zrobił.

- Myślisz, że nie wiem?

- Marek, ona tu była zupełnie sama...

- ...powiedziałem, że wiem! - warknął, zły na ogarniającą go bezsilność.

- To nie twoja wina - szepnął Jacek - ani nie moja...

- Och, pocałuj mnie w dupę.

Jacek tylko pokiwał głową. Znał przyjaciela zbyt długo, by reagować na takie odzywki.

Postawił kołnierz kurtki, zacierając ręce zziębnięte od wilgotnego nocnego powietrza.

- Nie masz papierosa?

Marek sięgnął do kieszeni, wyjmując dwa nieco zmięte białe ruloniki z ustnikami. Sam nie palił, ale zawsze pamiętał o młodszym koledze.

Jacek zapalił zapałkę i syknął z bólu.

- Cholera, oparzyłem się. Mógłbyś bardziej poświecić.

- Żeby nas zobaczyli?

Przed nimi rozciągał się widok na budynek z białymi plamami okien.

- Dlaczego jesteśmy takimi tchórzami, Marek? Jacek wydmuchnął papierosowy dym, przez chwilę obserwując, jak obłoczek zanika w chłodzie powietrza.

- Też tak o sobie myślę, ale jakoś nie potrafię znaleźć wyjścia z sytuacji.

- Traktuje nas jak niewolników. Wszystkich traktuje jak niewolników. I wszyscy się go boją. Odrzucił niedopałek i wsadził ręce do kieszeni. Patrzył, jak żarzący się tytoń dogorywa przez chwilę między ich stopami, by w końcu zniknąć.

- A ty? - Marek spojrzał na Jacka z ukosa, nie precyzując pytania, bo obaj i tak dobrze wiedzieli, o co w nim chodzi.

-Ja mam spokój. Już mnie nie tyka. Przecież wiesz. Jakoś sobie z tym radzę. Ale ona tego nie wytrzyma. Za krucha jest. Nie to co te... - urwał, nie chcąc kończyć słowem cisnącym się mu na usta.

-Tak... Masz rację. Wiesz... Ja myślę, że ona przez to, co było wcześniej i teraz, jest... Nie wiem, czy długo wytrzyma.

Spojrzeni po sobie, przestraszeni ogromem wiedzy, która na nich spadała.

- On jest za mocny. Wszyscy się go boją. Jacek patrzył gdzieś w dal.

- Trzeba coś wymyślić.

Marek kiwnął głową. Skoro nie mogli pomóc sobie, może mogli jej. Cicho przemknęli do budynku. Nie chcieli ryzykować zamknięcia w karczerze, gdy sytuacja była tak poważna. Musieli myśleć nie tylko o sobie.

Nina wyszła z budynku, bo zdawało się jej, że ściany nachylają się do niej, chcąc udusić. Z ulgą przekroczyła próg. Oślepił ją blask wczesno-popołudniowego słońca.

Chłopcy grali w piłkę. Usiadła na murku nieopodal boiska i skupiła się na ich grze, dziękując im bezgłośnie za zajęcie myśli. Zatrzymała na chwilę spojrzenie na murze okalającym budynek. W miejscu, gdzie lekko się wznosił, stała latarnia, służąca za jeden ze słupków bramki. Drugim była młoda brzoźka, nieustannie narażona na urazy i kopniaki młodych piłkarzy. Drużyna przeciwna musiała sobie radzić, układając wątle stosiki kamyczków i kładąc nań poszczególne części garderoby, by lepiej widać było granice bramki. Grali po sześciu w drużynie, wszyscy w takich samych pepegach, dbając z wielką czułością o piłkę, jakby była skarbem wielkim i niemożliwym do odzyskania w razie utraty.

Chłopcy starali się podawać piłkę nisko, krótkimi podaniami, strzelając do bramek z bardzo bliska, zbyt wiele razy bowiem piłka wylatywała za ogrodzenie, gdzie mieszkała starsza i niezwykle energiczna pani Miecznikowska, czuła na straty w swoich pelargonjach. Nina wsłuchiwała się w czyste, nabite entuzjazmem oddechy kolegów. Spokojny, niemal naukowo odmierzany wraz z wysiłkiem Marka i przyspieszony, nieco chaotyczny Jacka. Pomyślała, że nawet oddychają zgodnie ze swoim charakterem.

Kiedy ją zobaczyli, pomachali entuzjastycznie, nie przerywając gry. Dla innych była właściwie niewidzialna. Nie przeszkadzało jej to. Po meczu, sromotnie przegranym, zadyszani padli u jej stóp, ocierając wierzchem dłoni spocone czoła.

- Mamy plan - oznajmił Jacek, łapiąc powietrze. Spojrzała na nich ze zdziwieniem i pytaniem w oczach jednocześnie.

- Mhm - potwierdził Marek, kiwając głową.

- Ale wymaga jeszcze kilku szczegółów.

- Co to za plan?

- Taki, żeby się stąd wyrwać. Jacek mrugnął do niej.

- Całą naszą trójką. Parsknęła.

- Nina, więcej wiary w przyjaciół - obruszył się Marek.

Jak miała im powiedzieć, że jeszcze niedawno w nikogo nie wierzyła tak jak w nich? Teraz po prostu wiedziała, że nic nie zależy ani od niej, ani od chłopców. Byli więźniami Pana Dyrektora. Nie chciała im jednak odbierać nadziei. Skoczyła z murku między nich i objęła wątlými ramionami.

- To na pewno bardzo dobry plan. Nie mogę się doczekać.

## ROZDZIAŁ 11

Kiedy zatrzymała samochód, widząc przed sobą tak dobrze znaną górę, na jedną chwilę ogarnęła ją niepewność. Dziwiąc się, że odważyła się na powrót, nie wiedząc do końca, dlaczego to robi, skierowała się jednak ku domowi.

Właściwie nie rozumiała, skąd nagle u niej ta desperacja, skoro uciekała od mężczyzny, który chciał ofiarować jej wiele, żądając dużo mniej w zamian. Być może Adam był zbyt silny, kontrolował sytuację, nawet jeśli mu się wydawało, że wcale tak nie jest. Poza tym był taki... czysty, nieskalany żadnymi plugawymi doświadczeniami. Przestraszyła się, że da się pochłonąć tej wygodnej sytuacji, kiedy decyzja zostanie podjęta tylko przez jedną stronę. Nic o niej nie wiedział.

A ona? Jest jeszcze zbyt słaba, by mogła o sobie mu opowiedzieć, a tym bardziej by angażować się w jakikolwiek związek.

Tylko dlaczego przyjechała właśnie tu? Do domu, który tak bardzo kojarzy się z bólem?

Którego właścicielem też jest mężczyzna? Czy tu będzie w stanie cokolwiek kontrolować?

Przez myśl przebiegło jej jeszcze, że zapomniała, jak smakuje adrenalina, rosnąca z każdym krokiem,

który zbliżał ją do próby wytrzymałości. Czuła się tak, jakby ktoś zawrócił czas i pozwolił jej przeżyć jeszcze raz te chwile, które ostatecznie kosztowały zbyt wiele łez. Nie wiedziała, dlaczego to robi. Przecież wyleczyła się już z tamtego stanu. A jednak było coś, co ją przyciągało, co sprawiało, że leciała jak ćma do płomienia świecy. Nawet jeśli wiedziała, że może się spalić.

Stała na poboczu, zbierając siły. Odwlekała moment ostatecznej decyzji. By rozłożyć ciężar na raty, najpierw wjechała do miasteczka. Tu wszystko biegło własnym torem. Odwiedziła stację pogotowia górskiego, gdzie zamieniła kilka słów z ratownikami, których tak dobrze poznała podczas poszukiwań swoich przyjaciół. Na samo wspomnienie serce ścisnęła jej skurcz.

Nadal tak bardzo bolało. Był to jednak o wiele zdrowszy ból niż jeszcze kilka miesięcy temu. Odkryła to z ulgą.

Ratownicy okazali jej i teraz wiele serdeczności, patrząc na nią z takim charakterystycznym wyrazem oczu, który przywodził na myśl współczucie. Dziwne, ale i jej zrobiło się ich żal. Nie chciała, by jej osoba sprawiała ból innym. Przy okazji dowiedziała się też, że Wiktor coraz częściej pokazuje się wśród ludzi. Dzięki temu i oni oswoili się już nieco z nowym wizerunkiem mężczyzny. Ucichły nawet plotki na jego temat. Wyglądało na to, że wszystko wróciło do normy.

Zatopiona w myślach, podjechała pod sam dom. Teraz, kiedy była pełnia lata, nie stanowiło to kłopotu nawet dla jej małego autka.

Uniosła głowę i zdziwiona widokiem otworzyła szerzej oczy. To nie było miejsce, które zapamiętała. I to nie dlatego, że wtedy nie zwracała na nie za bardzo uwagi.

Przede wszystkim ten nienaganny porządek wokół.

Przycięta trawa i równo wyłożona kamienna dróżka prowadząca do budynku i stajen.

Zadbany padok, na którym stało kilka koni, w tym jedno źrebię.

Dom był zupełnie odmieniony. Dopiero teraz zauważyła, że ma dobudowane piętro i dach kryty gontem. Nieopodal ładnie zagospodarowany teren zdobiły kolorowe ule. To zdecydowanie nie było to samo miejsce, które opuszczała ponad rok temu.

Wiktor siedział przy stole i jak zwykle dłubał w kawałku drewna, kiedy usłyszał podjeżdżający pod dom samochód. Dochodziła siódma.

Coraz częściej ganił się za głupotę i naiwność, choć z drugiej strony doceniał wpływ tamtych wydarzeń na zmianę swojego życia. Zaczął ponownie normalnie funkcjonować i był jedynie zły na siebie za to, że zmądrzał dopiero pod wpływem dwanaście lat młodszej dziewczyny.

Za miesiąc kończył trzydzieści dziewięć lat. Stracił tyle czasu...

Otworzył drzwi, słysząc pukanie. Wpadające promienie zachodzącego słońca nie pozwoliły mu przez chwilę zobaczyć, kto stoi na progu. Wiedział, że ma przyjechać. Zadzwoiła nagle, z paniką w głosie. Urywającymi zdaniem poprosiła o pokój. Jak miał jej odmówić?

Spodziewał się jej jednak dopiero nazajutrz.

Trochę ze strachem, przemieszonym z oczekiwaniem, postanowił nie reagować gwałtownie. Spokojnie powiedział:

- Dobrze trafiłaś. - Weszła zmieszana, ale dość pewnym krokiem. - Akurat na piecu stoi jeszcze ciepły gulasz, niedawno jadłem.

Nic nie odpowiedziała, więc postanowił jej ułatwić powitanie.

- Pewnie zgłodniałaś po takiej podróży. Wiesz, gdzie są miski i talerze. Chleb jest świeży. Nadal cisza. Zdenerwował się, bo nadal nie wiedział, co się stało.

- Mogłaś zadzwonić, że będziesz dzisiaj. Choć jego głos brzmiał naprawdę obojętnie, coś jakby rozsadzało mu klatkę piersiową.

Czuła się źle. Już nie była taka pewna, że zrobiła właściwie, przyjeżdżając tutaj. Pomyślała, że dobrze jej tak, że za dużo sobie wyobrażała. W tej samej chwili zauważyła jednak, jak spięty jest ten ogromny mężczyzna. Jakby miał zaraz wybuchnąć. Wydało jej się, że grają w jakąś dziwną grę, i natychmiast postanowiła, że będzie w nią grała.

Bardzo proszę.

Była naprawdę zmęczona. Dopiero teraz do niej to dotarło.

- Długo każesz czekać na jakikolwiek znak życia. Trochę się już martwiłem - mówił z widocznym przekąsem. - Co się z tobą działo, do licha?

- Przecież obiecałam, że przyjadę, jak tylko uporządkuję kilka spraw. - Jej głos brzmiał głucho.

- W takim razie musiały to być ogromne sprawy, skoro zajęły ci ponad rok. Jak długie to będą odwiedziny? I dlaczego nie zadzwoniłaś, że już jedziesz? Nie żebym się gniewał, ale gdybym tak wyjechał z domu?

- Miałam zamiar i tak zatrzymać się w hotelu. Przecież nie wiedziałam, czy mogę ci się narzucać. Nie zadzwoniłam... Sama nie wiem dlaczego. Wyjechałam nieco wcześniej, niż

planowałam. -Wzruszyła ramionami. - A jak długo? To zależy też od ciebie, bo urlopu mam około dwóch tygodni, ale wcale nie jest powiedziane, że muszę aż tyle siedzieć ci na głowie - wyrecytowała jednym tchem, nieco rozbawiona liczbą pytań na dzień dobry.

Jezu! Czy ta rozmowa musi tyle kosztować? -myślał.

- Skoro tak bardzo chcesz to usłyszeć, to powiem, że oczywiście możesz zostać, jak długo zechcesz. Zresztą dom jest teraz przestronniejszy. Nie będę ci ograniczał swobody. Czuj się jak u siebie.

Odwrócił się do niej plecami.

- Widziałam, że dobudowałeś górę. Ładnie to wygląda. W ogóle zrobiło się tu jakoś tak... schludnie. Skąd te zmiany?

Stała obok niego, opierając się biodrem o szafkę, przy której szykował jedzenie. Cały czas rozglądała się po otoczeniu, zaskoczona.

- Nie wiem. - Rozluźnił się trochę i zaśmiał, krojąc chleb. - Pewnego dnia postanowiłem zmienić rudere w dom, który choć trochę przypominałby ten sprzed lat. Jest teraz dużo wygodniej. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Przerwał pracę i otrzepał ręce o spodnie. Spojrzał na nią badawczo, jakby oczekując odpowiedzi. Oczywiście na darmo.

W kuchni lśniła czystością nowa podłoga z dębowych desek. Obok starego kredensu, który pamiętała, zauważyła funkcjonalne szafki z wbudowaną płytą do gotowania. Nowe sprzęty stylem niemal nie różniły się od starego mebla, który teraz służył jedynie do przechowywania talerzy.

Na ławę obok wejścia Wiktor narzucił owczą skórę, a pod oknem ustawił piękną rzeźbioną skrzynię. Pokój swobodnie można było teraz nazwać salonem. Kominiek w rogu miał nową obudowę, na gzymsie

stało kilka drobiazgów i zdjęcie jego rodziców. Naprzeciw rozpierała się sofa w odcieniu czerwonego wina. Obok taki sam fotel z podnóżkiem.

Pod stopami leżał gruby dywan. Na ścianach wisiało kilka półek na książki, ale większość z nich jeszcze czekała na mające je zapełnić woluminy.

Gdzieś tam poustawiał rzeźbione własnoręcznie zwierzęta. Większość stanowiły oczywiście konie. W jednym z rogów stał na niewielkim stoliku telewizor, a pod nim odtwarzacz CD.

W drugiej części pokoju widać było schody prowadzące na górę, stolik z lampą i zegar z kukułką w wiśniowej szafie.

Ściany miały przyjemny, lekko pomarańczowy odcień, w oknach wisiały dobrane do koloru sofy zasłony.

Wiktor widział malujące się na jej twarzy zdziwienie. Cieszył się.

Dumny z siebie, objął ją ramieniem i poprowadził do jej dawnej sypialni.

- Co o tym sądzisz?

- Pięknie!

Pokój ożył. Na ścianach położono jasne tapety, na których kremowym tle subtelnie rysował się wzór w kwiatki. Powiększone okno wpuszczało teraz więcej światła, mimo gęstej, ręcznie haftowanej firany. Pod oknem stało biurko, połączone z narożną toaletką o trój skrzydłowym lustrze. Sosnowe meble wyglądały niezwykle lekko i radośnie. W kącie stała narożna dwudrzwiowa szafa, a na przeciwległej ścianie duża komoda o przepastnych szufladach i łóżko ozdobione czterema smukłymi kolumnami.

- Przyznaj się - uśmiechnęła się z przekorą -ktoś ci pomagał?

- Wiesz, biorąc pod uwagę, za kogo mnie masz, to faktycznie wydaje się niemożliwe. -

Machnął ręką. - Niestety masz rację. Kosztowało mnie to trochę wysiłku, ale w końcu zaciągnąłem tu właścicielkę małego sklepu z meblami. Zbyttnio się chwaliła, że jej pasją jest



aranżacja wnętrza. To jej robota. W obawie o swoje życie i ze strachu przed napastującym ją potworem po prostu musiała coś zrobić z tym domem.

Mówił to niezwykle ponurym tonem, ale drgające kąćki ust wskazywały, jak wiele kosztuje go utrzymanie powagi.

Nina patrzyła na niego uważnie, ale i z wyrazem podziwu na twarzy.

- A jednak to zrobiłeś.

- Nie rozumiem...

- Zacząłeś na nowo, prawda? Zerknął na nią z ukosa.

- Nie wiem, jak poważnie, ale chyba zacząłem zmieniać kilka rzeczy... Może się przyzwyczaję.

Widząc jednak jej pytające spojrzenie, postanowił nie mówić nic, co by go zdradziło.

- Mam ostatnio więcej gości, konie przynoszą coraz większy dochód, a klienci czasem chcą przemocować w górach, pomyślałem więc, że mogą równie dobrze spać tutaj, a nie w hotelu. Zresztą to niezbyt wygodne, gdy muszą do mnie nieraz dojeżdżać przez kilka dni.

Kłamał jak z nut. Żaden z jego klientów nie chciałby u niego nocować. Większość z nich wolała za grube pieniądze wynajmować pokoje w luksusowych hotelach, oddalonych o godzinę jazdy stąd. Miał jednak sensownie brzmiące wytłumaczenie i tej wersji postanowił się trzymać. To przecież takie typowo męskie.

Nina pokiwała ze zrozumieniem głową, słysząc to banalnie proste wytłumaczenie.

- Pokażę ci jeszcze górę. - Pociągnął ją za rękę.

Na piętrze jeden pokój był już całkowicie wykończony. Pachniało w nim jeszcze świeżą farbą i drewnem, ale te zapachy mieszały się z wyraźnym tonem wody po goleniu.

Z sypialni wchodziło się do przestronnej łazienki z wielką wanną, naprzeciw której stała szafka z wbudowaną umywalką i komin z półkami na ręczniki i koszem na bieliznę.

Pomieszczenie miało kilka miłych dla oka skosów ozdobionych belkami. W pokoju brzoskwiniowe ściany kontrastowały z dębową szafą, stolikiem, komodą i ogromnym łóżkiem z rzeźbionym wezglowiem. Obok stały dwa nocne stoliki z lampkami. Było po spartańsku, a zarazem przytulnie i tak... po męsku. Na oparciu krzesła leżał rzucony sweter, z szafy wystawał rękaw koszuli w kratkę. Wyraźnie widać było, gdzie teraz sypia Wiktor.

- Twoja sypialnia?

- Taak, jakoś tak mi wygodniej. Kiedyś też miałem swój pokój na piętrze. Na dole jest druga łazienka, tyle że mniejsza i z kabiną prysznicową, więc jak będziesz chciała się wyleżeć w wannie, czeka cię niestety droga na górę... Nie martw się - powiedział, widząc jej zmarszczone czoło. - Na pewno nie będziesz mi przeszkadzać.

A przez myśli przemknął mu obraz Niny przechodzącej w neglizju przez jego pokój.

Następne pomieszczenie nie było jeszcze wykończone. Wymagało ostatniego szlif. Ściany najwyraźniej niedawno pomalowano na białą i pola-kierowano podłogę.

- Duży pokój - zauważyła Nina. - Właściwie można by z niego zrobić dwa mniejsze.

- Chętnie wysłucham sugestii. - Uśmiechnął się, zadowolony. - Nie mam na niego pomysłu.

Może ty coś wymyślisz?

- Ja? Jestem tak wszystkim zaskoczona, że nie oczekuj ode mnie żadnych wskazówek.

Schodzili powoli po schodach.

- Musiałem się czymś zająć. Remont okazał się dobrym pomysłem i widzę, że jednak było warto, skoro ci się podoba.

- Bardzo mi się podoba. - Uśmiechnęła się. - Zrobiłeś większe postępy niż ja - powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Spojrzał na nią uważnie.

- Dlatego chciałaś przyjechać? Wzruszyła ramionami.

- Może. - Nie zasługiwał na to, by go okłamywać.

- Spokojnie - zastrzegł - nie mam zamiaru bawić się w detektywa. Jak będziesz chciała, powiesz.

Wdzięczna, uśmiechnęła się do niego.

- Przepraszam - szepnęła zawstydzona.

- Za co? - Trochę się jednak dopominał.

- Za egoizm.

- Hm... Za to każdy musiałby ciągle przepraszać.

- No dobrze. Za to, jak cię potraktowałam. Może też i dlatego chciałam przyjechać. Żeby przeprosić, że udawałam.

- Co udawałaś? - zdziwił się.

- Że nie istniejesz. Tak jak to wszystko, co się tu stało.

Czuł się tak, jakby ktoś walnął go w splot słoneczny, ale przełknął to jakoś. Skinął głową.

- Hej... - odezwała się cicho. Uniósł spojrzenie na jej twarz.

- Ja to powiedziałam w czasie przeszłym, Wiktor. I przeprosiłam. Nie zauważyłeś?

W czasie gdy rozpakowywała plecak i torbę, kończył przygotowywać posiłek. Nina w zamyśleniu wieszala rzeczy w szafie i układała w szufladach. Otoczenie zmieniło jej nastrój. Kiedyś czuła się tu bezpiecznie, ale teraz doszło coś jeszcze. Nie potrafiła jednak - albo może nie chciała - tego zdefiniować.

Przezesła szczotką włosy i spojrzała na siebie w lustrze. Nie wiedząc czemu, nagle odczuła potrzebę wyglądanania ładnie. Szybko zdjęła sweter i włożyła kremową bluzkę, zapinaną na perłowe guziki. Spodnie zmieniła na dżersejową spódnicę w kolorze gorzkiej czekolady, sięgającą tuż za kolano.

Przyjrzała się sobie krytycznie, ale uznała, że teraz wygląda dobrze.

Gdy weszła do kuchni, Wiktor stał odwrócony tyłem i nalewał wino do kieliszków.

- Menu też zmieniłeś? - zapytała, widząc na stole różne gatunki sera i pomidory. Ale po chwili zauważyła też w miseczkach gulasz. Przynajmniej to zostało po dawnemu.

- Wiem, że to nie ucztą, ale chciałem uświetnić twoją wizytę choć winem. Poza tym nadal daniem głównym jest moja popisowa potrawa. - Odwrócił się z kieliszkami w rękę i wskazał na stół. - Po raz pierwszy widzę cię w spódnicy - zauważył, nie bardzo wiedząc, jak powiedzieć jej, że wygląda ładnie.

- Faktycznie, dotąd widywałeś mnie raczej w polarze i narciarskich spodniach... albo w gipsie. - Uśmiechnęła się; nagle, nie wiedząc czemu, poczuła też onieśmienie.

Dostrzegła, że nie jest już tak topornie bezradny. Miniony rok zdecydowanie lepiej wpłynął na niego niż na nią.

Było w nim teraz niezwykle połączenie pierwotnej siły i cierpliwości. I zrozumienia spraw, których wcześniej nie chciał do siebie dopuszczać. Odzyskał widocznie zapomnianą pewność siebie w kwestiach podstawowych. Oboje wyraźnie szukali kontaktu ze sobą, a zarazem unikali gestów mogących to zdradzić. Powoli ogarniało ją zmęczenie całą tą sytuacją, choć ganiła się w myślach, że to tylko wyobraźnia płata jej figle.

Siedzieli naprzeciw siebie i Nina opowiadała

O minionym roku w pracy. O mieście i tętniącym życiu. Mówiła o Adamie, a Wiktor bezwiednie zacisnął szczęki, mimo że Nina przedstawiła go jako dobrego przyjaciela. Na pytanie, czy to coś więcej, machnęła tylko ręką i skomentowała, że nawet jeśli przez chwilę tak to wyglądało, to skończyło się szybciej, niż zaczęło. Konkluzja jednak była taka, że Adam to wspomniały mężczyzna.

Był wściekły, ale wiedział, że nie powinien,

I sam dziwił się swojej reakcji. Tylko że było w niej coś takiego... Czuł podświadomie, że nie mówi mu wszystkiego. Zdradziło ją spojrzenie uciekające w bok i delikatny rumieniec zakłopotania na policzkach. Z trudem zapanował nad cisnącymi się na usta pytaniami.

Patrzył na nią, ciesząc oczy widokiem i każdą chwilą w jej towarzystwie.

Podziwiał każdy rys twarzy, migdałowy zarys oczu o niezwykłym kolorze, miedziane włosy lekko okalające opaloną buzię. Kiedy stąd wyjeżdżała, była młodą dziewczyną. Zbuntowaną, cierpiącą, ale i zadziorną. Wróciła jako ciepła i jakby trochę zagubiona, ale jednak kobieta.

Nagle przeciągnęła się leniwie i zmrużyła oczy.

- Idź spać. Zaraz dam ci świeżą pościel. - Wstał od stołu. - Nie myśl, że będziesz wylegiwać się do południa. Na rano zaplanowałem przejażdżkę.

Był pewien, że podczas jazdy bardziej się rozluźni i może wreszcie coś powie.

Nina zaśmiała się, zadowolona. Powietrze i wino działały cuda. Napięcie skryło się głęboko, pozwalając jej na spontaniczność. Podeszła do niego, wspięła na palce, by dosięgnąć policzka. Całując go, szepnęła:

- Dobrze. Dobranoc, tatusiu.

Wiktor zdębiał.

Tatusiu? Tatusiu? - myślał zawiedziony i ogłupiały. Tyle starań i „tatusiu”? Naprawdę jestem już taki stary i stetryczały? Tatusiu?

Nina tymczasem tłumiała śmiech za drzwiami sypialni, usiłując przywołać choć odrobinę poważniejszy wyraz twarzy, zanim Wiktor wejdzie do pokoju z pościelą. Dobrze widziała jego minę i wyraz oczu. Trochę jej było nawet go żal, ale pomyślała, że tego widoku nie zapomni do końca życia. Była dziwnie odprężona i zdziwiona, że w całej tej sytuacji stać ją w ogóle na żarty. Westchnęła, ale było to zupełnie inne westchnięcie niż ostatnio. Razem z nim zelżał nieco ucisk w klatce piersiowej, goszczący w niej od tak dawna.

Dopiero gdy wyszła z pokoju do łazienki, zdobył się na odwagę, by zanieść jej kołdrę i poduszki. Nie miał ochoty po raz drugi usłyszeć tego wie-

czoru czegoś, co ostatecznie pogrzebie poczucie jego wartości własnej. Uciekł z tej małej sypialni szybciej, niż tam wszedł. Pomyślał, że zachowuje się jak szczeniak. Nawet gorzej. Czterdziestoletni facet powinien mieć więcej godności, na litość boską.

Leżąc, nasłuchiwała, jak Wiktor krząta się po domu. Wreszcie smuga światła wydobywająca się spod drzwi zniknęła i dało się słyszeć skrzypienie schodów.

Przewróciła się na drugi bok i pograżyła w rozmyślaniach. Spędzili ten wieczór zwyczajnie. Właściwie nie wiedziała już, dlaczego miała jakiegokolwiek obawy co do ich relacji.

Skąd więc to ledwo wyczuwalne napięcie?

Cieszyły ją z jednej strony zmiany, jakie zaszły w Wiktorze, choć i wołała jednocześnie wcześniejszy stan rzeczy. Wiedziała, że wszystko się zmienia, dlatego nie było powinno jej dziwić, że życie Wiktora też ulegało pewnym metamorfozom.

Oczywiście ludziła się, że właśnie tu może być pewna niektórych rzeczy, i zgaśniła się, świadoma, że wołała tak myśleć tylko dla własnej wygody. Na niewiele spraw w życiu miała wpływ, tu więc chciała mieć go szczególnie.

Chyba dostałam prztyczka w nos, pomyślała. Najwyraźniej nie nauczyłam się jeszcze pokory wobec życia.

Wiktor stał dłuższą chwilę przy oknie. Jeszcze teraz odczuwał dziwny niepokój. Nie do końca wierzył w dzisiejsze wydarzenia. Miał ochotę zejść na dół i upewnić się, czy ona faktycznie śpi i czy w ogóle tu jest.

Zmieniła się. Niewiele, prawie niezauważalnie, ale jednak. Kiedyś być może nawet tego by nie za-

uważył, ale teraz potrafił dostrzec. Wrócił do normalności, do innych ludzi, którzy okazali się wcale nie tacy straszni, jakimi chciałby ich widzieć. Owszem, dzieci czasem nie potrafiły powstrzymać się od komentarzy, kiedy go mijały, ale nie bolało to już wcale. Także klienci jakby stali się mniej dokuczliwi. A może to on sam zmienił podejście do wszystkich?

Nina spała zadziwiająco dobrze. Podróż i świeże powietrze zrobiły jednak swoje. Kiedy otworzyła oczy, słońce było już dość wysoko. W pierwszej chwili musiała sobie przypomnieć, gdzie jest.

Zza drzwi słychać było krzątanie, przerywaną soczystymi przekleństwami. Zaśmiała się cicho pod nosem, wiedząc, że oznaczają one ni mniej, ni więcej, tylko prace kuchenne Wiktora. Wszelkie obawy z wczorajszego wieczoru zniknęły natychmiast.

Przynajmniej to się nie zmieniło.

Kiedy stanęła w otwartych drzwiach, Wiktor ujrzał nieco potarganą dziewczynę ze śladami po odcisniętej poduszce na policzku. Lekkie sińce pod oczami nadawały jej buzi zaspany wyraz, choć w spojrzeniu igrały wesołe ogniki.

- Gotowa na śniadanie? Już myślałem, że powinienem raczej podać obiad - mruknął.

- Och, daj spokój, zasnęłam, przyznaję - powiedziała, siadając na krześle. - Dobrze mi się spało w tym nowym łóżku. Powinieneś być zadowolony.

- Zrobiłem jajecznicę na bekonie i przypaliłem kilka grzanek. Jeśli ci to odpowiada, zapraszam.

- Chyba się skuszę. - Sięgnęła po nie ręką. - Mam nadzieję, że znajdzie się jeszcze kubek kawy z mlekiem?

- Nie przeciągaj struny. - Udał, że jest zagniewany, ale już wyciągał dłoń, w której trzymał parujący napój.

Uśmiechała się tylko lekko, dziwnie zadowolona.

Potrzebowała kilku dni, by zadomowić się na dobre. Na nowo odkrywała tego nadal zamkniętego w sobie człowieka, co jednocześnie pozwalało jej na zapominanie o własnych problemach.

Nie musiała wciąż analizować minionych wydarzeń. Zostało jej jeszcze trochę urlopu, nie musiała więc nawet dzwonić do pracy. Bardzo jej to odpowiadało. Chwilowo ukrywanie się było najlepszym pomysłem, jaki miała. Nie było to wyjście dobre na dłuższą metę, ale na razie wystarczało. Nikt jej tu o nic nie wypytywał i nie ograniczał. Żyła własnym tempem. Ludzie pracujący przy koniach bardziej byli zajęci zwierzętami niż nią, ale widziała, że są jej życzliwi. Schodzili jej jednak z drogi. Było to wyraźnym życzeniem Wiktora, choć ona o tym nie wiedziała. Tylko Piotr często jej się przyglądał i niejednokrotnie zagadywał, postępując z nią jak z małym przestraszonym zwierzątkiem, które trzeba oswoić. Był jednak na tyle delikatny, że z czasem polubiła pogawędki o koniach i górach z tym nieco przysadzystym mężczyzną o mocno ogorzałej twarzy.

Nie bała się go, bo nigdy nie spojrzał na nią w ten określony sposób, w jaki mężczyźni często patrzą na kobiety. W jego oczach była po prostu osobą pozbawioną płci. Widziała to i była mu niemal wdzięczna za ten rodzaj traktowania.

Nieco lepiej też czuła się w obecności Wiktora, który, sam będąc samotnikiem, chyba rozumiał,

czego Nina potrzebuje. W końcu doszło do tego, że to ona wielokrotnie przyglądała mu się podczas pracy, kiedy skupiony nie mógł jej widzieć. Tak się jej przynajmniej zdawało.

Czasami miała wrażenie, że celowo jej unika, zupełnie jakby nie chciał krępować jej swobody. Paradoksalnie była to prawda, jej bowiem potrzebne były te chwile samotności, kiedy jednocześnie miała świadomość, że sama nie jest.

Podczas ostatnich kilkunastu miesięcy żyła w takim wirze wydarzeń, że nie miała nawet możliwości usiąść sam na sam z własnymi myślami i zastanowić się nad oczekiwaniami wobec przyszłości. Teraz jednak odczuwała frustrację, oceniając z perspektywy ostatni czas. Mimo wielu pozytywnych zdarzeń nie mogła w tym wszystkim odnaleźć prawdziwej siebie. Konieczność.

To słowo niezwykle często pojawiało się w jej przemyśleniach. Momentami miała wrażenie, że całe jej życie biegnie drogą wyznaczoną przez kolejne konieczności.

A gdzie miejsce na chęć, zapal, pragnienia?

Ze zdumieniem odkryła, że mężczy ją nawet praca. Nie chciała wracać do firmy, która dotąd była całym jej życiem. Trudno jej było się z tym pogodzić. Do tej pory bowiem powtarzała sobie, jak wiele osiągnęli we trójkę.

Dzieciaki z domu dziecka.

Nie skończyli w rynsztoku. Wybili się, osiągnęli sukces. Większy nawet, niż planowali. A teraz?

Czy naprawdę chciała dalej robić to, co stanowiło dotąd o jej wątpliwej tożsamości? Kim była bez Marka, bez Jacka, bez wszystkich ludzi, za których czuła się odpowiedzialna?

Miała jedynie swoje ciężkie bagaże, wypełnione niechcianą przeszłością. Nie udawało się od niej uciec, bo wracała jak natrętny bumerang, waląc prosto w łeb.

Wiktor widział, że Ninę bardzo coś mężczy. Kilkakrotnie chciał nawet zapytać, co ją tak smuci, ale bał się, że nie zrobi tego w odpowiedni sposób lub w odpowiednim momencie.

Nie próbował więc wchodzić jej w drogę, kiedy miała wyraźną chęć na samotne wędrówki.

Wiedział, że czas upływa i zbliża się nieubłagalnie termin wyjazdu dziewczyny. Jednak cieszyła go jej obecność i nie chciał czegoś popsuć.

Wystarczała mu świadomość, że wieczorem usiądą razem do kolacji, a rano zjedzą wspólne śniadanie. Te dni były tak zwyczajne, a zarazem zupełnie inne. Bo niby jej nie było, ale była. Zastanawiał się, jak wróci do poprzedniego życia, kiedy ona wyjedzie. Wiedział też, że teraz, nawet wbrew sobie, będzie czekał na więcej. Miał również świadomość, że jeśli czegoś szybko nie zrobi, będzie czekał na darmo.

Czasem martwiło go, że relacje między nim a Niną nie wyglądają jak kiedyś. Wcześniej byli wobec siebie bardziej bezpośredni, teraz uważali na słowa. Już dawno przyłapał się na tym, że nieco inaczej postrzega Ninę. Kiedyś już się nią opiekował. Tyle że była to opieka nad fizycznie wyczerpaną, przestraszoną, ale żywołową dziewczyną. Teraz miał wrażenie, że ona potrzebuje opieki zupełnie innego rodzaju, jednak nie był pewien, czy pozwoliłaby mu na to. Być może nawet nie chciałaby przyznać się do takiej potrzeby przed samą sobą.

## ROZDZIAŁ 12

Wiktor kończył malować listwy okienne. Nina stała w drzwiach już od dłuższej chwili, przyglądając mu się w milczeniu. Lubiała na niego patrzeć, sama niezauważona. On jednak, niezwykle wyczulony na jej obecność, wiedział, że dziewczyna przypatruje mu się z oddalenia.

Kątem oka obserwował, jak się wówczas zamyślała. Zaczynało go to już mężczyć.

Nie rozumiał zupełnie, czemu zamiast się do siebie zbliżyć, zaczynają się oddalać.

Owszem, miał świadomość ogromu różnic między nimi, ale wcześniej nie były one aż tak wyczuwalne.

Zaczął nawet przypuszczać, że wcześniej traktowała go w sposób szczególny jedynie z wdzięczności i teraz zdała sobie z tego sprawę. Właściwie nigdy też nie dała mu do zrozumienia, że jej na nim zależy. Może faktycznie było to zachowanie, które można przypisać jedynie chęci podziękowania za opiekę.

To tylko on próbował uświadomić Ninie nieporadnie, jak bliska mu się stała. Choć sama pozwalała na niewiele.

Powoli, by jej nie wystraszyć, odwrócił się ku drzwiom.

- Długo tak stoisz? - Zaczął wycierać pędzel w szmatkę umoczoną w rozpuszczalniku.

- Chwilę. Podziwiam twoje dzieło. - Podeszła do okna, krzyżując ręce na piersi i obejmując dłońmi swoje ramiona.

- Wiesz, nie jestem może dobry w wielu sprawach i poruszam się czasem jak słoń w składzie porcelany, ale chyba warto czasem rozwijać nawet odrobinę umiejętności, które jednak się ma.

- Hmm, wiesz, za to dowcip wyostrzył ci się niesamowicie. - Rozluźniła się nieco.

- Nooo, miałem doskonałą nauczycielkę. - Mrugnął do niej. - O niezwykle ciętym języku. Nina zaśmiała się i podniosła ręce w geście poddania.

- Dobrze, dobrze, przyjęłam. Choć brzmi to dziwnie z ust kogoś tyle lat starszego. Zresztą, co do twoich talentów, to przede mną nie musisz udawać takiego skromnego. Dobrze wiesz, jakie mam zdanie choćby o twoich rzeźbach. A swoją drogą, przyszedłam zapytać, co jemy na kolację. Naszła mnie dziś ochota na gotowanie, więc masz możliwość wyboru. Jeszcze zdążę pojechać po zakupy.

Wiktor, zanim pomyślał, już słyszał własne słowa:

- Miałbym dla ciebie lepszą propozycję. Niedawno otworzyli małą knajpkę, wiesz, drewniane stoły, obrusy w kratkę, świeczki. Może się wybierzemy?

Nina wyraźnie widziała, jak sam jest zdziwiony własną śmiałością i tą propozycją. Co ciekawe, to właśnie dodało jej pewności siebie i powodowana nieznany dotąd odruchem, postanowiła kuć żelazo póki gorące.

- Świetny pomysł. Naprawdę. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. W takim razie idę się wykapać i przebrać. - Zmarszczyła zabawnie nos. - Ty chyba też powinieś. Cały jesteś w farbie.

- Cholera, cholera, cholera... - mrucał pod nosem, kiedy po wzięciu prysznicą stał przed szafą, owinięty wokół bioder ręcznikiem.

Mokre włosy, lekko wijące się od wody, opadały mu na kark. Co chwila przeczesywał je do góry palcami, wyraźnie było więc widać wszystkie zniekształcenia, jakich dokonał ogień na jego twarzy. Spływające krople tworzyły cieniutkie strużki na jego plecach i dość gęsto zarośniętej klatce piersiowej. Fragmentami był mocno opalony od ciągłego przebywania na powietrzu, ale ze względu na blizny, których nie mógł zanadto wystawiać na promienie słoneczne, najbardziej widać to było po przedramionach. Wysoki i dobrze zbudowany, przypominał posąg nadgryziony zębem czasu. Szerokie bary i umięśniona klatka piersiowa przechodziły w płaski brzuch i wąską miednicę. Mocne uda i łydki pokrywał zarost. Gdzieś tam lekko siwiejący, co przypominało, że nie ma już dwudziestu lat. Przez całą lewą stronę ciała przebiegały nieregularne blizny po oparzeniach i ranach. Ciało wyglądało tam jak ulepione z wosku wlanego do niedoskonałej formy. Białe pajęczyny, ściągające skórę w wielu miejscach. Na udzie brakowało kawałka mięśnia.

Jezu... Jakie straszne są te blizny, pomyślała Nina, oszołomiona nieco tym widokiem.

Ale to one pozwoliły jej nie widzieć w jego ciele zagrożenia. Było bowiem tak niedoskonałe, jak jej wnętrze.

Stała już tak od dłuższej chwili, a jej serce tłukło się jak oszalałe. Mimo to zebrała się w sobie i chrząknęła cicho, a Wiktor z malującą się paniką w oczach natychmiast porwał pierwszą koszulę, jaka wpadła mu w ręce.

- Nina? Co ty tu robisz? Znowu się skradasz? Nie możesz głośniej chodzić?

- Pukałam, ale byłeś tak zaaferowany zawartością swojej szafy, że najwyraźniej nie słyszałeś zupełnie nic. - Starła się przykryć zmieszanie ob-cesowym tonem. - I nie bądź taki wstydlivy, nie jesteś jedynym egzemplarzem swojego gatunku. Zaczekaj. - Podeszła bliżej i zaczęła oglądać zawartość szafy. - Pomogę ci coś wybrać, bo gotów jesteś iść w tym flanelowym okropieństwie.

Paplała, co ślina na język przyniesie, by ukryć zmieszanie i swoje, i jego. Nic nie miała do jego flanelowych koszul - były miłą odmianą po sztyw-niackich garniturach, na które musiała patrzeć co dzień.

Spojrzał na nią, nieco przytomniejąc. Stała tuż obok ubrana w polarowy szlafrok, kolor delikatnej zieleni podkreślał jej opaloną twarz i miedziane refleksy we włosach, ściągniętych teraz niedbale na karku. Policzki miała podejrzenie zaróżowione, w oczach igrały tajemnicze ogniki.

- Właściwie to przyszedłam cię zapytać, czy mam włożyć coś niezobowiązującego, ale widząc twoją reakcję, gotowa jestem podejrzewać, że w tej knajpce wymagają co najmniej sukni wieczorowej. - Uśmiechnęła się szelmowsko i puściła do niego oko.

Wiktor westchnął. Doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli będzie z nią szczerzy.

- Nina, mam tremę jak cholera. Wiesz dobrze, że nie wychodzę zbyt często... - Zawahał się. -Prawdę powiedziawszy, to dla mnie nadal problem.

Popatrzyła na niego badawczo.

Drzwi szafy zatrzasnęły się z hukiem, kiedy energicznie je pchnęła.

-Posłuchaj. Nie musimy nigdzie wychodzić. Wystarczyło powiedzieć. - Tu zarumieniła się, gdy pomyślała, że sobie powinna udzielać takich samych rad. - Zrobimy elegancką kolację w domu. To będzie taka wprawka. Wiesz, ubierzemy się ładnie, zapalimy świece... Co ty na to?

- Dobrze! - Zaśmiał się, na chwilę zapominając o niezręczności. - Ale jeśli mam się ubrać, nie zamykaj mi szafy.

Nina spojrzała najpierw na niego, potem na zamkniętą szafę, potem znowu na niego i uświadomiła sobie, że Wiktor cały czas stoi obok niej półnagi. Zarumieniona, zaśmiała się i wycofując się ku wyjściu, zażartowała:

- Wiesz, w ręczniku też wyglądasz całkiem elegancko, to mnie trochę zwiódło, jeszcze tylko muszka... i byłoby zupełnie dobrze... - co mówiąc, zniknęła za drzwiami.

Patrzył za nią jeszcze przez chwilę, po czym zamknął oczy. Pod powiekami cały czas miał jej obraz.

Otulona w miękki szlafrok, bosa, pachnąca jeszcze kąpielą. Zaklął pod nosem, by przywołać się do porządku.

Energicznie przeszukując szafę, rozmyślał o tym, jak wystraszył się, że go zobaczyła. Widział jej spojrzenie. Ten żal.

Spojrzał w lustro.

Ta twarz.

Nigdy nie był typem amanta, ale teraz ze swoją szeroką szczęką i mocno zaznaczonymi, oszpeconymi szramami kośćmi policzkowymi wyglądał naprawdę odpychająco. Co z tego, że nosił dłuższe włosy, żeby stanowiły zasłonę? Na niewiele się zdawały.

A ona widziała go w momencie, kiedy w ogóle nie był na to przygotowany. Zaklął i szybko włożył to, co akurat wpadło mu w rękę.

Nina stała w tym czasie, oparta plecami o zamknięte drzwi swojego pokoju, a jej serce tłukło się szaleńczo. Nie mogła zrozumieć swojej reakcji. Nieznane emocje toczyły bitwę ze zniechęconym poczuciem niewłaściwości tych myśli. Wstyd nie pozwalał o sobie zapomnieć. Sprzeczne odczucia, walcząc ze sobą, wywołały w końcu mdłości. Zatkąła na wpół otwarte usta drżącą dłonią. Potrzebowała kilku chwil, by wyregulować oddech.

- Spokojnie, spokojnie... - mówiła cicho sama do siebie. - Nie robisz nic złego, naprawdę nie robisz nic złego.

Przymknęła oczy i pozwoliła sobie raz jeszcze na przywołanie dreszczu emocji sprzed kilku chwil. Ze zdumieniem odkryła, że niebiosa nie grzmiały w oburzeniu, a ona nadal nie płonie w ogniu piekielnym.

Coś zakiełkowało w piersi i cisnęło, jeszcze niezrozumiałe i nowe. Dotknęła tego miejsca palcami, wyczuwając przerwę między żebrami. Było tam nadal. Ucisk jednak był boleśnie przyjemny i nie chciała, by się skończył. Osunęła się na podłogę, ukrywając głowę w ramionach, śmiejąc się cicho. Olsniło ją nagle, dodając siły:

- Oboje boimy się tak samo.

Kiedy weszła do kuchni, Wiktor był tam już najwyraźniej od dłuższego czasu. Na stole leżała czysta serweta, stał trójramienny świecznik. W kominku wesoło trzaskał ogień. On zaś z zatroskaną miną zaglądał do wnętrza lodówki.

- Jakiś problem? - zapytała.

- Taaak... Widzisz, wspominałaś coś o zakupach. No cóż, ta kolacja jednak nie będzie należała do wykwintnych.

- Pokaż, co tam mamy. - Wśliznęła się mu pod ramię, którym przytrzymał otwarte drzwi lodówki.

Odsunął się nieco, by mogła zajrzeć do wnętrza.

Kiedy lustrowała ich skromne zapasy, zdążył się jej przyjrzeć. Włosy spięła w luźny węzeł, na twarzy miała delikatny makijaż, zaznaczający jeszcze bardziej kości policzkowe. Zapinana na guziczki jedwabna bluzka koloru burgunda dodawała jej trochę powagi, ale i kobiecości.

Materiał był tak cienki, że bez trudu mógł zauważyć, jaki wzór ma koronka jej stanika.

Spódnica o klasycznym kroju sięgała ledwie kolana. Na nogach zaś... Wiktor zastanawiał się, jak, na Boga, ona może w tym chodzić. Czarne sandały składały się jedynie z cieniutkich paseczków na niebotycznie wysokich, smukłych obcasach. Do jego nozdrzy dotarł również zapach. Delikatny i świeży, z nutką kwiatów i czegoś jeszcze. Przełknął głośno ślinę.

- Aż taki głodny? - Roześmiała się.

- Niestety - zachrypiał, mając na myśli zupełnie co innego niż ona. - Ale myślę, że nie jest aż tak źle, żeby nie wystarczyła nam sałatka z kozim serem - powiedział. - W spiżarni powinienem mieć jeszcze jakieś białe wino.

Kolacja zbawiennie wpłynęła na ich samopoczucie. Rozluźnieni po dwóch kieliszkach wina, z trzecim w dłoni, usiedli przed kominkiem. Nina usadowiła się na przeciwległym końcu kanapy, wciąż dziwnie czując się po tym, co odkryła, sondując nowe uczucie. Podwinęła nogi, zrzuciwszy wcześniej sandały.

- Zastanawiam się, jak można w ogóle w czymś takim chodzić. - Wiktor wskazał na leżące na podłodze buty.

- Te nie są jeszcze takie złe. - Uśmiechnęła się znad wina. - Bardzo je lubię, nawet odwiedziły ze mną kilka przyjęć. Ale chyba tutejsze ciśnienie inaczej działa na moje nogi... Faktycznie dały się mi trochę we znaki. - To mówiąc, wyciągnęła stopy w kierunku Wiktora.

Gdy chciała je z powrotem podwinąć, złapał je i delikatnym, ale zdecydowanym ruchem położył sobie na kolanach.

Zarumieniła się lekko, wdzięczna za przytłumione światło z kominka i wino. Na nie zawsze mogła zrzucić odpowiedzialność. Nie zdjęła jednak nóg z jego kolan.

- Dlaczego to wszystko musi być takie trudne? - szepnęła. Zaskoczona, że starczyło jej odwagi na to pytanie, rriecierpliwie oczekiwała odpowiedzi.

- Sam chciałbym wiedzieć. - Postanowił nie udawać, że nie wie, o co jej chodzi. - Może po prostu oboje potrzebujemy zmian, tylko jeszcze nie wiemy jakich?

- Chcesz przez to powiedzieć, że to też dlatego, że tak naprawdę w ogóle się nie znamy? Chodzi o zaufanie?

- Hm, to trudne pytanie. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Być może wszystko jest nie tak, jak się nam

wydaje? Oboje chyba trochę przeszliśmy, choć trudno mi tu cokolwiek powiedzieć o tobie, bo milczysz jak zaklęta. Ja na przykład wiem, że powinienem się zmienić, choć jednocześnie jest już na to chyba trochę za późno.

Poruszył się niespokojnie, podkładając poduszkę pod łokieć.

- Wiesz... Teraz nie podoba mi się to, jak żyłem po wypadku. Wcześniej wydawało mi się to nie do pomyślenia... Tak jest chyba ze wszystkim. Więcej się nam czasem wydaje, niż chcemy. Może ty też potrzebujesz czasu, by zauważyć, co robiłaś niepotrzebnie?

Spojrzała na niego spod oka.



- Faktycznie się zmieniłeś.  
- Możliwe. - Skinął głową, patrząc w ogień.  
- Choćby dlatego, że to najdłuższy monolog, jaki wyrzuciłeś z siebie, odkąd cię poznałam. - Zaśmiała się w końcu, rozładowując nieco atmosferę.  
- O, ty też się zmieniłaś - powiedział poważnie, rozluźniając się jednak nieco. - Nie znaczy, że na lepsze... - Puścił do niej oko, ale mówił jak najbardziej serio. - Strasznie się w sobie zamykasz. Wcześniej tego nie robiłaś... Albo tego nie zauważałem - dodał po chwili milczenia.  
- I kto to mówi? - odburknęła, niezadowolona, że staje się przedmiotem analizy, na którą wcale nie miała teraz ochoty.  
- Zapewniam cię, że w tym mnie jednak ostatnio prześcignęłaś. Co cię tak gryzie? Już dawno chciałem zapytać, ale żaden moment nie wydawał mi się właściwy.  
- Pozwól, że powtórzę twoje własne słowa. Sama chciałabym wiedzieć - skłamała odruchowo, ale tama powoli zaczynała pękać. - Choć właściwie czasem dobrze wiem, przed czym uciekam, ale nie chcę się do tego sobie przyznać. Chyba kilka rzeczy mnie przerosło. Zapomniałam, że nie ze wszystkim samemu można sobie poradzić. - Skapitulowała, czekając na jakiś gest, po którym będzie musiała uciekać.

Nic takiego się jednak nie stało.

- Masz jeszcze mnie. Przynajmniej dopóki tu jesteś - powiedział ciepło. - Może gdybyś czasem przyznała, co cię boli - kontynuował - potrafiłbym ci choć trochę pomóc. Chciałbym. Zobaczył, że Nina skuliła się, opuszczając ramiona.

- To nie takie proste - wyszeptała zza włosów, które przysłoniły jej schyloną twarz.

- Chociaż spróbuj.

Uniosła wzrok. Patrzył jej teraz prosto w oczy z nieznaną dotąd determinacją. Były w tym spojrzeniu czułość i ciepło, o które w ogóle go nie podejrzewała. Skinęła głową.

- Będę pamiętać.

Nie wiedział, ile ją kosztowały te dwa słowa, bo skąd miałby wiedzieć.

Westchnął. Wcale nie miała zamiaru mu zaufać, przynajmniej nie na tyle, by cokolwiek opowiedzieć.

Nina czuła się tak, jakby spadł jej z serca jeden z bardzo ciężkich kamieni. Ciężar nie znikł zupełnie, ale zmniejszył się na tyle, że mogła wziąć głębszy oddech. Wbrew obawom odnalazła jednak w Wiktorze i tamtego człowieka, którego zostawiła ponad rok temu.

Owszem, zmienili się oboje. Ale zmiany wydają się tylko wówczas nienaturalne, kiedy w nich nie

uczestniczymy. Cała sztuka polega jedynie na dostrzeżeniu niezmiennego. A u Wiktora było tego wiele.

Zauważył, że Nina mimo wszystko rozluźniła się nieco. Znów się, co prawda, zamyśliła, ale zniknął z jej twarzy wyraz napięcia.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tu przyjechałam - powiedziała nagle.

- Nawet nie wiesz, jak miło to słyszeć - odparł, nieco zaskoczony tym nieoczekiwanym wyznaniem.

Uśmiechnęła się, przechyliła głowę i zapytała:

- Zasłużyłam na jeszcze jeden kieliszek wina?

- Oczywiście. - Zdjął jej stopy ze swoich kolan. Kiedy pochylił się nad nią, by odebrać z dłoni kieliszek, bezwiednie pocałował ją w czubek głowy.

Ich oczy spotkały się w porozumiewawczym spojrzeniu, nieco jednak przestraszone tą odrobiną czułości. Pomyślała, że po raz kolejny została poczęstowana ojcowskim gestem.

Uznała, że Wiktor naprawdę chce zdobyć jej zaufanie.

- Zaraz przyniosę ci wino.

Śledziła wzrokiem jego sylwetkę. Podszedł do stołu w kuchni i nalał ostatnie krople wina do kieliszków. Miał na sobie niebieską koszulę i szare spodnie. Próbowwała przypomnieć sobie, czy widziała go już kiedyś w takim stroju, ale doszła do wniosku, że jest to dla niej zupełnie nowy widok.

- Już więcej nie ma. - Uśmiechnął się.

- Może to i lepiej... Trochę szumi mi w głowie. - Z zadowoleniem stwierdziła, że czuje się już zupełnie dobrze.

- Nic dziwnego. Wypiliśmy całą butelkę. Wiktor usiadł obok, delikatnie przesuwając jej nogi.

- Wypijmy toast.

- Za co?

- Za to, co się nie zmienia - zaproponował. Nina ostrożnie dotknęła swoim kieliszkiem jego.

- To bardzo dobry toast.

A w myślach kołatało się jej, że zmiany i tak będą konieczne.

Wychylili wino niemal jednym haustem.

- Chyba czas spać. - Westchnęła, podnosząc się z trudem, i zaśmiała się cicho, nieco zażenowana.

Podtrzymał ją za łokieć. Stojąc już obok niego, pochyliła się i pocałowała go w policzek. Tak jak kiedyś całowała na dobranoc chłopaków.

- Dobranoc.

Wiktor przytrzymał jej dłoń i podniósł do ust.

- Dobranoc.

Wstał, odbierając jednocześnie kieliszek z jej ręki.

Oboje cieszyli się z tej nici porozumienia, która na nowo pojawiła się między nimi. On więc starał się nie zaczynać rozmowy, by nie powiedzieć za wiele, a ona weszła do pokoju, by nie musiała zbyt wiele dziś usłyszeć.

Leżała już długo, nie mogąc zasnąć. Przed oczyma przesuwały się jej obrazy z minionego dnia. Na wspomnienie Wiktora w ręczniku poczuła zażenowanie, że w ogóle o tym myśli. Zła na samą siebie, wstała, gwałtownie odrzucając kołdrę. Nadal niepokodzona z własnymi odczuciami, musiała coś koniecznie zrobić, gdyż męczyła się, leżąc beczynnym. Najlepszym lekarstwem na niechciane myśli wydawała się ciepła herbata.

Oczy przyzwyczajone do ciemności pozwoliły jej niemal od razu dostrzec sylwetkę Wiktora, siedzącego po ciemku w kuchni.

- Ty też nie śpisz - zdziwiła się. Uniósł nieco dłoń z kubkiem.

- Nie mogłem zasnąć.

Zapaliła małą lampkę, by ostre górne światło ich nie poraziło.

- Tak jak ja. - Podeszła do czajnika i wstawiła wodę na herbatę. - Mam ochotę na coś ciepłego.

Wiktor, ubrany jedynie w spodnie od piżamy, poruszył się, jakby miał ochotę uciec.

- Nie wychodź z mojego powodu - powiedziała łagodnym tonem. - Już widziałam, jak wyglądasz.

Jak gdyby nigdy nie przeszukiwała szafkę, chcąc znaleźć odpowiednią herbatę.

- Jeszcze nie krzyczę z przerażenia, jak widzisz. - Popatrzyła na niego przeciągle, specjalnie taksując od góry do dołu.

Starła się za wszelką cenę sprawić, by nieco się rozluźnił, miała bowiem wrażenie, że ten wielki facet zaraz naprawdę rzuci się do ucieczki. Zupełnie jednak nie wiedziała, jak to zrobić na tyle przekonująco, by w końcu uwierzył, iż nie powinien tak reagować, zwłaszcza że przecież tak dobrze im dzisiaj już szło. Po raz pierwszy to ona była górą w takiej sytuacji i zdziwiła się swoją siłą. Wiktor z kolei dopiero po chwili zorientował się, że od dłuższego czasu pochłania wzrokiem jej sylwetkę spowitą jedynie w cieniutki jedwab. Kremowy kolor

przybierał w świetle lampki barwy od bieli po pomarańczową, w zależności od jej ruchów. Drżącymi dłońmi postawiła filiżankę z herbatą na stole. Wiedziała, że koszulka, choć sięgająca bardzo przyzwoicie po-  
łowy łydki, i tak więcej odkrywa, niż zakrywa. Nie był to najodpowiedniejszy strój, w którym powinna się pokazywać mężczyźnie. Zadrzała.

- Zmarzniesz - zauważył.

- Nie, tu jest całkiem ciepło - zaprzeczyła, dygotała już jednak.

Zmarszczył czoło; coś tu było nie tak.

- Lepiej może włożę szlafrok - dodała po chwili i prawie wybiegła z kuchni.

Powodowany impulsem, zdążył jednak złapać ją za rękę. Krzyknęła jak przerażone dziecko.

- Nina? - spytał cicho i spokojnie, nie chcąc jeszcze bardziej jej wystraszyć, ale serce mu tłukło się straszliwie. Nic nie rozumiał.

Ten głos nieco ją uspokoił. Odzyskała rezon.

- Dobranoc, Wiktor.

Chciała uciec, świadoma, że role się odwróciły. To ona potrzebowała teraz odwagi. Cisza.

- Nie wypijaś herbaty. Cisza.

- Wezmę ją do pokoju. Znowu cisza.

Ona się boi, pomyślał. Tylko dlaczego?

Był wystarczająco długo cierpliwy, mógł poczekać jeszcze trochę. Starszy o parę lat, wiedział, że czas nie zawsze ucieka. Nieraz daje też szansę.

- Dobranoc. - Uśmiechnął się ostrożnie. - Śpij dobrze.

Wstając, odgarnął jej kosmyk z czoła. Przez moment patrzyli na siebie z niemymi pytaniami wymalowanymi na twarzach. Już miała odejść, kiedy objął ją i przytulił.

Przyłgnęła do niego, hamując westchnienie. Oparła dłoń na jego klatce piersiowej, czując nierówności blizn, i już wiedziała, że nie tylko jej serce przestraszyło się tej odrobiny czułości.

Oderwała jednak rękę, a on pomyślał, że nie chce go dotykać. Zaciśnął szczęki, ale postanowił nie rezygnować.

- Zaufaj mi w końcu, proszę. Czego się tak boisz? Nie widzisz, że nie spotka cię tu żadna krzywda? - wydusił w końcu, ale ona tylko zagryzła wargi. - Skoro przyjechałaś, musiałaś chyba wiedzieć, że warto zaryzykować... Czego więc się boisz? - powtórzył.

- Tak... Nie wiem... Nie wiem... Nie potrafię... - plątała się, a on, zdumiony, zobaczył w jej oczach czyste przerażenie.

Za szybko, pomyślał. Nie teraz.

A głośno powiedział:

- Rozumiem. Może wolałbym usłyszeć coś innego, ale rozumiem. I naprawdę cieszę się, że przyjechałaś - świadomie nawiązał do zdania, które sama wcześniej wypowiedziała.

- Ja też - rozluźniła się nieco i uśmiechnęła. - Powinnam już iść spać - skapitulowała w końcu. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku.

- Dobranoc. Śpij dobrze.

Łatwo mu powiedzieć, myślała, leżąc już od dłuższego czasu w łóżku. Teraz z pewnością nie zasną.

Wiktor stał przy oknie w swoim pokoju, wpatrując się w ciemność. Znowu nie wiedział, co myśleć. Jednak w głębi duszy był nieco spokojniejszy. Ostatni wieczór pozwolił mu zrozumieć, że jest dla niej ważny. Nie był pewny, co Nina czuje, ale wystarczyła mu sama świadomość, że szukała u niego bezpieczeństwa. Bo również i to chciał jej ofiarować.

Coś mu podpowiadało, że tym razem warto powalczyć. Nawet jeżeli momentami Nina unikami doprowadzała go na skraj cierpliwości. Czasem jednak widział w jej twarzy tak bezbrzeżny smutek, że choćby była to ostatnia rzecz, jaką dla niej zrobi, postanowił dowiedzieć się, co kryje się w tej zadziwiającej dziewczynie.

## ROZDZIAŁ 13

Rankiem wybrali się na dłuższy spacer. Po lesie błąkały się światła słońca, w szerokie złote pasy ubierając pnie starych drzew, na mchach i paprociach migocząc mnóstwem iskier. Lubiała te chwile milczenia, gdy trzymając się za ręce, napawali oczy widokiem traw i wyniosłych drzew. Wiatr spadł na nie znieca i wnet między nimi uwijać się począł z szybkością nadzwyczajną, wznosząc się i opadając, na różne tony szumiąc. Drzewa milczały, tylko po ich gałęziach przebiegł dreszcz lekki, krótki, jakby z zimna nagłego powstały, choć dzień był przecież ciepły i letni. Na las opadała chłodna rosa i bujne jej krople gęsto usiały gałęzistą brodę silnego świerka. Toczyły się też one z wolna po długich warkoczach brzozy, rozpylonym srebrem świeciły na trawach, krzakach, liliowych dzwoneczkach, na płatkach drobnego kwiecia.

Z uwagą stawiali każdy krok, nie chcąc zdeptać kruchego dywanu i chłonąc barwy, zapachy. Przygasło nieco nad lasem niebo, zasłonięte przywianą znad gór chmurą, i Nina objęła się ramionami, bo z samego wrażenia pokryły się gęsią skórka. Wiktor, widząc to, objął dziewczynę ramieniem i uśmiechnął się do niej.

W końcu, pogrążeni w myślach, trzymając się za ręce, wracali do domu.

- Pamiętasz, jak cię znalazłem? Zaśmiała się.

- O, sądzę, że ty to pamiętasz o wiele lepiej ode mnie.

- Wydawałaś się jeszcze mniejsza, niż jesteś... jeśli to w ogóle możliwe. - Uśmiechnął się do niej. - Musiało ci być strasznie zimno.

- Jeszcze dzisiaj na samo wspomnienie mam gęsią skórę. Byłam tak samo przerażona, jak zziębnięta. - Wzdrygnęła się na samą myśl.

Żałował, że nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Wszystkie wydawały się banalne, a te tłukące się w głowie - nieuporządkowane. Dopiero przy niej przecież zaczął wyrażać na głos swoje myśli, ale kiedy dotyczyły jej, obawiał się, że zabrzmia niewłaściwie.

Ale wiedział też, że to dobry moment na rozmowę.

- Często zastanawiałem się, jak to możliwe, że cię w ogóle zauważyłem.

- I dzięki Bogu Wiktor, dzięki Bogu... - Spuściła głowę. - Chociaż... - zachichotała - pamiętam, że nieźle dałam ci się we znaki. Nawet nie starałeś się tego ukrywać.

- Nina - zachnął się. - Akurat z tego nie jestem specjalnie dumny, choć trzeba przyznać, że potrafisz dać w kość.

- No wiesz! - oburzyła się. - Ciekawa jestem, jak ty byś się czuł na moim miejscu, mając za opiekuna niedźwiedzia wpychającego w ciebie na siłę jedzenie, kiedy wszystko boli jak diabli.

- Nie narzekaj tak. A takiej kapryśnej dziewczuchy w życiu nie spotkałem... - Bardzo chciał ją rozbawić.

- Co do tego miałabym wątpliwości, patrząc czasem na klientów, którzy do ciebie przyjeżdżają - powiedziała z przekąsem. Parsknął śmiechem.

- Uwierz mi, momentami niewiele ci do nich brakowało - próbował dalej żartować, ale z niepokojem zobaczył, że nagle spoważniała.

- Nawet nie wiesz, w jakim jesteś błędzie. Bardzo mi do nich daleko. Ja i oni to dwa różne światy.

- To z jakiego ty jesteś świata? - spytał cicho.

- Z takiego, którego nie chciałbyś poznać. - Poklepała go po ramieniu, a Wiktor zrozumiał, że nic więcej dziś z niej nie wyciągnie.

Może kiedyś przekona się, że on nigdy nie będzie jej wrogiem. Przecież nie miał zamiaru wykorzystać przeciwko niej tego, czego zdoła się dowiedzieć na jej temat.

Nina zdawała sobie sprawę, że znowu się chowa, ale jak wytłumaczyć cokolwiek człowiekowi, który zawsze znajdował oparcie w swojej rodzinie? Wiedziała, że miał kochających rodziców, bo słycać było miłość i w jego głosie, gdy tylko wymawiał słowo mama lub tata. W domu stało kilka ich zdjęć.

Zawsze razem, zawsze objęci, zawsze uśmiechnięci.

Na pewno nie oceniali się nawzajem, wspierali w trudnych momentach. Wiedzieli, że są jednością.

Wiktor był zamknięty w sobie, ale to stanowiło część jego osobowości. Był typem obserwatora, działał wtedy, kiedy to konieczne, bez budowania niepotrzebnej otoczki i zbędnych słów.

Tragedia, którą przeżył, zachwiała jego światem, ale miał on tak solidne podstawy, że potrzebował jedynie bodźca, by do niego wrócić. Ona do swojego nie chciała, gdyby to zrobiła, oznaczałoby to jej zgubę. Do nowego nadal nie potrafiła się przystosować.

Gdzie więc jest moje miejsce? Czy kiedykolwiek je znajdę? - myślała.

Wracali do domu, pogrążeni w myślach. Nina ciągle ziewała.

- Tak źle? Chyba powinnaś się zdrzemnąć. - Uśmiechnął się, obejmując ją ramieniem.

- Wczoraj poszliśmy późno spać. - Mówiąc to, zarumieniła się po korzonki włosów. Nadal odczuwała zażenowanie na wspomnienie swojego zachowania.

- Zdrzemnij się. Ja pojedę po zakupy. Inaczej naprawdę zaczniemy głodować.

Pokiwała głową, ziewając szeroko.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Podreptała prosto do swojego pokoju, ale zostawiła uchylone drzwi, gdy więc wychodził, zapukał do nich delikatnie, żeby zapytać, czy chce ze sklepu coś specjalnego.

Spała. Usiadł obok niej na łóżku i pogłaskał po włosach.

Uświadomił sobie, że często patrzy na nią uważnie, jakby chciał wyczytać z rysów jej twarzy odpowiedzi na gnębiące go pytania.

Była uosobieniem delikatności, schowanej pod pancerzem siły zahartowanej dotychczasowymi doświadczeniami. Taka drobna i krucha, zdawała się nosić na barkach ciężar, który okazał się ponad jej możliwości.

Ciekaw był, jak długo będzie umiał przed sobą udawać, że chce ją jedynie chronić i otaczać opieką.

Ile może ignorować to, że dłonie same wyciągają się do niej, by choć w przelocie dotknąć gładkiej skóry? Był wystarczająco dojrzały, by panować nad sobą, ale przecież każdy ma swoją granicę wytrzymałości.

Dla niego dotyk był uzupełnieniem słów. Gdy z nią rozmawiał, w naturalny sposób chciał też pokazać jej, że bardzo mu na niej zależy. Ale czuł, że za każdym razem, gdy jej dotyka, ona wycofuje się do swojej skorupy.

I gubił się już w domysłach.

Na początku sądził, że to jego wygląd ją odpycha, ale jakieś przeczucie mu podpowiadało, że stoi za tym coś innego.

Albo nie chciała, by przekraczali pewne granice, ponieważ nie traktowała ich znajomości tak, jak on tego pragnął, albo podłoże było o wiele bardziej skomplikowane.

Nie miał już dwudziestu pięciu lat. Miał prawie czterdzieści i sam też trochę przeszedł.

Potrafił być cierpliwy. Pytanie tylko, jak długo jeszcze. I czy tą biernością nie przegra.

A wtedy... Cóż, to byłaby zdecydowanie największa porażka jego życia.

Westchnął i wstał z łóżka. Czekają go zakupy, a było już późne popołudnie.

Obudziła się, kiedy za oknem panowała zupełna ciemność. Bardziej zerwała się z łóżka, niż z niego zeszła. Lekko oszołomiona, zajrzała do kuchni. Zdezorientowana, nie wiedziała, która jest godzina. Głód jednak rządził się swoimi prawami. Lodówka nadal świeciła pustkami.

Najwyraźniej Wiktor nie wrócił jeszcze z zakupów. Zerknęła na zegarek. Była ledwie ósma.

Postanowiła wykorzystać sytuację i wziąć kąpiel. Wróciła na górę. W jego pokoju na łóżku leżał sweter, który miał na sobie tego dnia. Wyciągnęła po niego dłoń, ale stchórzyła i ruszyła do łazienki. Pół godziny

w wannie działo cuda. Przebrała się w koszulkę nocną i szlafrok. Odprężona i w lepszym humorze parsknęła śmiechem na widok swetra, który bała się wziąć do ręki, jakby miał ją oparzyć. Chcąc chyba udowodnić sobie, że to nic takiego, usiadła na łóżku i wtuliła w niego twarz, wdychając ledwo wyczuwalny zapach wody kolońskiej, której używał.

-Ależ jestem głupia. Zachowuję się, jakbym miała szesnaście lat - mruknęła. Zachichotała cicho i opadła na poduszkę, śmiejąc się już głośno.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła się lekko. Opuściło ją wciąż towarzyszące napięcie. Rozkoszując się tym uczuciem, przymknęła oczy, oddychając spokojnie, zaciskając dłonie, w których trzymała sweter.

Podjechał pod dom i z zadowoleniem stwierdził, że w kuchni pali się światło.

Przeświadczony, że Nina już wstała, wkroczył z impetem do środka. Jej tam jednak nie było. Rozpakował zakupy i nieco zniecierpliwiony, zapukał do jej sypialni. Gdy nie odpowiedziała, zajrzał do środka, ale tam też jej nie było.

Zaniepokojony wszedł na górę.

Przez dobrą minutę stał zdumiony na progu swojego pokoju.

Wyglądała tak niewinnie. I cholernie kobieco. Jeszcze niedawno wycofałby się i grzecznie zamknął drzwi. Nie tym razem.

Cicho podszedł do łóżka i usiadł ostrożnie, by jej nie obudzić. Uśmiechnął się na widok swetra w zaciśniętych dłoniach. Leżała lekko skulona, nieco zaplątana w szlafrok, którego poła odchyliła się na tyle, że mógł podziwiać jej smukłe nogi. Miała na sobie tę samą koszulkę co wczoraj.

Nie wiedział, skąd to zdecydowanie, ale z szelmowskim uśmiechem na twarzy postanowił dać jej małą nauczkę. Nie wchodzi się do łóżka mężczyzny, nie ponosząc konsekwencji.

A może to była jedynie wymówka, którą za wszelką cenę chciał znaleźć?

Zrzucił buty, skarpetki i zdjął sweter. Odwaga opuściła go przy spodniach, został więc w nich, myśląc niejasno o ostatnich przyzwoitości.

Powoli, by dawkować nacisk na materac, położył się tuż za jej plecami i objął śpiącą ramieniem.

Unosząc się na łokciu, pochylił nad nią głowę, by móc wdychać zapach jej włosów. Pachniała mydłem z jego łazienki. Zieloną herbata z cytryną.

Gdy bezwiednie poruszyła się we śnie i wtuliła w niego, przez głowę przemknęła mu myśl, że nauczkę daje jedynie sobie.

Pulsowało mu w skroniach, czuł jej plecy przylegające do jego klatki piersiowej, przyciśnięte do podbrzusza pośladki.

Dłoń położyła na jego ręce, którą teraz oplatał ją na wysokości piersi. Czuł rytm jej serca. Co chwila wstrzymywał oddech, by równać go z jej oddechem. Zupełnie jakby w ten sposób mógł być jeszcze bliżej niej.

Było mu dobrze. Gdzieś w środku, głęboko, budziło się w nim przekonanie, że właśnie tego mu w życiu brakowało. Uczucia, że jest tak, jak powinno być.

Spełnienie. Tak. Ten wyraz pasował idealnie.

Ninie zrobiło się nagle cudownie ciepło i dobrze. Pomyślała, że w snach wyostrzają się zmysły, gdyż czuła zapach Wiktora jeszcze wyraźniej. Gdy powoli wybudzała się z krainy marzeń, jej świadomość zaczęła płatać figle. Bo przecież jak to możliwe, że leży w jego objęciach?

Coś najwyraźniej przeoczyła.

Wtedy przypomniała sobie, w jaki sposób znalazła się w jego pokoju. Zalał ją rumieniec zażenowania. Tym bardziej że zaczęła też odczuwać skutki tak bliskiego kontaktu z

mężczyzną leżącym za jej plecami. W pierwszej chwili spięła po swojemu ciało, a Wiktorowi przez moment wydawało się, że dwa razy zwiększyła swój ciężar. Zrozumiał, że już nie śpi. Nie dał jednak poznać tego po sobie, czekając, aż oswoi się z myślą, że nie jest sama.

Wzięła głębszy oddech, besztając się w myślach i przekonując sama siebie, że gdzie jak gdzie, ale przy nim powinna czuć się bezpieczna.

Napięcie ustępowało, a ona czuła teraz, że jej nogi splątane są z jego nogami, silne ramię obejmuje ją w pasie, a ona sama trzyma jego dłoń między swoimi piersiami. Jego wyrównany oddech na swoim karku...

Ale najdziwniejsze było to, że nie bała się już.

Było jej dobrze.

Ciepło.

Westchnęła, pogodzona z własnymi odczuciami, i lekko odwróciła głowę, by go zobaczyć.

Nawet nie udawał, że śpi.

Spojrzeni na siebie, jakby na coś czekali, w końcu więc przerwał milczenie:

- Moje łóżko wygodniejsze? A może pokój ci bardziej odpowiada?

- Jedno i drugie - wypaliła bez namysłu, czerwieniąc się po korzonki włosów. - Brałam kąpiel, a potem... jakoś tak wyszło.

- A mój sweter? - zapytał już szeptem. Odchrząknęła.

- Ładnie pachnie, poza tym kobieta lubi się czasem do czegoś przytulić - powiedziała w końcu.

- Nie lepszy byłby ktoś?

- Nie ktoś... - zawahała się. - Tak?...

Wyczuła, jak spał się w oczekiwaniu na dalszą część zdania, i to dodało jej odwagi.

- ... pewnie lepszy byłby właściciel swetra... - Aż zabrakło jej tchu z zaskoczenia, że to powiedziała. Znowu wróciło napięcie w mięśniach. Tym razem jednak jeden wdech pozwolił mu się ulotnić.

Ramieniem, którym ją obejmował, odwrócił ją do siebie i zdecydowanie przytulił do piersi, gładząc po plecach.

- Tak lepiej? - Ucałował Ninę w czubek głowy, wdychając łagodny zapach jej włosów.

- Mhmm - odpowiedziała, kładąc głowę na jego barku, co pozwalało jej patrzeć mu w twarz.

Uniosła dłoń i opuszkami palców dotknęła brzydkich blizn, biegnących od czoła ku szyi.

- Wiele bym dał, by się ich pozbyć.

- Niepotrzebnie - wyszeptała. - Są częścią ciebie. Jakby potwierdzając te słowa, pocałowała jedną z nich.

Tego było już zbyt wiele.

Delikatnym, ale zdecydowanym ruchem przygniótł ją plecami do materaca, dłonią głaszcząc po policzku, by następnie zanurzyć ją we włosach.

Nie mówili nic, wpatrując się w siebie. Leżąc obok, pochylał się jeszcze bardziej.

Zanim ich usta zetknęły się w pocałunku, Nina poczuła, jak opuszcza ją resztką niepewności. Właściwie w ogóle o niej zapomniała. Wszystko dookoła przestało istnieć. Instynktownie mocniej objęła Wiktora, pozwalając opaść mu na siebie całym ciężarem ciała, i przygarnęła do siebie.

Jego dłoń błędziła po jej ramieniu, odsuwając miękką tkaninę szlafroka. Dotyk, zamiast powstrzymać, spowodował, że jeszcze bardziej rozchyliła usta. Wiktorowi pulsowało w skroniach, czuł oszołomienie, widząc jej reakcje. Ich języki tańczyły w tym samym rytmie. Dłonie mężczyzny poznawały drobne ciało przez barierę materiału. Jej ręce gładziły jego nagą skórę. Nawet nie wiedząc, jak i kiedy, rozwiązał otulający ją kokon. By nie przygnięść dziewczyny zbyt mocno, wsunął udo między jej nogi, ona nieznacznie wygięła się w łuk.

Wiktor głośno wciągnął powietrze przez nos. Spojrzała na niego spod na wpół przymkniętych powiek. Dał się ponieść. Mimo uczucia, że nie pozwoliła nigdy, by między nimi padło zbyt dużo słów. Pomogła mu i na podłodze obok łóżka pojawił się szlafrok. Całował ją teraz poprzez jedwab delikatnej koszulki, podziwiał zarys piersi, drażniący jego wyobraźnię. Jakby czytając w myślach, wyszeptała mu do ucha:

- Zdejmij mi ją.

Oplatając biodra swymi smukłymi nogami, sięgnęła dłonią do paska jego spodni.

Gdzieś w podświadomości czasem zapalała się jej ostrzegawcza lampka, jakby chciała o czymś przypomnieć. Nina jednak po raz pierwszy w życiu zdawała się jej nie dostrzegać.

Uczucia przemieszały się, wzmagając doznania. Nie kontrolowała ich już. Dzięki temu po raz pierwszy miała odwagę posłuchać swoich pragnień. A one zadziwiały ją samą.

Naprawdę można się tak czuć? - przemknęło jej przez myśl.

Gdy przesuwał dłonią po jej ciele, nakrywała ją swoją, jakby razem z nim na nowo poznawała jego zakamarki. Nigdy nie patrzyła na swoje ciało, nawet podczas kąpieli traktując je instrumentalnie, metodycznie dbając o higienę. Nie istniało dla niej w innym wymiarze. Nie potrzebowała tego.

A wręcz brzydziła się myśleć o nim inaczej niż w ten właśnie sposób. Dlatego ze zdziwieniem przeżywała swoje reakcje, poddając się im i pozwalając Wiktorowi na coraz więcej i więcej.

Krew pulsowała w żyłach coraz szybciej, zrobiło się jej jeszcze cieplej. Wszystko było sumą ich oddechów, spojrzeń, dotyku.

Jej wydawało się, że pędzi jak na diabelskim młynie, a w rzeczywistości byli niespiesznymi kochankami, obdarzającymi się ogromną czułością zmieszaną z pierwotnym i niehamowanym pożądaniem. Żadne z nich nie miało szansy zastanawiać się nad tym, czy będą umieli się dopasować. Dlatego teraz, nieobarczeni wcześniejszymi wątpliwościami, nie myśleli o tym, co robią, jedynie to przeżywali.

Nadzy, poznawali się nawzajem, odkrywając siebie na nowo, badając ustami i dłońmi. Ona całowała każdą jego bliznę, chcąc udowodnić mu, że rozumie jego obawy. Jego niepewność dodawała pewności jej. On cieszył się każdym centymetrem delikatnego ciała i każdą reakcją, jaką w niej budził.

Całował kształtne pełne piersi, ssał je delikatnie. Dłońmi obejmował pośladki, przesuwał po udach, badając ich gładkie wnętrza, i drżał, gdy obejmowała nimi jego biodra.

Pragnął jej tak bardzo, ale pragnął też nacieszyć się nią całą.

Ich skóra błyszczała od drobinek potu. Smak, teraz słonawy, wzmógł intensywność doznań.

Nina, wbijając mu palce w plecy, przesuwała dłońmi w dół, ku pośladkom. Gdy je chwyciła, jęknął cicho, a jego usta mocniej zacisnęły się w pocałunku. Leniwym ruchem pieściła go, biorąc w dłoń jego męskość, ale on zabrał jej rękę i całował wnętrze niesfornej dłoni. Patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.

Powoli, zatapiając się w sobie, pocałowali się, wkładając w ten pocałunek wszystkie swoje uczucia. Objęła go mocno, przyjmując w siebie.

Odnaleźli wspólny rytm, nie spiesząc się, jakby czas nie liczył się w ogóle. Świadomość też gdzieś odpłynęła, robiąc miejsce jedynie dla odczuwanych doznań.

Oddychali coraz szybciej.

Delikatność została zastąpiona czystym pożądaniem. Dłonie obojga odnalazły się nawzajem, splatając palce. Było jej lekko i ciężko zarazem. Czowała dziwny rodzaj euforii, po plecach przebiegały jej dreszcze.

Wiktor się zatracił. Pamiętał, że patrzył jej prosto w oczy, zanim orgazm pochłonął go zupełnie. Nina poczuła, jak wypełnia ją przyjemne ciepło, przyprawiając o dodatkowy dreszcz.

Uniosła powieki i napotkała jego nieco zamglony wzrok z nutką niepokoju.



Uśmiechnęła się więc, dotykając jego policzka.

- Przytul mnie mocno... proszę...

Gdy przygarnął ją do siebie, tak by nie mogła widzieć jego twarzy, dziwnie zwilgotniały mu oczy. Nina przez chwilę poczuła znajome zaniepokojenie, ale zmęczenie okazało się silniejsze.

Zasnęli.

#### ROZDZIAŁ 14

Patrzył na nią w blasku poranka. W środku czuł dziwną, nieznaną dotąd radość, zmieszaną ze szczęściem. Podziwiał gładką skórę z rozsianymi z rzadka piegami. Kształtne piersi, unoszące się lekko przy każdym oddechu, zachęcały, by je całować. Położył dłoń na jej udzie, przesunął ku jego wewnętrznej stronie. Ustami pieścił zagłębienie na jej szyi. Nina wybudzała się powoli, a ciało płatało jej figła. Gdzieś na dnie coś przebłyskiwało jej, że nie tak się powinna czuć, ale odepchnęła tę myśl.

- Wiktor... - zaczęła.

Wystraszył się, gdy zobaczył dziwnie zmieniające się spojrzenie dziewczyny.

- Coś nie w porządku?

Dłońmi objęła jego głowę. Zawahała się. Uśmiechnęła.

- Nie, kochanie, wszystko w porządku. - Mówiąc to, czuła, że tak powinno właśnie być.

Uśmiech powoli zaczął rozjaśniać mu twarz. W głowie tłukło się wypowiedziane przez nią gardłowo:

Kochanie, kochanie, kochanie...

Tym razem kochali się, delektując się każdym gestem. W świetle dnia dotyk nabierał innego wymiaru. Był bardziej świadomy.

O ile wczorajszy wieczór był dla obojga zaskoczeniem, o tyle dzień przyniósł możliwość w pełni świadomego obdarowywania się wzajemnym dotykiem.

- Wiesz, jakie to uczucie, widzieć kobietę wyglądającą tak jak ty teraz? - zapytał na widok rozmarzonego wzroku i uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy, gdy patrzyła na niego.

- Nie. A jak wyglądam?

- Wspaniale. A ja się tak czuję - powiedział poważnie, patrząc jej prosto w oczy, aż opuściła powieki.

- No tak, mogłam się domyślić, że natura męska jest strasznie próżna. - Zaśmiała się.

- Litości - zamruczał jej do ucha. - To ja tu romantycznie, o wzniosłych uczuciach... Podobno kobiety tego łakną, jak ryby wody... A ty... - Czułym gestem odgarnął jej włosy z czoła i spojrzał z niepokojem w oczy.

- Bałem się tego poranka - szepnął. - Tak łatwo cię spłoszyć...

Spuściła wzrok, ale przemogła się i ponownie na niego spojrzała.

- Jak widzisz, niepotrzebnie się bałeś. Nigdzie nie uciekłam. Zresztą sam zauważyłeś, że całkiem mi tu dobrze. - Poglaskała go po twarzy.

- Czas na kąpiel - zawołał dziarsko, zgarniając ją z łóżka razem z prześcieradłem i niosąc prosto do łazienki.

Tempo jednak nieco zaczynało ją przerastać. Nie wiedziała, co ma robić z rękami, nogami, z własnym ciałem. Wcześniej nie miała szansy o nim myśleć, teraz na nie patrzyła. On na nie patrzył. Coś zafurkotało jej z tyłu głowy, jak motyl uwięziony we włosach, a ona błagała w myślach, żeby tylko nie była to ćma o wyłupiastych oczach, lecz piękny paż królowej albo chociaż żółty i wesoły cytrynek. Ćma to zły znak. Huk w czaszce zabrzmiał niczym wystrzał armatni, lecz szybko ucichł.

Tymczasem Wiktor napuścił wody do wanny i wlał trochę mydła w płynię. W przeciwieństwie do niej, stał całkowicie nagi, zupełnie nie myśląc o swoim ciele i o tym, jak ono wygląda. Nina przyglądała się mu niewidzącym wzrokiem, z kolei myśląc o swoich

demonach. Z ust wyrwało się jej ciche westchnienie, szukała jakiegokolwiek oparcia. Coraz bardziej traciła grunt pod nogami.

- Wiktor, zrobisz śniadanie?

Kiedy spojrzął na nią, zauważył niepokój w oczach. Uśmiechnął się łagodnie.

- Wejdź do wanny, umyję ci plecy, a później razem zejdziemy coś zjeść.

Złapała go za rękę, nagle potrzebując potwierdzenia ich bliskości.

- Boję się.

Uważnie studiował wyraz jej twarzy. Nie tak to miało wyglądać.

- Ja też - powiedział - ale chcę spróbować. Gdyby jeszcze wiedział, czego ona się boi...

Skinęła głową.

Gdy poczuła, że może się o niego oprzeć, przymknęła oczy. Woda była tak rozkosznie ciepła, zapach piany koił zmysły. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio kąpiel sprawiła, że nie chciała jej przerywać. Może było to dawno, dawno temu...

Z uśmiechem odkręciła kurek, by dolać gorącej wody.

Szykował im śniadanie, a ona stała przed lustrem, przeglądając się w nim, jakby po raz pierwszy widziała swoje oblicze. Studiowała uważnie każdy rys twarzy, odgarniała i zaczesywała na przemian włosy, szukała niewidocznych na pierwszy rzut oka zmian, które jednak przecież w niej zaszły.

Na wspomnienie minionych chwil serce zaczęło uderzać mocniej, na policzki wypłynął rumieniec. Przez moment napawała się tym uczuciem, ale nagle coś się zmieniło. Tętno było takie samo, a jednak już nie tak przyjemnie odczuwalne. W piersi pojawił się znajomy i zniechęcający ucisk.

- Nina! Idziesz?

Wzięła głęboki wdech i wybiegła z łazienki.

- Idę, idę...

Coś się zmieniło. Wiedział to, gdy tylko zobaczył, jak unika jego wzroku. Jeszcze przed kilkoma minutami czuł między nimi więź. Teraz znowu schowała się za murem i trzeba było wszystko zaczynać od nowa.

W sumie spodziewał się czegoś podobnego. Miał jedynie nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale najwyraźniej wcale nie miało być łatwo.

Postanowił się nie poddawać. Odkąd zorientował się, że Nina nie może sobie z czymś poradzić, zapomniał o własnych problemach.

Mało tego, chyba nigdy nie czuł się tak silny jak teraz. Zwłaszcza że wiedział już, jaka potrafi być.

I jak wtedy wygląda, pozbawiona tego wiecznego napięcia na twarzy.

Po śniadaniu, senni po niemal nieprzespanej nocy, zasnęli na kanapie w salonie, przykryci miękkim kocem. Gdy Nina po kilku godzinach wreszcie się obudziła, miała wrażenie otrząsania się z nierzeczywistego snu. Na kanapie była jednak sama.

Zupełnie jakby w odpowiedzi na rodzące się w jej głowie pytania na schodach pojawił się Wiktor.

- Nareszcie się obudziłaś. - Podeszedł, ubrany w dzinsy i czarny podkoszulek. Spod krótkiego rękawka wyraźnie widać było blizny na lewym ramieniu.

Patrzyła na niego i myślała, że musiała być niespełna rozumu, bojąc się go kiedyś. Z zamyslenia wyrwał ją głos Wiktora.

- Są potworne.

- Nie o tym myślałam, poza tym wcale nie są potworne... - Zawahała się. - Chociaż nie, nieprawda. Są potworne. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Masz całkowitą rację. Nawet trudno mi sobie wyobrazić, jak musiało cię boleć. I nie dziwię się, że trudno ci je zaakceptować. Ale chyba po prostu musisz.

- Nie bolało aż tak bardzo, bo byłem w śpiączce - zachnął się. - Pamiętam tylko, jak wbiegłem do domu, szukając ojca, a potem obudziłem się w szpitalu, gdy wszystko się już niemal zagoiło. Nie czułem bólu, Nina. Po prostu obudziłem się pewnego dnia z resztką dawnej twarzy i zniekształconym ciałem. Proponowano mi operacje plastyczne, by odtworzyć choć częściowo dawny wygląd, ale się nie zdecydowałem. Może kiedyś...

- Spojrzała na nią. - Uważasz, że powinienem to zrobić?

- To znaczy? - Nie od razu zrozumiała. - Ach... Nie, nie... - Zmieszała się. - Po prostu nie chciałam już ciągle ci powtarzać, że to nic takiego. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ramienia.

- Wiktor. .. Ja nie jestem najlepszym doradcą, jeśli chodzi o akceptację samego siebie, ale uwierz mi,

poznałam cię takiego i innego nie znam... Może nawet tamten mniej by mi się podobał?

Wsunęła mu dłoń we włosy i dotknęła jego czoła swoim. Miała go tuż przed oczyma.

Czasem odnosiła wrażenie, że jego twarz to maska, która zakrywa prawdziwe oblicze.

Zniekształcone rysy i nieco zapadnięte oko uniemożliwiały odczytywanie emocji, co w połączeniu z widokiem blizn miało prawo odpychać.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, że nie zastanawiała się nad tym, iż całuje zniekształcone usta, dotyka tak różnych od siebie ramion.

Też była chodzącą niedoskonałością i może dlatego zupełnie naturalne wydawało się jej to, że i on nie jest doskonały.

- Co z nami będzie? - wyrwało się jej cicho. Odsunął się nieco, by uważniej przyjrzeć się jej twarzy.

- To chyba zależy jedynie od nas - rozłożył ręce. - Mam rację?

Chyba nie przypuszczał, że nic gorszego nie mógł w tej chwili powiedzieć. Poczula strach.

Wiedziała, że cokolwiek dotąd zależało od niej, okazywało się nieodmiennie porażką. W pracy radziła sobie świetnie, była dokładna, ale zarazem na tyle żywiołowa i otwarta, by mieć wystarczająco pomysłów. Ładne ubrania i makijaż potrafiły skutecznie ukryć przed wszystkimi, jak naprawdę się czuła we własnej skórze. Ale nie umiała brać odpowiedzialności za uczucia, gdyż nie wiedziała, czy to, co czuje, jest właściwe. A teraz ktoś chciał jej wmówić, że coś zależy od niej?

- Skoro tak uważasz - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

Zerwała się z kanapy.

- Pójdziemy na spacer? - dodała, zanim zdążył zareagować.

Skinął głową i wstał.

- Wezmę tylko jakiś sweter.

Już na górze przez chwilę gapił się bezmyślnie w nieokreślony punkt pokoju, raz po raz przeczesując dłonią włosy. Coraz bardziej gubił się w tym wszystkim.

Na litość boską, też potrzebował choć jednego stałego punktu zaczepienia. Jednego solidnego gestu, który po chwili nie zostanie wycofany. Czuł się jak na zawodach w przeciąganiu liny, a wcale nie chciał się z nią siłować.

Gdy była u niego poprzednim razem, wstrząśnięta po wypadku, zrozpaczona śmiercią przyjaciół, sądził, że jej zagubienie bierze się z ostatnich przeżyć. Później zaczął podejrzewać, że nie do końca tak jest. Ale teraz... Chyba jednak się przeceniał. Przerastała go ta sytuacja bardziej, niż mógł przypuszczać. Kiedyś by może nawet pomyślał, że wystarczy jego wiara, tak wielka przecieź. Ale był na to już zbyt mądry.

Wiara stanowiła jedynie początek.

Pytanie, co dalej i czy nie powinien przygotować się na porażkę. Musiał znaleźć jakiś klucz do niej. Przyjaźniła się przecieź z tymi dwoma mężczyznami, byli jej bardzo bliscy. Można więc było sprawić, że komuś ufała.

Uczepiwszy się tej myśli, wziął sweter i z nową energią ruszył na dół.

- Gotowy?

Stała, już ubrana, w korytarzu, przestępując z nogi na nogę.

- Co powiesz na małą przejażdżkę?

- Moooożeee - przeciągnęła sylaby, wyraźnie jednak zadowolona z propozycji.

- Powinnaś wypróbować Lamie. Jest bardzo cierpliwa i chyba... woli kobiety. - Puścił do niej oko.

Zrobiła wielkie oczy.

Wkładał kurtkę, spoglądając na nią rozbawiony.

- Tak. Są lżejsze i delikatniejsze, więc je woli. Śmiała się. Głośno. Czysto.

Klacz była paskudna. Tak brzydkiego konia w życiu nie widziała. Przychodziła wcześniej do stajni, zaglądała na padok, gdzie ćwiczone konie, ale w ogóle nie pamiętała tej klaczy.

Wiktor siodłał wierzchowca, a ona, kręcąc z niedowierzaniem głową, obracała w rękę palcat.

- Nie wierzę, po prostu nie wierzę - mamrotała.

- Jak to możliwe, że bym jej tu nie widziała? Jest tak...

- Brzydka... - podpowiedział. - Właśnie... Pamiętałabym, naprawdę nie da się zapomnieć takiego konia.

- Była na obozie z dziećmi. To najcierpliw-szy koń, jakiego w życiu spotkałem.

Weteranka.

- Poklepał klacz z czułością.

- I łakomczuch - zaśmiała się, gdy Lamia zaczęła szczytać kieszeń kurtki Wiktora. Zawsze miał przy sobie jakieś przysmaki.

- Gotowa?

Podsadził ją, a ona nadal w lekkim szoku, lekko opadła na siodło.

- Obciągnij stopę, przechyl się w siodle. Wszystko w porządku? - pytał, poprawiając popręg.

- Tak. Jest dobrze - powiedziała z lekkim uczu-

ciem niepokoju. Nie czuła się jeszcze zbyt pewnie w siodle.

Z boks obok wyszedł Piotr. Prowadził za uzdę jabłkowitego ogiera.

- Nooo nieee - wyrwało się Ninie niechęć. Już poznała tego konia.

Ryży.

Najbardziej złośliwa bestia w stajniach Wiktora.

Skubał i szczypał wszystkich, potrafił specjalnie nadepnąć kogoś tylko dlatego, że miał zły humor i stracił ochotę na towarzystwo w boksie.

No i był tak samo paskudny w stosunku do innych koni. Przejażdżka w jego towarzystwie zawsze oznaczała konieczność zdwojonej uwagi. Nigdy nie było wiadomo, co strzeli mu do łba.

Na jego widok Lamia zatrzęsała grzywą.

Konie parsknęły na siebie, a Ryży zaczął przebierać kopytami.

- O, widzę, że się państwo za sobą stęsknili. - Piotr cmoknął, głaszcząc Ryżego.

- Stęsknili? - Nina się skrzywiła. Wiktor pokiwał twierdząco głową.

- A tak. Bardzo się lubią.

- Żartujesz chyba?!

- Ale to prawda - obstawał przy swoim Piotr. - Ryży jest przy niej spokojny jak baranek.

Dopiero kiedy jej nie ma, wyłazi z niego diabeł.

- To fakt - potwierdził Wiktor.

- Dobrze, że postanowiliście je zabrać. - Piotr uśmiechnął się do nich swoimi czystymi niebieskimi oczyma.

Patrząc na tę dwójkę, miał wrażenie, że patrzy na dwa najeżone jeżozwierze, które czasami zapominały nastroszyć kolce.

Pasowali do siebie.

Cenił Wiktora, choć na początku trudno mu było przywyknąć, że nie ma już Stanisława. To on był dla niego wzorem. To dzięki niemu zamiast rozbijać się po knajpach z kolegami,

uwierzył, że ma talent do koni. Kradł, pił i zaliczał po kolei wszystkie panienki w okolicy, a po kryjomu podkradał się pod stajnie i obserwował hodowlę.

Kiedyś, nieco rozochocony i skuszony tym, że nikogo nie ma w okolicy, wszedł na padok i dosiadł karego ogiera.

Boże. Tak bardzo w życiu się nie bał.

Kary dał mu nauczkę, którą pamiętał do dziś. Nie można zniewolić zwierzęcia, które jest z natury dumne i przewodzi stadu. Wtedy tego nie wiedział.

Uratował go Staś. A potem sprzął na kwaśne jabłko.

Takiego manta nie da się zapomnieć. Jeszcze dziś, na samo wspomnienie, miał ochotę sprawdzić, czy nie zostały mu ślady od palcata na plecach.

Ale stary dał mu szansę.

W zamian za to, że nie wezwał policji, Piotr miał pomagać w stajniach. Musiał się zgodzić na ten układ, bo miał już zawiasy. Nie chciał siedzieć.

Stanisław go przejrzał. Wtedy zresztą nie przyznał się mu, że kary ogier dotąd nikomu obcemu w ogóle nie pozwolił się zbliżyć. Miał nosa. W ciągu roku Piotr podporządkował koniom całe swoje życie i zapomniał o wcześniejszym. Po upływie kilku następnych lat okazał się najlepszym trenerem koni, jakiego znała okolica. Nawet Wiktor, który wyszał miłość do tych zwierząt z mlekiem matki, nie dorównywał mu umiejętnościami.

Piotr jednak szanował chłopaka tak samo niemal jak jego ojca. Chłopaka, który już dawno był dojrzałym mężczyzną, potrzebującym kogoś bliskiego.

Ta dziewczyna... Było w niej coś, co wyzwalało w nim odruchy delikatności, zupełnie jak w chwilach, gdy miał do czynienia z płochliwymi zwierzętami, doświadczonymi przez życie.

Wiedział też, że Wiktor nie ma łatwego zadania, skoro sam nie uporał się jeszcze ze swoimi problemami.

Cóż, pomyślał Piotr, czas chyba dorosnąć.

Spojrzał na rosłego faceta, który właśnie dosiadał Ryżego.

Działają na siebie jak te uparte chabety, pomyślał jeszcze, gdy jeźdźcy oddalali się powoli.

Parsknął śmiechem i roztarł butem siano.

## ROZDZIAŁ 15

Nina dziękowała Bogu, że zdecydowali się na przejażdżkę. Przez dłuższą chwilę pochłonięci byli widokami i wymieniali poglądy na temat otaczających ich gór. Wjechali na łąkę, z której widać było zbocze Ciemniaka. Patrzyła na szczyt w milczeniu, ale w sercu czuła jedynie miłość do dwóch wspaniałych chłopaków, których właśnie tam widziała ostatni raz. Zawrócili konie.

Już mijało nieszczęsne uczucie paniki. I wtedy Wiktor to zepsuł.

Zrównał Ryżego z Lamią i złapał za uzdę klaczy.

- Co robisz? - zdziwiła się Nina.

- Udaremnięm ci ucieczkę - powiedział zupełnie poważnie.

- Nie rozumiem...

- Ależ rozumiesz, rozumiesz...

- Nie - przerwała mu. - Nie rozumiem... I chyba nie chcę rozumieć.

- Porozmawiamy w końcu szczerze czy ciągle będę miał wrażenie, że chowasz się za tą swoją gardą emocjonalną?

Westchnęła.

- Daj spokój. Jest tak miło.

- Jest - potwierdził. - Ale też jest nieznośnie ciężko.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- A tak, tak - pokiwał głową. - Tobie jest ciężko. A ja wychodzę ze skóry, bo nawet nie masz zamiaru powiedzieć mi, o co w tym wszystkim chodzi i od czego... albo od kogo uciekłaś i czego szukasz u mnie.

Nina zdenerwowała się nie na żarty:

- Jak możesz?! Od kogo uciekam? Czy naprawdę myślisz, że... Boże... Chyba naprawdę zgłupiałam do reszty... - Miotła się, wiedząc, że jej zachowanie nie ma najmniejszego sensu. Przeciągnęła nerwowo dłonią po grzywie klaczy, która w odpowiedzi zarzuciła łbem.

- Nina, nie wściekaj się. To nie jest sposób. Nie jestem twoim wrogiem, na litość boską. Zrozum to w końcu. Ale daj mi szansę... Jestem tylko człowiekiem.

„Daj mi szansę” - tłuło się jej w głowie. Już słyszała te słowa. Też wypowiadał je mężczyzna.

W innym czasie i miejscu. W innych okolicznościach.

Ale i teraz budziły w niej głęboko tkwiący sprzeciw.

Rozpłakała się, nie panując już nad swoimi emocjami.

Wiktor zatrzymał konie i zsiadł z Ryżego. Wyjął lejce z jej dłoni i chwyciwszy w pasie, zsadził z siodła.

- Nina, Nina, dziewczyno, o co w tym wszystkim chodzi?

Potrząsnęła tylko przecząco głową, płacząc.

- Nie potrafię - usłyszał cicho powtarzane kilka razy słowa, dziwnie przypominające zaklęcie. Pozwolił jej na chwilę słabości, zły na siebie, że doprowadził ją do łez. Nie tak planował postąpić. Wystraszył się teraz, że tym zachowaniem zrazi dziewczynę do siebie, a tego naprawdę nie chciał.

Nina bała się, jak nigdy dotąd. Zachowywała się jak nieznównowazona, chora psychicznie, wariatka. Nie panowała nad sobą po raz pierwszy od dzieciństwa. I to przy kimś, do kogo tak wiele czuła, choć sama nie chciała się do tego przyznać.

-Wracajmy... Proszę... - wykrztusiła w końcu urywanym głosem.

- Przepraszam. - Pocałował ją w czubek głowy, przykryty toczkiem.

- Nie musisz. To nie jest twoja wina.

- A czyja? - Nie wytrzymał, bo trudno mu było nie być przy niej szczerym.

Znowu opuściła głowę.

- Nina... - szepnął.

Podniosła swoje lśniące od łez oczy. Był zgubiony.

Ujął w dłoń jej podbródek. Zarzuciła mu rękę na kark. Pochylił się i pocałował ją delikatnie. To nie jest sposób, pomyślał, ale sam tak bardzo potrzebował jej bliskości, że zepchnął tę myśl gdzieś głęboko na dno.

- Wracajmy do domu - wyszeptała znowu, lekko odsuwając się od niego i gładząc go po twarzy.

Pomógł jej wsiąść na Lamie, czując się dziwnie winny. Nie wiedział tylko, za co i dlaczego. W drodze powrotnej milczenie kłuło mu uszy. Nina też najwyraźniej czuła, że nie jest tak jak powinno.

-Wiktor... Obiecuję, że jak tylko będę mogła, sama powiem, co mi leży na wątrobie. Teraz... chyba jeszcze bym nie wiedziała, jak wiele rzeczy nazwać. Ale obiecuję ci... dobrze?

Uniósł głowę i uważnym spojrzeniem obrzucił otaczające ich góry. Zaczepnął świeżego powietrza, jakby ono miało mu dodać sił.

- Skoro obiecujesz...

- Dziękuję - powiedziała tylko. Przemógł się i uśmiechnął do niej.

- Dobrze, dobrze... Pożyjemy, zobaczymy. Ruszyli na południe. Po lewej wieczorne opary miękko opadały na zielone hale, a po prawej pomarańczowe promienie słońca lizały szczyty gór. W końcu, skręcając tuż obok kamiennej szarej ściany, zagłębili się w las dzielący ich od domu.

Na niebie pojawiało się coraz więcej drobnych chmur, które wkrótce zaczęły zbijać się w jedną masę, pociemniały, aż w końcu lunął deszcz. Niestety, ostre niczym dzidy, strzeliste świerki stanowiły kiepską ochronę przed lejącą się z nieba wodą. Szybko zmokli. Z ich ust i

chrap końskich wydobywały się obłoczki pary, sierść zwierząt ostro pachniała, biorąc górę nad wonią spragnionego wilgoci lasu.

Żli i jednocześnie zadowoleni z niespodzianki, jaką poczęstowała ich matka natura, popędzali niepotrzebnie wierzchowce, które same chętnie spieszyły w dobrze znanym sobie kierunku. Wyjechali z lasu i obrali kurs na wysokie drzewa w dolinie. Lało jak z cebra. Gdzieś obok szumiał potok, ale nie czas to był na podziwianie srebrzystej strzały przecinającej zieleni. Skierowali się w prawo, znajomym szlakiem prowadzącym do końca doliny, a tymczasem deszcz zmienił się w ścianę wody, która chlupotała pod kopytami koni.

I kiedy już niemal nic nie widzieli, nagle zrobiło się jasno, a z nieba leciały jedynie drobne kropelki. Ciała dopiero zbite siekającym deszczem zdziwiły się ich delikatnością i letnią temperaturą. Nina, zaskoczona tymi nagłymi kaprysmi pogody, zaśmiała się cicho i podniosła dłoń, łapiąc w nią maleńkie cuda.

- Patrz - usłyszała. Wiktor pokazywał coś ręką.

- Tęcza - szepnęła.

Niebo nad głowami, przed chwilą granatowe, stopniowo przybierało barwy od lazurowego przez pomarańczowy do różowego, jak wymoszczone perłową macicą wnętrze muszli. Na tym tle wielobarwny łuk prezentował się jak symbol zwycięstwa nad skończoną, nagle cichą burzą.

Słońce, zapadające się coraz niżej i niżej, rozpalalo trawy i kwiaty, wabiąc złudnym blaskiem chmary much, unoszących się teraz z wysiłkiem w ciężkim od wilgoci powietrzu. I wtedy ją zobaczyli. Wystarczyło ledwo wyjechać zza zakrętu i ich oczom na zboczu ukazała się w całej okazałości.

Kozica z małym.

Młode w popłochu rzuciło się w stronę matki, ale ona jedynie leniwie odwróciła w ich kierunku głowę, ukazując jaśniejsze na szyi futro, i odprowadziła ich wzrokiem doświadczonej mentorki.

Zafascynowani, nie śmieli się nawet odezwać. Powstrzymując konie od gwałtowniejszych ruchów, powoli przejechali swoją drogą, odwracając się jeszcze, najdelikatniej, jak potrafili. Kozica z małym jednak jakby rozplynęła się w powietrzu.

Nie chcąc psuć magii spotkania, długo jechali w ciszy, oddając choć w ten sposób hołd dumnym

zwierzętom, które nieczęsto pozwalają się podziwiać z tak bliskiej odległości.

Dziwnie lekko czując się na duszy, oczyszczeni przez deszcz, wpadli na szlak prowadzący do widocznych już w oddali zabudowań.

Mokrzy, dopiero gdy zsiadli z koni, poczuli, jak bardzo im zimno. Szczękając zębami, trzęsącymi się palcami próbowali rozsiodłać konie, niecierpliwie przebierające pięcinami i dopominające się cieplej i suchej derki. Do stajni wpadł w niebieskiej przeciwdeszczowej pelerynie Piotr w towarzystwie marchewkoworudego młodego chłopaka.

- Idźcie do domu! - krzyknął. - Zajmiemy się z Krzyśkiem tymi chabetami, a wy marsz pod kołdrę! Bo mi tu jeszcze zapalenia płuc to chuchro dostanie! - Skinął w stronę Niny.

W innej sytuacji obruszyłaby się i na insynuację

o kołdrze, i na chuchro. Ale teraz było jej wszystko jedno. Byle tylko się ogrzać.

Wiktor objął ją, popychając w kierunku domu

I jednocześnie rozcierając dłońmi ramiona.

W sieni jednocześnie zrzucali buty i zdejmowali przemoczone doszczętnie wierzchnie okrycia. Patrzyli na siebie rozbawionym wzrokiem, wyglądali naprawdę komicznie.

Nerwowymi ruchami pozbywali się mokrego odzienia, zostawiając je na podłodze, aż w końcu, niczym maratończycy na finiszu, rzucili się w kierunku sofy, na której leżał ciepły, miękki koc. Śmiejąc się i prychnając na przemian, płatali się pod zbawienną materią, kłócąc

się, kto ma zimniejsze ręce, kto nogi. W końcu oswoiwszy się z temperaturą swoich ciał, przytuleni, zaczęli powoli się ogrzewać. Nina była zmęczona i psychicznie, i fizycznie. Potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się oprzeć, ale jednocześnie wiedziała, że ostatni dzień nie był dla nich obojga łatwy. Prawdę powiedziawszy, nie miała pojęcia, jak powinna się teraz zachować. Przy tym wszystkim niemożliwie śpiąca, nie była w stanie zapanować nad opadającymi powiekami.

- Chodź. - Wiktor za to dokładnie wiedział, co powinni zrobić. Podał jej rękę i pomógł wstać.  
- Pora spać.

Poszedł przodem, trzymając jej dłoń za swoimi plecami, ku schodom do jego sypialni. Położyła się do łóżka, otulając kołdrą, gdy zobaczyła, że on wychodzi.

- Dokąd idziesz? - zdziwiła się. Uśmiechnął się zawadiacko.

- Wziąć zimny prysznic. Spróbuj zasnąć, zaraz wrócę.

Kiedy stanął pod chłodnym strumieniem, przed oczyma cały czas miał jej obraz. Tempo wydarzeń spowodowało, że dopiero teraz zaczęły napływać kumulujące się dotąd na dnię świadomości myśli. Pod powiekami wciąż tańczyły mu urywki wspomnień sprzed kilkunastu zaledwie godzin. Jej twarz, ramiona, oczy, skrawki mieniącej się w świetle skóry i zarys podbródka w półmroku. Był szczęśliwy jak nigdy, i zarazem tak samo przerażony. Dostawszy w prezencie od losu kawałek nieba, teraz bał się, że będzie musiał się nauczyć żyć bez niego. Cholera, teraz będzie bolało jeszcze bardziej, przemknęło mu przez głowę.

Oparł dłonie o ścianę i pozwolił, by woda spływała po ciele, które nie chciało się odprężyć przez uparte uczucie niepokoju. Drgnął, gdy niespodziewanie poczuł dotyk drobnych dłoni na plecach. Nie słyszał, by wchodziła do łazienki.

- Wiktor, czym się tak martwisz? Odwróciła go do siebie i wtuliła w niego, parszkając i psując cały efekt zatroskania.

- Możesz, na litość boską, puścić cieplejszą wodę?

- Przecież miałem wziąć zimny prysznic. - Zaśmiał się, wdzięczny, że nie musi podejmować tematu.

Nina wspięła się na palce, by spojrzeć mu w oczy, ale szybko zmieniła zamiar, kiedy woda zmusiła ją do gwałtownego przymknięcia powiek.

- Utopię się. - Zachłyśnięcie doprowadziło ją do kaszlu. - Proszę cię... puść cieplejszą... wodę  
- wykrztusiła.

W końcu wyszedł spod natrysku i sięgnął po puchaty ręcznik, gestem zachęcając, by do niego podeszła. Owinął ją całą, bo nadal szczękała zębami.

- Jeszcze by mi tego brakowało, żebyś faktycznie zachorowała. Już wiem, jakim wtedy jesteś utrapieniem.

Porwał ją na ręce, jak czynił to już kilka razy w ciągu tego krótkiego czasu, i przemknęło mu przez myśl, że ma to wymiar symboliczny. Bo naprawdę chciał nosić ją na rękach.

Opadli na łóżko i wtedy spoważniał. Wziął w dłonie jej twarz i spojrzał z uwagą, studiując każdy jej rys.

- Trudno mi wyrażać myśli, ale postanowiłem zaryzykować. - Zamilkł na chwilę, gdy pociemniały jej oczy i stężało spojrzenie. - Musisz wiedzieć - ciągnął mimo to - że wiele dla mnie znaczysz...

-Wiktor...

- Nie, Nina, daj mi skończyć. Widzę, jak się przełamujesz... Ale musisz wiedzieć przynajmniej jedno: możesz mi zaufać. I wiesz co? Jest mi to chyba nawet bardziej potrzebne niż tobie. Jeśli więc nie chcesz tego zrobić dla siebie, zrób to... dla mnie.

Gdy spojrzała na niego z widoczną wdzięcznością w oczach, wiedział już, jak ogromny błąd popełniłby, nie mówiąc tych słów. Z drugiej strony dziwił się jej obawom, gdyż wydawało mu się, że to on ma więcej do stracenia.

ROZDZIAŁ 16



Sen przyszedł po swojemu. Kiedy chciał. Znowu czuła się tak, jakby nagle cały świat oszalał i siłą wdzierał się w jej oczy otwarte na rzeczywistość koszmaru.

Cień przybranego ojca jako postać w prochowcu, z kapeluszem nasuniętym na czoło, z głosem wyuzdanego lubieżnika. Dyrektor z domu dziecka - dość komiczna figura, o piskliwym głosiku, przed którym bronila się na oślep, tyle że nie miała żadnych szans. Lekarz sądowy - groteskowa, rechocząca diabolicznie postać w pielęgniarskim czepku, przybierającym kształt diabelskich rogów. Twarze w grymasach złości rozlały się w oblicza dziewczyn, chichoczących i rzucających plugawe słowa.

Znowu chowała się pod łóżkiem, przyciskając szarą poduszkę, śmierzącą ich potem, do piersi, jakby ta szmata wypchana watoliną mogła ją przed czymkolwiek ochronić.

Z sennej mary wydobywały się nielogiczne, piętrowe obrazy, dla wielu nieznanne i takie, których się poznać wcale nie chce. Uciekała z tych budowanych na kształt betonowych bloków wspomnień i w geście rozpaczy rzuciła się z ich wysokości, modląc się, sama nie wiedząc do kogo, o umiejętność latania. Rozłożyła ramiona jak skrzydła, czuła nawet przez ułamek sekundy pęd powietrza na policzkach, a potem runęła w dół, ciągnięta przez strach, zastępujący we śnie siłę ciężenia.

Haust powietrza, zaczerpnięty, gdy usiadła na łóżku w chwili upadku ze snu, pozwolił jej dojść do siebie i wyregulować oddech. Potrzebowała natychmiast zaprzeczenia wizji i oskarżeń samej siebie, które wróciły jak lawina, ciągnąc za sobą tony innych, równie bolesnych i niechcianych.

Ledwo świtało.

Wiktor leżał na boku, przygniatając ją udem.

Typowy samiec; uśmiechnęła się pod nosem, wdzięczna za komizm sytuacji i pretekst do odepchnięcia strachu. Nawet przez sen musi pokazać, że chce, bym należała do niego. Lekko przekręciła się, by lepiej go widzieć. Tyle razy lustrowała rysy jego twarzy, a za każdym razem widziała go inaczej. Oblicze pozbawione wszystkich blizn z pewnością należało do charakterystycznych. O, nie. Nigdy nie był typem przystojniaka. Mocno zarysowane kości policzkowe i podbródek, ostre rysy i silnie rozbudowane czoło to nie są cechy składające się na gładką, przyjemną twarz. Oczy, podobnie, jak u Niny, lekko skośne i dość wąskie, nadawały spojrzeniu hardość i surowość. Wyglądały niczym szparki, gdy trzeba, przesywające na wskroś.

Lewą część twarzy ze zdeformowanym uchem i zapadniętym okiem, nad którym brew nagle kończyła się w połowie, często zasłaniały długie ciemne włosy. Blizny brutalnie dzieliły oblicze Wiktora na dwie części i ciągnęły się w dół, aż do ramienia. Szerokie bary, jednocześnie mogące fascynować

i przerażać, sprawiały, że wydawał się tak ogromny. Ale ją na ten widok ogarniała czułość.

Poruszył się i wtedy dopiero zauważyła, że najwyraźniej od dłuższego czasu i on nie śpi.

- Nie uciekłaś jeszcze? - zażartował. Udała, że się zastanawia.

- Myślałam o tym, ale to trudne, kiedy przygniataasz mnie udem.

Chciała go - teraz, natychmiast, mocno i szybko. Powiedziała mu to, na co jego źrenice rozszerzyły się w zdumieniu, ale na ustach pojawił się uśmiech, na pół zwycięski, na pół szczęśliwy. Nie wiedział, że kurczowo chwyciła się jego dotyku, by przykryć wspomnienie koszmaru. Musiała poczuć coś równie mocnego i wstrząsającego, co zepchnie sen w niepamięć. Paradoksalnie seks okazał się najlepszą drogą do zapomnienia.

Mając twarz dziewczyny przed sobą, pomógł jej opleść nogami swoje biodra i wszedł w nią jednym ruchem. Kochali się ostro i gwałtownie. Na początku starał się jeszcze hamować, ale w końcu poddał się fali, czując, jak wzdłuż kręgosłupa przechodzą mu falami dreszcze. Ona w spazmie desperacji zmieszanej z kłębiącym się błaganiem, by ktoś w końcu zabrał brutalne wspomnienia, przykrywając je innymi, pozwoliła sobie odpłynąć.

Potem, leżąc obok siebie, próbowali wyrównać oddechy i uspokoić rozszalałe serca. Wiktor nieco jeszcze drżącymi z emocji ramionami objął ją delikatnie, chcąc zrekompensować poprzednie gwałtowne uniesienia. Ninie tłuło się coś o bezwstydzie, co na nowo rozbudziło w niej uczucie paniki. Potrzebowała długiej chwili, by odzyskać choć strzęp wewnętrznej równowagi. Czowała, jak leżący teraz za jej plecami mężczyzna stara się przytulić ją jak najczulej, pokrywając lekkimi pocałunkami jej ramiona, kark i włosy. Pozwoliła wreszcie mięśniom nieco się rozluźnić i tym razem sen już nie przyszedł, choć Nina spała.

Gdy upewnił się, że jej oddech jest wyrównany, okrył ją kołdrą. W głowie miał dziwną pustkę, a jednocześnie czuł się tak niesamowicie, jak nigdy dotąd. Zasnął z mieszanymi uczuciami.

Obudziła się i lekko przeciągnęła. Ciało miała rozluźnione, bez pamięci o troskach. Tak długo przebywali jedynie ze sobą, w małym, zamkniętym świecie, że rytm zaczęły wyznaczać im jedynie pory dnia. Wiktor leżał obok, twarzą do niej, opierając głowę na zgiętym łokciu. Przez lekko uchylone okno wpadał poranny wiatr, w którego rytm tańczyła grubo haftowana firanka, kładąc cienie na pościeli i ich ciałach. Przetarła dłońmi twarz, jakby chciała ją umyć, a wtedy, jak na seansie w zaciemnionej sali kinowej, zaczęła się projekcja z wczorajszego dnia. Powoli, by nie obudzić Wiktora, wstała, opuszczając stopy na zimną podłogę. Przechodząc na palcach przez pokój, ostrożnie nasłuchiwała, czy nie zaskrzypi zdradliwie któraś z desek. Słońce stało już wysoko, co podziałało na nią mobilizująco. Otworzyła okno, by przewietrzyć pokój. Z podwórza doleciały odgłosy rąbania drewna. Przez chwilę delektowała się feerią barw i wrażeń.

Niesamowicie wyglądała gra światła i cienia na odległych halach, które ciemniały pokryte chmurami, by za chwilę błyszczeć w promieniach słońca. Góry, mieniąc się wszystkimi odcieniami zieleni, brązów, żółci, a nade wszystko czerwieni, prezentowały się jeszcze dumniej niż zwykle. Nina czasem myślała, że sprawiają wrażenie czegoś przedwiecznego i wyglądają tak, jakby miały trwać do końca czasu. Nabrała powietrza, wciągając zapachy kwiatów. Z zadowoleniem, niczym mała fryga, cicho przemknęła do łazienki na gorącą kąpiel.

Mary zniknęły.

Przynajmniej na razie.

Schody stanowiły nie lada wyzwanie, lecz w końcu dotarła do swojego pokoju. Czerwona bluzka i długa zielona spódnica z falbanami. Gdy je wkładała, wszystko było jeszcze w porządku. Kubek kawy w dłoni, symbol normalności, pozwolił, by uwierzyła: to może się udać. Zachęcona wyszła na próg domu, świeże powietrze uderzyło ją w płuca. Postawiła kubek na progu i ruszyła przed siebie.

Szaromleczna mgła spowijała wszystko. Szła w otępieniu, narastającym od dłuższego czasu, i wiedziała już, że nie będzie się umiała przed nim bronić. Każdy krok otwierał kolejne drzwi, robiło się jaśniej, a promienie powoli zaczynały przebijać się przez ciężką masę białej zasłony. Widziała już nie tylko zarysy, ale całą piękną dolinę. Ramiona słońca pieściły delikatnie skórę, układając się falami na włosach, zdeptywana trawa unosiła się, kpiąc z jej pozornego ciężaru, oplatała stopy. Szła, a każdy uśmiech słońca wymywał z niej ostatki wiary, że złość, strach, bezsilność i brak zrozumienia kiedyś odejdą. Myśli wciąż kotłowały się w głowie, ale inaczej - z jakimś spokojem, jakby wiedziały, że na każdą z nich nadejdzie czas. To było najgorsze, brzmiało bowiem jak wyrok sądu: zapomnij, że będzie inaczej. Coś wciąż monotonicznie powtarzało, iż nie może się odwracać, bo widok zza pleców uderzy w splot słoneczny i pozbawi ją oddechu, że ból będzie za bardzo. Chwyła się tej myśli i nie odwracała głowy, starając się opuszczać wzrok, by nawet kątem oka nie zdradzić własnych obaw. Wdech, wydech, wdech, wydech, coraz jaśniej było pod powiekami od słońca tuż nad nią.

Zerwała się, trzepocząc spódnicą jak latawcem z rąk dziecka niewprawnym puszczone, i pognąła najszybciej jak mogła na drogę ucieczki. Nogi same prowadziły... Ciągnęły za sobą obce jej znowu ciało. Wpadła do domu, widząc, lecz nie-widzącym wzrokiem, z obłędem w oczach, że ktoś by mógł odkryć, co robi, powstrzymać ją jeszcze, nie daj Boże.

Kredens, kartka, długopis, jedno słowo... Kluczyki, pokój, torba, rzeczy, wrzucane na opak, fruując, wpadały do środka... Liczyła kroki: jeden, dwa, dziesięć, piętnaście, stacyjka, wsteczny, jedyńka, dwójka, w dół, byle szybko, gonił ją przecież sam diabeł wcielony, wdech, wydech, wdech, wydech, już dobrze, spokojnie... spokojnie...

Minęła tablicę informującą, że zostało jej do pokonania raptem czterdzieści kilometrów.

Dodała gazu, wymijając potężnego starego jeepa grand cherokee, w którego szybach odbijały się ostatnie promienie słoneczne. Dochodziło wpół do siódmej. Dzień był gorący i rozlazły, co potęgowało uczucie dyskomfortu. Na niebie wisiało kilka miękkich chmur, rozciągniętych niczym niedbałe pociągnięcie pędzlem po płótnie. Choć zbliżał się już wieczór, nadal panował taki upał, że mimo opuszczonych szyb w aucie nie było czym oddychać.

Buczący nawiew niewiele pomagał, wydzielając niemal tak samo gorące powietrze jak to, które wpadało do samochodu przez okna. Na czole Niny błyszczały kropelki potu, ale ona ich nie zauważała, pozwalając, by spływały leniwie na policzki i oczy.

Nagle desperackim ruchem, nie patrząc w lusterka, skręciła ostro kierownicę. Przejechała przez dwa pasy, wymuszając na kierowcach użycie klaksonów, i wzbijając chmurę kurzu na poboczu, zatrzymała się na nim gwałtownie. Nabrała do płuc powietrza, po czym pochyliła się i oparła o tablicę rozdzielczą. Zaczęła nerwowo bębnić palcami w kierownicę i potrząsała nogami w drgawkach: góra, dół, góra, dół, góra, dół. Bardziej wypadła, niż wysiadła z samochodu; nawet nie zauważyła, że prawie znalazła się pod kołami nadjeżdżającego dostawczaka. Trzymając się wozu, zgięta wpół dotarła do rowu i tam zwymiotowała. Tkwiła tak, z dłońmi opartymi na kolanach, łykając łapczywie powietrze i przymykając oczy, a w uszach tętnił łoskot mijających ją z ogromną prędkością aut. Uniosła się w końcu i wyprostowała z wysiłkiem, przytykając nadgarstek do czoła. Ze zdziwieniem odnotowała, że strasznie drżą jej palce. Zwinęła więc dłonie w pięści, by tego nie widzieć, i powoli, tym razem z uwagą rozglądając się dookoła, wsiadła do samochodu. Wdzierające się doń przez zostawione otwarte drzwi powietrze zdążyło już rozgrzać go tak, że przypominał teraz kocioł, w którym można się było niemal ugotować. Sięgnęła na sąsiednie siedzenie i spod swetra wyciągnęła ukrytą przed promieniami słońca butelkę z wodą mineralną. Wypiła kilka łyków, a potem bez chwili zastanowienia wylała resztę na twarz.

Woda spływała jej na szyję, kark i dekolt, a ona rozcierała ją, masując spięte mięśnie.

Siedziała tak przez kilka chwil, aż woda wyparowała z jej ciała i zostały po niej tylko mokre ślady na ubraniu. Przekręciła kluczyk w stacyjce i ponownie włączyła się do ruchu. Jechała teraz bardzo przyzwoicie, siedemdziesiąt na godzinę.

Postanowiła skupić się na mijanych obrazach. Właśnie dotarła do wiejskich chałup. Minęła ciągnik z przyczepą załadowaną sianem. Dostrzegła trzech mężczyzn podążających poboczem, najwyraźniej wracających z pracy w polu. Każdy z nich miał na sobie stare spodnie i wytartą, flanelową koszulę z podwiniętymi niemal do ramion rękawami. Dwaj byli wysocy i chudzi, żyłaści, trzeci, niski i krępy, nieco przypominał małego gнома. Wszyscy mieli spieczoną mocnym słońcem karkę, dopominające się wody i mydła. Z niejaką ulgą minęła smętną wiochę o koślawych dachach na starych chałupach koloru przydymionej bieli i beżu.

Wjechała w las wysmukłych sosen. Kilka kilometrów dalej stał zajazd z czasów Gierka, obstawiony teraz kordonem samochodów i autokarów z wycieczkami. Między drzewami migały sylwetki spacerowiczów; młodych opalonych kobiet z wózkami i nieogolonych, raczej tęgich mężczyzn, którzy gapili się na ich odkryte nogi. Zwolniła do pięćdziesięciu kilometrów

na godzinę, zastanawiając się, czy nie skorzystać z tutejszej łaźienki, ale zmieniła w końcu zdanie i znowu wcisnęła pedał gazu.

Dotarła w końcu do niewielkiego miasta tuż przed Warszawą. Przez prawie kwadrans wlewała się traktem z kocich łbów, podskakując na nich w samochodzie jak szmaciana lalka. Po obu stronach

drogi rosły przeredzone chude sosny, które wyglądały jak pozostałości po wyciętym dawno temu lesie, i kilka zeschniętych kikutów, chyba po dębach. Dojeżdżając do centrum, minęła kościół mieszczący się po lewej stronie ulicy, a potem park po prawej. Była niedaleko dworca PKS. Zewsząd ścigała ją przeszłość. Jak to się stało, że tu przyjechała? Gnana niepojętym odruchem chciała pognać samą siebie i wpędzić prosto w ramiona obłędu?

Budził się, mając na twarzy promienie słoneczne. Nie znalazłszy przed sobą oczekiwanego widoku jej ciała, przez chwilę nasłuchiwał. W domu panowała absolutna cisza. Westchnął cicho, przykładając dłoń do czoła.

Oby myliły się moje przeczucia, pomyślał, niemal pewien, że się nie mylą.

Nie spiesząc się, wstał, włożył spodnie, koszulę i bosy zszedł po schodach. Na stole w kuchni leżała niedbale wydarta kartka papieru. A na niej tylko jedno słowo:

„Wybacz”.

- O nie - szepnął - tym razem nie mam zamiaru czekać.

Coś drapieżnego błyszczało mu w oczach o rozpalonym błękicie. Czoło ściągnęło się w zmarszczkach srogiej zaciętości, zacisnęły się usta, pobieleły kłykcie.

Zmięty papierowy pocisk wylądował w koszu, ciśnięty pewną ręką.

## ROZDZIAŁ 17

Siły Niny topniały. Nogi jej się plątały, gdy najbardziej ich potrzebowała. Przed oczami latała jakby rój skrzydeł czarnych nietoperzy, a dusza pełna była mroku i strachu. Bała się teraz śmierci, która wydawała się w jej oczach coraz straszliwsza. Przez kilka dni nawet próbowała wyrzesać z siebie jakąś iskrę pozwalającą funkcjonować normalnie, ale energii nie starczyło jej na długo. Przestała chodzić do pracy. Telefon wyłączyła, nie odpowiadała na brzęczący często domofon. Ignorowała pukanie do drzwi i dobiegające zza nich pytania.

Snula się po mieszkaniu, w którym panował zatrwazający porządek, a ona mimo to wciąż chodziła od mebla do mebla, czyszcząc wszystko i polerując, a później szorowała pumeksem dłonie, aż były czerwone niczym gotowane raki. Kilka razy otwierała w łazience szafkę z lekami, które lekarz przepisał po śmierci chłopców, i kilka razy starczało jej woli, by zamknąć ją, nie sięgnąwszy po fiołki. W końcu złamała się, bo nie mogła już znieść bezsenności z marami na jawie.

Zegar na wieży kościelnej wybił późną nocną godzinę. Wyrwał ją z głębokiego, wywalzonego z pomocą tabletek snu. Powoli dociera do niej miejsce i czas. Jej ciało leży nieruchomo.

Bołą ją plecy, ale jest tak sztywna, że nie może się obrócić. Księżyc, nie pozwalając ponownie zapaść w sen, zagląda do pokoju. Zaczęła kwilić, sama zdziwiona wydawanym dźwiękiem. Zmęczona i obolała, użalała się w pustkę nad niemożnością ucieczki w marzenia sennie. Ogarnęło ją zwątpienie. I strach. Światło księżycy ślizgało się słabym promykiem na kołdrze i białych w ciemności ścianach. Kurz tańczył w promieniach jak drobniutki śnieg.

Tabletki uczyniły z członków stukilowe ciężary i odebrały jej rozum, zostawiając w zamian odczucia zgrozy i przerażenia. Gdyby tylko mogła spać bez nich... Albo żeby mogła chociaż pozbyć się tego ucisku w klatce piersiowej. Zupełnie jakby wszystkie strachy usiadły na niej i gniotły, maltretując płuca niezdolne do głębszego wdechu. Jej udręki wisiały nad łóżkiem, wypisane pięknym, wyraźnym pismem: niewola umysłu, bezsenność, strach, samotność, gorączka, ból, przymus, bezsens... Niepozorne świetlne baśnie przędą drzące wici, jak kokon wokół jej ciała, jej istoty. Gdyby tylko mogła spać. Ból głowy pulsuje w skroniach. Strach przebija sobie drogę ostrym mieczem i rujnuje jej duszę, plądruje doszczętnie. Drżenie znowu ogarnia ciało. Jej włosy są tłuste, jej ciało wilgotne od potu, koszula nocna od wieczornych

wymiocin jeszcze zabrudzona, ślina wycieka z ust. Nie przyjmowała już żadnego jedzenia, choć coś jeszcze czasem podpowiadało jej, że powinna próbować karmić to ciało nieposłuszne.

Nie ma słów na tę udrękę.

Zerwała się nagle w odruchu kielkującej desperacji. Podbiegła do wieszaka w przedpokoju i chwyciła

ciła polar, zarzuciła go na ramiona i drżącymi dłońmi zapięła suwak. Schody: jeden, dwa, trzy... pięć... siedem. Jeszcze raz: jeden, dwa, trzy... zeskok. Upadła prawie, lecz gnana niezwykłym napływem adrenaliny, poderwała się znowu i pobiegła dalej, nie zauważając nawet, kiedy pokonała wszystkie piętra. Przebiegła przez pustą ulicę, na oślep przecinając dwa pasy, i wpadła do parku.

Deszcz zaczął sączyć się z nieba drobnymi strużkami. Powietrze wypełniło się wilgocią, przenikając skromne odzienie. Było chłodno. A ona usiadła w milczeniu pod koroną rozłożystego dębu na skraju parku. Kora drapała ją w plecy. Liście szeleściły na wietrze, opowiadając historie kołyszące jej rozbiegane myśli. Powoli wyciszała się, wsłuchując się w spokojne falowanie. Oczy zaczynały dostrzegać, gdzie jest. Spoglądała na rozciągający się poniżej trawnik, uporczywie wpatrywała się w nadal ledwo widoczną ciemność drogi. Wiła się niczym rzeka, zakolami omijała latarnie i zarośla, lekko unosząc się w górę, docierała w końcu do kilkunastu starych budynków o brunatnych ścianach. Siedziała tak, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu.

I wtedy zobaczyła to światło. Z początku małe i blade, zbliżało się, w końcu rażąco nawykłe do ciemności źrenice. Przysłoniła twarz dłonią i drgnęła na dźwięk, którym najwyraźniej był czyjś głos.

- Boże, Nina...

Drgnęła, gdy ktoś jej dotknął, bo ten delikatny gest odebrała jak torturę. Tak bardzo ją wszystko bolało.

- Spokojnie... spokojnie... - powtarzał głos dalej, cicho, najciszej, jak umiał. - Nie bój się, to ja.

Ocknęła się nagle i zaskoczona spojrzała w znajomą twarz. - Adam.

Chyba nawet nie była zdziwiona. Nie miała na to siły.

Leżała w szpitalnym łóżku. Krucha i blada jak lalka z porcelany. Spała. Oddech miała miarowy i spokojny, gdyż nie męczyły jej żadne koszmary. Adam trzymał ją za rękę, gładząc delikatną skórę upstrzoną drobnymi niebieskimi żyłkami.

Do sali weszła lekarka i uśmiechnęła się do niego.

- Nie ma powodów do obaw. Jest tylko lekko wyziębiona i przesadziła nieco z lekami uspokajającymi. Jutro powinno być już w porządku. - Tu zmarszczyła czoło i spoważniała. - Ale nie ulega wątpliwości, że potrzebna jej będzie terapia.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Wiedział już sporo, więc to go nie zdziwiło.

- I spokój - dodała lekarka, wychodząc. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w okno, na nowo przeżywając dzisiejszą noc. Nadaremno próbował przez kilka dni dostać się do jej mieszkania i w końcu poprosił sąsiada z naprzeciwka, by zadzwonił do niego, gdy tylko dziewczyna wyjdzie z domu. Szczęśliwie nie mieszkał daleko.

Spanikowany starszy pan urywanymi zdaniami mówił, że obudził go hałas na korytarzu, gdy spadała ze schodów, a potem widział ją, jak na oślep biegnąca przed siebie.

Łamiąc chyba wszystkie możliwe przepisy drogowe, gnał, modląc się, by nie zrobiła niczego głupiego. Nie wiedział dokładnie, co było przyczyną jej obecnego stanu, ale domyślał się teraz, że musi

jej być trudno. Po tym, co usłyszał o dzieciństwie Niny, mimo że i tak wiele pewnie zostało przemilczane, zaczynał rozumieć. Miał wyrzuty sumienia z powodu ich ostatniego spotkania,

ale przecież dopiero po powrocie z gór Nina zapadła się w sobie. Cokolwiek tam się zdarzyło, musiało być dla niej traumatyczne.

Zobaczył ją od razu, gdy wjechał na ulicę prowadzącą pod jej dom. Jasna plama na tle wielkiego drzewa. Patrzyła na niego, ale go nie widziała. Była jak szmaciana lalka.

Gdy się odezwał, nawet go poznała. Ale nie do końca był przekonany, że jest tego świadoma. Wziął ją na ręce, a ona krzyknęła, jakby bolało ją całe ciało. Najostrożniej, jak tylko potrafił, wniósł ją po schodach do mieszkania. Była w opłakanym stanie.

Ułożył Ninę na sofie i wszedł do łazienki, by napuścić wody do wanny. Jednocześnie, z telefonem przy uchu, próbował wezwać pogotowie z prywatnego centrum medycznego.

Konsultując z lekarzem dyżurnym, co może robić, postanowił ją wygrać w wodzie, zanim przyjedzie karetka.

Dopiero gdy wsiadał za Niną do ambulansu, dotarło do niego, że nawet przez chwilę nie czuł się dziwnie, opiekując się nią. Była w takim stanie, że bardziej przypominała bezwolne dziecko, i nie zwrócił uwagi na jej nagość, gdy miękką myjką nacierał ciało kwiatowo pachnącym mydłem. Pozwoliła, żeby ją ubrał, chyba nieco wówczas zażenowana. A może rumieńce wywołane były przez ciepłą kąpiel. Tego nie wiedział.

Lekarka miała rację. Nina potrzebowała terapii, gdyż jej stan z pewnością miał zbyt skomplikowane podłoże, by sama mogła sobie z tym poradzić.

A on miał dziwne uczucie, że niechcący też się do tego przyłożył. Chciał jednak zrozumieć, co się stało. Zbyt mu na niej zależało. Było to dla niego tym bardziej nowe, że nie lubił komplikacji. A teraz wszystko wskazywało na to, że będzie ich mnóstwo. Coś mu jednak podpowiadało, że warto podjąć wyzwanie i stawić im czoła.

Wyszedł na korytarz i wyjął z kieszeni spodni telefon komórkowy. Trzy razy przymierzał się do wykręcenia odpowiedniego numeru, aż w końcu zdecydował, że powinien zadzwonić.

- Dobry wieczór. Wiem, że nie chciała pani ze mną rozmawiać, ale Nina właśnie jest w szpitalu. Tak, nie jest z nią dobrze... Wiem, że pani ją leczyła wtedy... Tak, podaję adres...

Wiktor wchodził do budynku z mocno bijącym od emocji sercem. Wreszcie udało mu się ustalić, gdzie Nina mieszka i pracuje, ale w domu jej nie było. Bał się tego spotkania tak bardzo, że nie zauważał nawet spojrzeń rzucanych w jego stronę.

Oliwia zobaczyła potężnego mężczyznę o przerażająco zdeformowanej twarzy, który szedł w jej stronę kocim krokiem, i prawie jęknęła. Recepcjonistka co prawda ją ostrzegła, że facet strasznie wygląda, ale nie na to była przygotowana.

Jezu, pomyślała trochę z niepokojem, a trochę ze zdziwieniem, że mężczyzna może wyglądać tak potwornie, a zarazem mieć w sobie jakiś magnetyzm.

Odchrząknęła lekko, zanim powiedziała:

- Wpuszczono pana, ale jak już pan wie, Niny nie ma w pracy.

- To gdzie jest? - warknął, ale po chwili powtórzył łagodniej: - Gdzie mogę ją znaleźć?

- Niestety, nie mogę udzielać takich informacji.

- A kto może? -Ja.

Za plecami Wiktora stanął Adam, który właśnie wyszedł ze swojego gabinetu z wbitymi w kieszenie spodni dłońmi, zaciśniętymi w pięści.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Zanim padły imiona, obaj wiedzieli, kto jest kim. Adam był zdziwiony. Miał przed sobą kogoś, kogo w ogóle się nie spodziewał. Mężczyznę potężnej postury, ubranego w szare spodnie, niebieską koszulę i granatowy sweter. Bardzo elegancko. Ale jakże kontrastowało to z jego wyglądem.

Wiktor z kolei jęknął w duchu. Jeżeli to jest facet, o którym Nina nie chciała mówić, będzie trudniej, niż przypuszczał. Młody, ale pewny siebie, obyty i dobrze czujący się sam ze sobą, co było widać na pierwszy rzut oka. Podwinięte rękawy kremowej koszuli odsłaniały ręce człowieka, który z pewnością nie tylko siedzi za biurkiem. Prawdziwy przystojniak ociekający luksusem.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, gdzie ją mogę znaleźć.

Pomyślał, że jeśli jeszcze raz będzie musiał powtórzyć to pytanie, zacznie wrzeszczeć.

- Pan w jakiej sprawie? - Adam wcale nie miał zamiaru niczego mu ułatwiać.

- Osobistej - wysyczał Wiktor.

- Skoro tak - Adam podszedł bliżej, zawieszając głos - to powinien pan wiedzieć, gdzie ona jest.

Resztkami cierpliwości Wiktor powiedział zaskakująco spokojnie:

- W domu jej nie ma, byłem tam.

Adam wiedział podświadomie, że to, co się stało z Niną, ma związek z tym - tu posypały się liczne wyzwiska - ale wiedział też, że jeśli mu tego nie powie, facet i tak ją znajdzie. A prawdę mówiąc, wołał kontrolować sytuację.

- Nina od wczoraj jest w szpitalu. A wie pan dlaczego? Bo jakiś idiota miał najwyraźniej za mało oleju w głowie i doprowadził ją do załamania nerwowego! Mówi to coś panu?!

Wiktor pobałdł.

- Jak to w szpitalu? - Kurczowo zacisnął dłoń na blacie biurka, aż pobiełały mu kłykcie. - Gdzie to jest?

Adam przyglądał mu się przez chwilę, a myśli kłębiły mu się w głowie:

- Słuchaj - warknął, porzucając oficjalne zwroty - wróciła od ciebie w stanie zupełnej rozsypki emocjonalnej, a teraz tu przychodzisz jak gdyby nigdy nic! Jak cię widzę, to mam przede wszystkim ochotę dać ci w mordę!

- Słuchaj - odwarknął Wiktor - jeśli to w czymś pomoże, to daj mi w mordę, ale powiedz mi w końcu, gdzie ją znajdę!

Oliwia miała ochotę schować się pod biurko, ale w głosie obcego mężczyzny było tyle determinacji, że nie wytrzymała:

- Jest w centrum medycznym świętego Patryka. Adam rzucił kobiecie wściekłe spojrzenie.

- Gdzie to jest? - dopytywał Wiktor.

- Zawiozę cię. Ale nie licz, że lekarze ci pozwolą ją zobaczyć. O ile ona sama w ogóle będzie chciała.

Adam z całą pewnością nie miał zamiaru zostawiać Wiktora sam na sam z Niną.

Gdy ją zobaczył, z nieobecny wzrokiem, bladą, leżącą w szpitalnej pościeli, zasznurowało mu gardło. Adam, jak tępą wyrzut sumienia, stał cały czas za nim, co denerwowało go coraz bardziej. Wreszcie odwróciła głowę w ich kierunku.

Bezgłośnie wymówiła jego imię, ale zamiast oczekiwanej przez niego reakcji zobaczył w niej jedynie strach.

Co ja takiego zrobiłem? - pomyślał przerażony.

Odwróciła się od nich, wiedząc, że nigdzie nie ucieknie. A tak bardzo by chciała. Czuli jedynie wstyd. Wszechogarniający, pochłaniający i niemożliwy do pokonania.

Wiktor obejrzał się na Adama.

- Zostaw nas na chwilę - poprosił spokojnie. Ten tylko kiwnął głową i wyszedł, oglądając się uważnie, jakby miało to zagwarantować choć odrobinę kontroli nad sytuacją.

Wiktor usiadł na brzegu łóżka tak delikatnie, jak tylko potrafił. Ujął jej dłoń.

- Co się stało? - Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

- Po co przyjechałeś? - Sama nie wiedziała, dlaczego go atakuje.

Wciągnął powietrze przez nos. Złapał dwa głębsze wdechy.

- Wyjechałaś... powiedziałbym... nagle. Ze względu na to, co nas łączy...

- ...nic nas nie łączy - przerwała mu, zdziwiona, że jej głos może brzmieć tak obojętnie.

- Nina. - Otworzył oczy szeroko. - Dlaczego tak mówisz? Co się stało?

-Nic.

Nie wierzył w ani jedno słowo. Cały czas miała puste spojrzenie.

- Nina, ja nie wierzę, że tak myślisz.

- To uwierz.

- Nie chcę tego nawet słuchać. - Wstał, przeczesując dłonią włosy.

- To nie słuchaj. Nie musisz.

- Nina - spojrzał na nią uważnie - nie jesteś sobą. Przyjdę jutro. Bez niego - tu wskazał głową na drzwi. - Wtedy spokojnie porozmawiamy.

- Nie przychodź tu więcej - wyszeptała.

Ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała. Nina z pewnością była w gorszym stanie, niż przypuszczał.

- Gdybyś tylko pozwoliła mi zrozumieć - poprosił, siadając ponownie przy jej boku.

- Zostaw mnie. - Zabrzmiało to mocno i dobitnie. - Po prostu mnie zostaw. Nie potrzebuję cię. Oślupiał.

- Nina...

- Zostaw mnie! Zostaw! - krzyczała z paniką w głosie.

W tym momencie do sali wbiegł Adam, a za nim pielęgniarka.

- Coś ty jej zrobił? - wrzeszczał Adam, widząc, jak Nina dostaje gwałtownych spazmów.

Pielęgniarka wyszła szybko, krzycząc coś do innej, która przechodziła korytarzem.

- Wyjdź stąd! - Adam niemal wypchnął oślupiałego Wiktora z pokoju.

Sam podszedł do dziewczyny, przytulając ją do siebie i bujając w objęciach. Nina powoli się uspokajała.

Wiktor, patrząc na nich, pękał w środku. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się w jego głowie gdzieś wycytane zdanie:

„Czyż nie wiem, że przegrywa ten, kto pragnie zatrzymać, a idzie się za tym, kto z uśmiechem puszcza? Czy zapomniałem o tym?”.

Bóg świadkiem, jak bardzo pragnął ją zatrzymać.

Odwrócił się na pięcie i choć serce umierało, odszedł szpitalnym korytarzem, podziwiając w zdumieniu, jak refleksy światła pięknie tańczą na podłodze z szarych płytek.

W tym czasie pielęgniarka dawała Ninie kolejny zastrzyk na uspokojenie.

Gdy już minęło trochę czasu, podparła głowę na rękę i znużoną, smutną twarz zwróciła na Adama. Smutek dziwnie bolesny niewypłakanych i niepocieszonych łez, jaki ogarnia ludzi po stracie najdroższych, ścisnął jej serce. Słuchając jego spokojnego głosu, brzmiącego niczym wibrujące wewnątrz ciała fale, schowała twarz w poduszce, aby ukryć łzy, i słuchała jego wywodów ze zmaconą świadomością. Nie chciała widzieć, kto tak naprawdę to wszystko mówi. Całą mocą, wszystkimi siłami wyobraźni wołała Wiktora, aby przyszedł i by mogła odwołać wszystkie słowa. Chciała, by usiadł na miejscu Adama. Tak silnie tego pragnęła, że chwilami miała złudzenie, iż faktycznie Wiktor siedzi teraz przy niej. Otworzyła oczy i długo patrzyła z przerażeniem. Adam zaś wcale nie mówił o uczuciach, ale o szczęściu życia we dwoje. Przekonywał spokojnie, że będzie im razem dobrze, że jest potrzebna wielu ludziom - i jemu, i tym, którzy byli w firmie, że ona ich łączy i tworzy im drugi dom. Mówił o interesach, jakie mieli zaczynać, na co wszyscy liczą, a ona powinna mieć cel, zapamiętać o tym, co bolesne. Mówił, że jeśli byliby razem, nigdy niczego już by jej nie brakowało, ponieważ rozumieją się oboje, stanowią

zgrany tandem. Patrzyła znowu na niego, wciąż widząc inną twarz, inne oczy. Przymknęła powieki, bo ją zapiekły od wspomnień. Policzki przykrył rumieniec zażenowania.

Zadrzała, wybudzając się z tych majaków i sprowadzając myśli do rzeczywistości. Patrzyła w okno wzrokiem, który nigdzie nie patrzył i nic nie widział, była biała jak płótno, poruszała ustami, jakby rozmawiała z własną duszą lub ze wspomnieniami. Na próżno jednak było szeptać zaklęcia, bo przecież nie można już dłużej udawać. Leżała na szpitalnym łóżku, obok siedział Adam, a Wiktor... poszedł, odszedł, odjechał.

Powiedzieli sobie tyle słów, które paść w ogóle nie powinny, nie miały prawa, a jednak stało się. Przerosło to ich oboje i nic nie potrafili z tym innego zrobić, niż zrobili. Ona go



odepchnęła, a on położył uszy po sobie, skulił ramiona i pozwolił jej zdecydować o nich obojgu. Pozwolił.

Uniosła głowę i spojrzała na twarz siedzącego obok mężczyzny. Zmarszczka zmartwienia przecinała mu czoło, oczy miał zatroskane i z uwagą na nią spoglądające. Ale był, trwał i widziała, że nie zostawi jej teraz, kiedy sama nie radziła sobie ze sobą. Wzięła jego rękę w swoją słabą jeszcze dłoń i nakryła je drugą.

- Spróbuję - powiedziała, a on wiedział, że na więcej przyjdzie dopiero czas. Musiała jednak chcieć tego sama.

Tyle zdążył się o niej nauczyć, a uczył się przecież zawsze szybko i łatwo. Nie miał w zwyczaju popełniać świadomie tych samych błędów.

## ROZDZIAŁ 18

Zaczynała nowe życie. Ta myśl od kilku miesięcy z niewiadomych przyczyn dodawała jej niewiarygodnej siły. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał jej w tym przeszkodzić. Nic takiego jednak się nie działo, co odnotowała z niemalym zdziwieniem. Zimny lutowy księżyc wskazywał jej drogę, gdy jechała swoim fordem w stronę ogromnego domu. Stał w tym miejscu od ponad dwustu lat, wyniosłe górując nad okolicznymi budynkami. Uśmiechnęła się pod nosem, gdy nasunęła się jej refleksja, że teraz i ona stanie się częścią historii, toczącej się w owych murach. Na końcu podjazdu błyszczały światła. Minęła bramę i objeżdżając krąg przykrytych śniegiem krzewów, dotarła do kamiennych schodów.

Dopiero teraz zauważyła, że dom wcale nie jest tak nieskazitelny i że nie oparł się zębowi czasu. Nie podobały się jej nieco obskurne sztukaterie i wyszczerbione ciemne okiennice. Mimo to wszędzie panował porządek i czystość, niepozwalająca zapomnieć, że ma się do czynienia z bardzo starą rezydencją szanowanej rodziny. Przypominał o tym również herb nad frontowymi dwuskrzydłowymi drzwiami.

Przyjechała tu na przyjęcie wydawane na cześć świeżo zaręczonej pary.

Parkingowy pojawił się bezszelestnie. Ostatni raz omiotła wzrokiem odbicie swojej twarzy w samochodowym lusterku i wysiadła.

- Dobry wieczór pani - powiedział mężczyzna i otworzył drzwi.

Wtedy się zawahała. To nie do mnie.

Zamarło jej serce, a ciało przeszył dreszcz.

Ta krótka myśl została jednak szybko zepchnięta na dno podświadomości. Drżąc, tym razem z zimna, gdyż cienki płaszcz, narzucony na wieczorową suknię, nie chronił zbyt dobrze, wyszła na chłodne wieczorne powietrze.

Na bliźniaczych kolumnach po obu stronach wejścia wryto litery „L”. No tak. Wchodziła do głównej siedziby rodu Leśniewskich.

Nacisnęła dzwonek. Najwyraźniej ktoś stał tuż za drzwiami, te bowiem otworzyły się niemal w tej samej sekundzie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Nina, kochanie! - zawołała siwowłosa dama, wciągając ją niemal do środka. - Jesteś nareszcie!

Miała na sobie pewnie kilka metrów bordowo-złoto-brokatu udrapowanego na wzór greckiej mniki. Stalowszare włosy upięła w kok, przebitą szpilką z kości słoniowej. Gdy Nina spotkała ją po raz pierwszy, Anna ubrana była na modłę wschodnią, a na jej pytający wzrok powiedziała tylko:

„Och, no tak, przecież ty nie wiesz, że fascynuje mnie starożytność. Przyzwyczaisz się - zaśmiała się wtedy - zresztą chyba nie będziesz miała innego wyjścia”.

Wtedy Nina polubiła ją za tę bezpośredniość.

- Pani Anno, przepraszam za spóźnienie...

-Ależ wcale się nie spóźniłaś. - Anna zmarszczyła uczerbione brwi, mocno zarysowane nad błękitnymi oczami. - Zresztą i tak wszyscy by czekali. Jesteśmy tu ze względu na ciebie, moja droga.

Wtedy do jej świadomości dotarła otaczająca ją rzeczywistość. Szum głosów wzrastał się z każdą sekundą, zobaczyła tłum ludzi wlewający się do głównego holu. Nina poczuła się niepewnie. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie smokingi, kobiety zazwyczaj czarne, szare lub granatowe suknie, podczas gdy ona stała w oślepiająco czerwonej na tym tle kreacji balowej, z bezczelnie rudymi włosami puszczoneymi luźno na plecy.

Znowu miała wrażenie déjà vu. Znowu nie pasowała do reszty.

Szybko jednak zebrała się w sobie, przypominając, że to ona jest gościem honorowym i ma prawo się wyróżniać. Tym razem jej wpadka nie okazała się katastrofą.

W głębi salonu pianista grał Gershwin, stamtąd też dochodził gwar głosów. Tymczasem cisnęło się do niej mrowie ludzi, których twarze zlewały się w bliźniacze maski. Przybrała oficjalny uśmiech i bez słowa sprzeciwu ścisnęła wszystkim dłonie, odpowiadając kurtuazyjnie na każde powitanie.

- Miło mi panią poznać, młoda damo - odezwał się ktoś. - Bardzo miło.

- Wszystkiego najlepszego!

To niesamowicie szczupła kobieta chwyciła ją za obie dłonie. Wyglądała tak, jakby nie nadążała z uzupełnianiem zbyt szybko spalanych kalorii.

- Adam tyle nam o tobie opowiadał - mówił ktoś

inny, a ona na końcu języka miała już: a mnie o pani nic. Na samą myśl o tym, jaką rozmówczyni zrobiłaby minę, gdyby to usłyszała, parsknęła śmiechem, co na szczęście potraktowano jako oznakę zadowolenia.

- Wszyscy go kochamy i życzymy wam wiele szczęścia!

- Koniecznie musisz kogoś poznać. - Anna odciągnęła ją i prowadząc za łokieć, skierowała w stronę mężczyzny o dziobatej twarzy zrytej głębokimi bruzdami.

- Lesław Turzyński.

- Gratuluję!

Roztaczał wokół siebie zapach tytoniu i czegoś nieokreślonego, od którego zrobiło się jej nieco mdło.

Nina uściśnęła mu dłoń i odsunęła się na krok. W głowie huczało jej to nieco ironiczne słowo: „gratuluję!”.

- Miło mi pana poznać, panie Turzyński.

- Wystarczy Lechu. Wszyscy na mnie tak mówią.

- Lechu - powtórzyła niechętnie i drgnęła, bo stojący za nią mężczyzna z nadmierną bliskością przysunął. Anna już jednak ciągnęła ją dalej, a Nina ścisnęła dłonie, wciąż wypowiadając te same słowa powitania. Kręciło się jej w głowie.

- Co za wspaniałe przyjęcie! - powiedziała jakaś kobieta.

- Żałujemy jedynie, że nie zdecydowaliście się na oficjalne zaręczyny!

Nina uśmiechnęła się i wytłumaczyła, że ona nie ma rodziny, a matka Adama była w tym czasie chora. Na szczęście to wystarczyło.

- Ale i tak z całą pewnością było cudownie,

jak to dobrze jednak, że udało się zorganizować to przyjęcie.

- Tak, to był dobry pomysł.

Dziobaty mężczyzna wychylił łyk z trzymanej w dłoni szklanki i prześliznął się wzrokiem po jej sylwetce.

- Mamy okazję ci się przyjrzeć.

Nina spojrzała na niego niepewnie. Nie wiedziała, co miał na myśli ani kim był. Było w nim coś niepokojącego. Emanowała z niego prostacka siła, przywodząca na myśl niechciane wspomnienia.

Pomyślała o nim przez chwilę jako nadzorcy niewolników. Pasowało to do niego.

- Nina - odezwała się chuda, nerwowa kobieta. - To takie niespotykane imię.

- Dziękuję.

- Zajmujesz się reklamą, prawda?

- Tak, mam własną agencję.

-A tak, słyszałam... Przecież jesteś właściwie szefową Adama!

Tak, teraz już jedyną, chciała odpowiedzieć odruchowo, ale zamilkła przezornie, nie chcąc wywoływać łez w swoich oczach.

- Och, ale nie w takim dosłownym znaczeniu -zbagatelizowała zawodowe relacje jej i narzeczonego.

- Anno, pozwól ją porwać. Jest tu parę osób, które z całą pewnością koniecznie powinna poznać.

- Proszę bardzo.

Anna odsunęła się nieco i po chwili wahania odwróciła do nadchodzącej pary.

Następne twarze przesuwały się przed oczami Niny. Nazwiska i imiona przelatywały koło jej uszu jak natrętne muchy, których najchętniej by się pozbyła. Żadne z nazwisk nie brzmiało obco, jeśli tylko choć trochę śledziło się wydarzenia polityczne albo wiedziało co nieco o dawnych rodach szlacheckich w Polsce. Zmusiła się, by wylapywać choć strzępki rozmów, czując już delikatne zaniepokojenie. Nigdzie nie widziała Adama. Miał na nią czekać, choć wcześniej proponował, że przyjadą razem. Ona nie widziała jednak potrzeby, by jechał ponad trzydzieści kilometrów tylko po to, żeby przywieźć ją na przyjęcie. Siedział u rodziców od wczoraj. Podobno szykował jakąś niespodziankę.

Często żałowała swojego uporu. Tak było i dzisiaj.

Dlatego, gdy Anna ponownie pojawiła się obok niej, postanowiła to wykorzystać.

- Gdzie mogę znaleźć Adama?

-Och, kochanie, bardzo cię przepraszam... Jestem taka nierozgarnięta... Oczywiście już cię do niego prowadzę. On pewnie nawet nie wie, że już przyjechałaś.

Skierowały się w stronę wielkich drewnianych drzwi, jak się okazało prowadzących do biblioteki.

Był to pokój wyłożony drewnem różanym, z ciężkimi kotarami w oknach. Stały w nim rozłożyste kanapy z przystawianymi podnóżkami. Na wyłożonym kamieniem kominku trzaskał wesoło ogień, paliły się secesyjne lampy i kinkiety, a w centrum tego wszystkiego stał Adam.

Nie można mu było odmówić urody, klasycznych rysów, które sprawiały, że pasował właśnie do takiego otoczenia. Wiedziała od dawna, że pochodzi z tak zwanego dobrego domu, ale dopiero niedawno uświadomił jej, z jakiego gniazda

wyleciał jako nieopierzone pisklę, gdy wyjeżdżał do Anglii, by się kształcić. Po powrocie do Polski postanowił udowodnić wszystkim, że sam potrafi stanąć na nogach. I tak trafił do ich firmy.

Adam uniósł głowę. Gdy zauważył ją w drzwiach, jego spojrzenie zawierało pytanie:

„Wszystko w porządku?”. Uśmiechem odpowiedziała: „Teraz już tak”.

Stojąc tam, w tym momencie, była pewna, że to prawda. I przez myśl jej przebiegło, że nie czuje się samotna. Może już nigdy nie będzie?

Podszedł do niej i objął, szepcząc do ucha:

- Musisz na siebie dziś szczególnie uważać. Spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

Roześmiał się cicho.

- Wyglądasz bosko, a większość tych facetów od dawna szuka odpowiedniej żony... Ty nadajesz się idealnie.

Parsknęła, ale wspięła się na palce, by go pocałować w policzek, po czym cofnęła się o krok, przyglądając mu się uważnie.

- Długo to potrwa? Kiwnął głową.

- Obawiam się, że tak. Ale to niewielkie poświęcenie, by później mieć spokój. Inaczej musielibyśmy wszystkich przyjmować z osobna. Wyobrażasz sobie ten niekończący się korowód gości przez kilka następnych miesięcy?

Wzdrygnęła się odruchowo, wywołując u niego napad śmiechu.

W tym samym momencie jej nagie ramiona zdrząły, gdy podmuch lodowatego powietrza przeleciał przez hol i wpadł do biblioteki. Obracając się, zobaczyli ojca Adama, Franciszka Leśniewskiego, zdejmującego gruby płaszcz.

- Nareszcie - mruknął Adam.

- No to rodzina w komplecie - zaświergotała Anna.

Rozległ się szum powitań ze spóźnionym gospodarzem, którego zatrzymały obrady senatu. Od kilku lat bowiem ojciec Adama pełnił zaszczytną funkcję senatora. Był imponującej postury. Wysoki i barczysty, z orlim nosem i siwymi włosami, budził szacunek i zaufanie.

-Anna! - wrzasnęła nagle. - Gdzie jesteś? Czy, do licha, mogę dostać coś do picia? Jest diabelnie zimno! Poza tym - tu głos mu złagodniał na widok Niny - chciałbym wznieść toast. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dwóch kelnerów zmaterializowało się przed nim z tacami pełnymi kieliszków szampana.

Anna jak na komendę stanęła obok męża, a on w tej samej chwili objął ją, przyciskając do swego boku i jednocześnie chwytając kieliszek.

- Uwaga wszyscy! - krzyknął tubalnym głosem. Kiedy szum zmałał, wziął głębszy oddech.

- Dobry wieczór, drodzy przyjaciele, kochana rodzino. Cieszę się niezmiernie, że widzę was w tak wspaniałym wieczór. Jestem dziś dumny. A wiecie dlaczego? Mój syn wreszcie znalazł kogoś, z kim będzie dzielił życie.

To mówiąc, wyciągnął rękę w stronę Niny. Adam lekko popchnął ją w kierunku ojca, podeszła więc i chwyciła wysuniętą dłoń przyszłego teścia.

- Na szczęście, syn poszedł w ślady ojca i okazał się równie wybredny - podjął, ale przerwał mu wybuch śmiechu z prawie dwustu gardeł.

A Nina na te słowa zarumieniła się nieco, nie mogąc powstrzymać myśli, że czuje się trochę jak klacz wystawiona na aukcję.

-Wszyscy doskonale widzą, jak piękna to kobieta, ale uwierzcie mi, jest równie mądra. I jedyna moja obawa co do tego związku, to to, że z pewnością ta młoda dama będzie mego jedynaka wodzić za nos przez resztę jego życia.

Ludzie śmiali się i klaskali.

- Ale zaręczyny to niejedyna dobra wiadomość tego dnia.

Zapadła cisza.

- Mam zaszczyt i przyjemność ogłosić - zawiesił teatralnie głos, przywykły do wygłaszania przemówień - że Adam wreszcie podjął decyzję o kandydowaniu w nadchodzących wyborach z ramienia naszej partii!

Pod Niną ugięły się kolana. Podniosła wzrok, by zobaczyć, jak Adam ściska dłonie, promieniając uśmiechem. Podniósł się niesamowity rwetes. Wszyscy klaskali i wykrzykiwali:

- Adam, Adam!

Ruszyła w jego stronę, nieco się potykając. Gdy wyciągnął do niej dłoń, chwyciła ją niczym tonący.

Była wściekła, zaskoczona i zagubiona jednocześnie. Dlaczego jej na to nie przygotował?

Wciąż trzymając ją za rękę, zaczął swoje przemówienie.

Po kilku chwilach zrozumiała, że musiał je wcześniej przygotować. Obsypywał podziękowaniami kolejne osoby, wymieniając płynnie ich nazwiska i funkcje, zazwyczaj partyjne. Mówił, jak wzruszony jest faktem, że tego samego dnia może ze wszystkimi podzielić się swoim szczęściem osobistym i zawodowym. Zapewniał, że ma zamiar kontynuować swoją pracę, politykę traktując jako misję do spełnienia. Popłynęła litania priorytetów.

- Z całą pewnością należy zadbać o dalsze zmniejszanie bezrobocia w kraju. Nie mam przy tym na myśli powiększania polskiej emigracji i szarej strefy. Chodzi mi o prawdziwe stanowiska pracy, a więc i zadbanie o rozwój polskiego biznesu. Stwarzanie warunków do rozwijania najlepszych umiejętności, dających wymierne korzyści dla gospodarki. Stanowiska pracy, na których można spędzić życie i dzięki którym da się wychować dzieci.

Tu spojrział na Ninę.

- W tym, mam nadzieję, i nasze.

Wiwaty posypały się z każdej strony. Adam pocałował ją długo i namiętnie, a okrzyki rozentuzjasmowanych gości odbijały się echem w domu i w jej głowie.

## ROZDZIAŁ 10

Dopiero po dobrej godzinie udało się jej uwolnić z tłumu i uciec. Zaglądała do kilku pokoi po kolei, ale w każdym ktoś stał. W końcu znalazła przystań w niewielkim pomieszczeniu na samym końcu korytarza. Było w nim przytulnie za sprawą zdecydowanie jaśniejszych kolorów niż w salonach widzianych przez nią wcześniej. Drżała. Skuliła się i objęła ramiona dłońmi. Po chwili nieco się opanowała i opadła na butelkowitzką kanapę, podskakując nieco na sprężynach.

Z frontowej części domu dobiegało ją Wonderful Life, sprawnie wygrywane przez pianistę. Sama sobie była winna.

Może gdyby bardziej zajmowała się sprawami Adama, nie czułaby się teraz tak głupio? Popeliła błąd, lekceważąc jego ambicje, skupiając się na sobie. Chciała się czuć bezpieczna. On jej to zapewniał. Nie wzięła jedynie pod uwagę, że być może chciał więcej od życia niż ona.

- Tu jesteś. - W progu stała Anna. Nina zerwała się na równe nogi.

- Och, przepraszam. Musiałam odpocząć choć chwilkę.

Anna machnęła ręką, jakby chciała opędzić się od namolnego owada.

Wskazała Ninie kanapę; sama też na nią opadając, chwyciła dłoń dziewczyny w swoją. Ten prosty gest sprawił, że Nina rozczuliła się niespodziewanie dla siebie samej. Przez chwilę milczały.

- Myślę, że zamierzał ci zrobić niespodziankę - odezwała się w końcu matka Adama. - Tak bardzo chciał, żebyś była z niego dumna.

Spojrzała na nią zaskoczona. Ta kobieta wiedziała chyba więcej, niż Ninie się zdawało.

- Mógł jednak powiedzieć wcześniej.

- Och, nie oszukujmy się. Obie wiemy, co by było, gdyby cię uprzedził.

Nina uśmiechnęła się słabo.

- Można w ogóle przygotować się na coś takiego?

- Z czasem tak.

- To znaczy?

- Przyzwyczaisz się. Zresztą, w tej rodzinie to mężczyźni zawsze byli najważniejsi. Ich ambicje i plany. My powinnyśmy im pomagać. Tradycja.

Poklepała ją po ręku. -Ja się nie nadaję.

- Ależ skąd. Przecież widzę, jaka jesteś. Nadajesz się idealnie. Jesteś silna, zahartowana jak najlepsza stal. A twój upór tylko ci w tym wszystkim pomoże. Prawdę powiedziawszy, to kandydowanie pośrednio zawdzięczamy tobie.

Nina uniosła brwi w niemym zdziwieniu. Anna zajrzała jej głęboko w oczy.

- Przecież Adam, nie mając ułożonego życia osobistego, nie miałby szans. Jesteś darem nie tylko dla niego, ale dla całej partii, ponieważ zyskała odpowiedniego kandydata.

- Ale ja nie należę do tego świata. Nie pasuję...

- Pasujesz idealnie. Piękna, mądra, bez niechcianego bagażu przeszłości...

Nina wzdygnęła się i uciekła wzrokiem w bok. -Ale ja...

- Dość tego. - Anna chwyciła ją za ramiona. -Po prostu potrzebujesz czasu, by przywyknąć do tej myśli. Tymczasem pamiętaj, że jesteś mu naprawdę potrzebna. Sam mi mówił, jak wiele dajesz mu siły.

Nina poczuła, jak narasta w niej dobrze znane, dawno nieodczuwane napięcie.

- Jestem pani bardzo wdzięczna, pani Anno - powiedziała nieco drętwo, pospiesznie wstając i poprawiając suknię nerwowym ruchem. - Powinnam wrócić do Adama.

- Zuch dziewczyna! Wiedziałaś, że zrozumiesz. -Anna uśmiechnęła się, ale jej oczy nadal bacznie obserwowały Ninę. Gdy ta wyszła, nerwowo zaczęła uderzać dłonią w kolano. - Wcale nie będzie z nią łatwo - wyszeptowała pod nosem, marszcząc czoło, wyraźnie zmartwiona.

Nina cicho podeszła do narzeczonego i chwyciła go pod rękę. Adam spojrzał na nią z widoczną wdzięcznością, ale nie przerwał rozmowy:

- Program ma być nastawiony przede wszystkim na rynek pracy - oświadczył - nie można pozwolić na spowolnienie gospodarki, a niestety, jeśli nie zadbamy o przekwalifikowanie ogromnej rzeszy ludzi, w niektórych branżach już niedługo zabraknie rąk do pracy.

Tymczasem spowolnił się spadek bezrobocia. Najlepszym rozwiązaniem będzie zwrócenie uwagi na dialog społeczny.

W tym momencie Nina uśmiechnęła się pod nosem, myśląc, że cieszyłaby się, gdyby to na nią, choć na chwilę, zwrócił uwagę.

Jednocześnie jednak przebiegło jej przez myśl, że Adam nie jest taki zły w tym swoim zaangażowaniu, gdy mówił o programie. Może za dużo było w nim mentorskiego tonu, charakterystycznego dla Millera, ale łagodziła to żarliwość przypominająca nieco wystąpienia Tuska. Wiedziała też, że Adam był bardzo dobrym słuchaczem, okazującym zainteresowanie rozmówcy. A to przecież pierwsze prawo polityki: spraw, żeby ludzie poczuli się na tyle odważni, by mówić o swoich poglądach, a odwdzięczą ci się tysiącrotnie. I tak właśnie upłynęła im reszta wieczoru. Nina, przyklejona do ramienia Adama, uśmiechała się bez przerwy. Trzęsła się od składanych gratulacji. Tylko raz udało się im zatańczyć, i to na wyraźną prośbę gości.

Czuła się jak pajacyk na sznureczkach pociąganych niewidzialną ręką.

Gdy kołysali się w rytm przerobionej na rytm ballady AU you need is love, o mały włos nie wyrwał się jej z piersi histeryczny śmiech. Myśli zafundowały jej prawdziwą karuzelę.

Diabelski młyn w końcu przyprawił ją o mdłości, ale trwała cierpliwie, powtarzając sobie w myśli dwa słowa niczym mantrę: Jeszcze trochę, jeszcze trochę...

- Wyglądasz dziś pięknie - doszło do niej z daleka i wróciła na ziemię dzięki tym słowom. - Masz jeszcze piegi na nosie od słońca.

Spojrzała na niego spod oka.

- To przez to, że tak często wyciągałeś mnie na plażę.

Dwa tygodnie temu wrócili z Barbadosu. Tam jej się oświadczył.

- Mmmm - rozmarzył się - cudnie ci w kostiumie kąpielowym... i bez. - Pocałował ją delikatnie. - Niech ten cyrk się już skończy, zabiorę cię do domu i przypomnimy sobie tamte dwa tygodnie.

Nina uśmiechnęła się zalotnie, ale wiedziała, że tamten czas był zupełnie inny. Już nie wróci. Tak samo jak z trudem wypracowane zrozumienie, które zakiełkowało między nimi.

Adam się przeliczył. Zmiany fundował jej zbyt szybko, z czego ona sama jeszcze sobie nawet nie zdawała sprawy.

Przymknęła powieki i oparła mu głowę na ramieniu. Przez krótką chwilę widziała w myślach skromny drewniany dom, czuła świeże górskie powietrze. Zanim w wyobraźni zdążyła ujrzeć znajomą sylwetkę, odsunęła się nieco od narzeczonego, lustrując uważnie jego oblicze.

- Wyrwijmy się stąd.

Adam, biorąc to za ciąg dalszy ich rozmowy, roześmiał się, zadowolony.

- Myślę, że zrozumieją - powiedział i poprowadził ją ku drzwiom wyjściowym. Przez całe trzydzieści kilometrów jedną ręką trzymał jej dłoń, zmieniając biegi i prowadząc drugą. Przeżywał dzisiejszy wieczór, co jakiś czas odwracając wzrok od drogi i przyglądając się jej twarzy. Miała wrażenie, że próbuje się tłumaczyć. Prawie nie reagowała, kiwając jedynie niekiedy głową i wygłaszając lekkie potwierdzenia, świadczące o tym, że nadal go słucha.

Podjechali pod dom, w którym mieszkała z nim od kilku miesięcy. Była to willa wybudowana tuż

po wojnie, w otoczeniu pięknego sosnowego lasu starej części Józefowa. Stała na działce o powierzchni ponad trzech tysięcy metrów kwadratowych, na których starannie zaplanowano ogród z częścią wypoczynkową i rekreacyjną. Nie zabrakło też szklarni i niewielkiego, podniszczonego teraz budynku, w którym kiedyś mieszkali pomocnicy.

Gdy Adam parkował samochód w garażu, ona wbiegła do domu, wyłączyła alarm i poszła do salonu sprawdzić, czy w kominku nie zgasł ogień. Nie zdejmowała jednak sukienki, zupełnie nie dbając, że może ją ubrudzić. Gdyby ją zdjęła, niechybnie od razu wylądowałiby w łóżku, a należała się jej rozmowa. Prawdziwa, a nie taka, jaką próbował prowadzić w samochodzie. Wrzuciła kilka polan do przygasającego ognia i skierowała się do stolika z alkoholem. Nalała dwa kieliszki koniaku i z jednym w dłoni podeszła do okna. Oparta plecami o wysoki parapet, czekała na Adama.

Chwilę później wpadł do pokoju z zaróżowioną od mrozu twarzą.

- Co za wieczór! Jeszcze w to wszystko nie wierzę! Objął ją. Palce miał jak sople lodu. Tak samo

usta, którymi przywarł do jej warg w zachłannym pocałunku.

- Kochanie... - Próbowała się wyswobodzić z mocnego uścisku, śmiejąc się podenerwowana. - Jesteś lodowaty, zaczekaj, napij się najpierw i rozgrzej przy kominku...

Ale on znowu całował ją, przygniatając do parapetu, boleśnie wrzynającego w plecy.

- Adam... - spróbowała raz jeszcze. - Nina... o Boże, Nina... - jęknął, przesuwając usta na jej szyję i wdychając słodki zapach ciała.

FZ

Jego dłonie odszukały zamek sukni i po chwili ta opadła z miękkim szelestem jedwabiu na drewnianą podłogę, tworząc kokon u jej stóp na wysokich obcasach. Prócz butów miała na sobie jedynie skąpe koronkowe majteczki i samonośne pończochy. Adam wciągnął głośno powietrze i pochylił się nad jej piersiami, zagarniając je dłońmi.

Zdała sobie sprawę, że jest podniecony podwójnie, nie pozbywszy się jeszcze adrenaliny z poprzedniej części wieczoru, i że na nic jej zduszone protesty. Dziś z pewnością nie odbędzie się żadna rozmowa. Zachnęła się na to, ale niemal w tym samym momencie poczuła wyrzuty sumienia, przypominając sobie słowa jego matki, że on jej potrzebuje. Przecież gdy ona go potrzebowała, trwał, był, robił dla niej więcej niż ktokolwiek.

Wtuliła się w niego miękko i uległe, zwiotczały jej mięśnie od zalewającej ją czułości.

Pozwoliła sobie na to, by ciało zaczęło przyjmować bodźce i na nie reagowało. Po chwili z jej gardła wydobyło się westchnienie. On uniósł wzrok, patrząc jej w oczy i dotykając czołem jej czoła. Zanurzył dłoń we włosach i wysunął z nich spinki. Całując, wziął ją na ręce, wyplątując z leżącej na podłodze sukni, zaniósł po schodach na piętro, do ich sypialni. Ledwo położył ją na łóżku, wszedł w nią jednym gładkim ruchem. Nie zdziwiło jej to. Podniecony do granic możliwości, podświadomie chyba zakładał, że z nią jest tak samo. Głaskała go po głowie, całowała twarz i szyję, a przez myśl jej przebiegło, że traktuje go trochę jak chłopca, którego zachęca się, by nie przestawał. Nie czuła się źle, ale była jakby obok, pochłonięta wątpliwościami, które pojawiły się tego wieczoru. Gdy Adam zwiększył tempo, starała się jeszcze poddać rytmowi, ale wiedziała już, że to nie ma sensu. Wsłuchiwała się więc

w niego i w odpowiednim momencie wydała cichy jęk, a chwilę potem on doszedł, ciężko oddychając.

Przebierał sennie palcami po jej plecach, wpatrując się mętym wzrokiem w twarz dziewczyny.

- Jesteś zawiedziona, że ci nie powiedziałem, prawda?

Zaskoczyło ją to zdanie; nie spodziewała się usłyszeć go właśnie teraz.

- Tak. Trochę. - Zaskoczenie pomogło jej w zachowaniu szczerości.

- Przepraszam, że tak się to odbyło. Byłem jednak pewny, że będziesz się starała odwieść mnie od tego pomysłu i zaczniesz namawiać, żebym jeszcze poczekał.

- Bo tak by pewnie było. Ale wiem też, że zrobiłabym tak ze względu na siebie, a nie na ciebie. Oboje potrafimy być egoistami. - Zaśmiała się lekko.

- Nie zrobiłbym tego, gdybym nie był przekonany, że dasz sobie radę.

Przekręciła głowę, by lepiej go widzieć.

- Sama tego nie wiem, skąd więc to przekonanie u ciebie?

- Może bardziej w ciebie wierzę niż ty sama?

- Tylko żebyś się bardziej nie zawiódł.

- O to się nie martw. To już mój problem.

- O! Czyżby?

- Tak. - Wtulił twarz w jej włosy. - A na razie postarajmy się, by ten wieczór jednak i dla ciebie był miły.

Na jej zaskoczoną minę winowajczyni przyłapanej na małym oszustwie parsknął śmiechem.

- Ninka - odgarnął niesforny kosmyk z zaróżowionego z zawstydzienia policzka - nie jestem aż taki głupi.

I całował ją miękko, powoli, nie spiesząc się nigdzie.

## ROZDZIAŁ 20

Gdy następnego dnia wracała do domu z pracy, deszcz ze śniegiem sprawił, że na drodze pojawiła się śliska breja. Jej samochód był bardzo lekki i nawet mimo zimowych opon bała się, że nic nie utrzyma auta na szosie. Nie odważyła się jechać szybciej niż pięćdziesiąt na godzinę, mimo że nie brakowało takich, którzy klaksonem wyraźnie dawali jej znać, że wlecze się jak zółw. Była prawie ósma wieczorem, a ona dosłownie padała ze zmęczenia.

Mieli na warsztacie poważny projekt dla firmy ubezpieczeniowej. Reklamy powinny pojawić się za miesiąc, a wciąż przychodziły uwagi, zmuszające ich do ślęczenia nad kampanią. Nie miała siły, by użerać się jeszcze na drodze. Wjechała w ulicę prowadzącą do domu, którą całą pokrył już biały puch. Przed skretem nacisnęła lekko pedał hamulca i to był błąd. Nagle tył samochodu zaczął tańczyć, a ona zahamowała mocniej, pogarszając sytuację. Szarpnęła kierownicą w lewo, starając się ratować, i auto znalazło się w rowie.

Próbowała na jedyńce, próbowała na wstecznym. Bez skutku. Siedziała przez dłuższą chwilę z opuszczoną głową i dłońmi na kierownicy. W końcu, zdenerwowana, wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu, głośno trzaskając drzwiami i klnąc pod nosem. Zapięła dokładnie płaszcz, poprawiła torbę na ramieniu i poszła, brnąc w śniegu, w kierunku domu.

W oknach nie było nawet śladu światła. Westchnęła.

Adam znowu będzie koło północy... Albo wrócił wcześniej i śpi.

Gdy weszła do środka i odezwał się sygnał z centralki alarmowej, wiedziała już, że jest sama.

W domu było zdecydowanie za zimno. Chciało się jej płakać. Była zmęczona, zziębnięta i głodna. Tymczasem zanim będzie mogła opaść w głęboki miękki fotel przed kominkiem, otulona kocem, z gorącą herbatą, musi tyle zrobić.

Na stoliku z telefonem migotała wściekle lampka automatycznej sekretarki. Ze zdziwieniem usłyszała głos Adama.



- Cześć, kochanie, przykro mi, że cię nie zastałem w domu, na komórkę też nie mogę się do ciebie dodzwonić. - Sięgnęła do kieszeni i zaklęła, widząc ciemny ekranik; pewnie wyczerpała się bateria.

Słuchała dalej.

- Mamy dziś nieoficjalne spotkanie w klubie, więc jeśli masz siłę, to wpadnij do Sheratona. Jeśli nie, to nie czekaj na mnie, bo wrócę na pewno późno. Kocham cię.

Przez chwilę walczyła ze sobą, niepewna, jak ma rozumieć tę wiadomość. Nieoficjalne spotkanie zazwyczaj oznaczało konieczność obecności żon i towarzyszek życia. Po zastanowieniu wykręciła numer hotelu i poprosiła o znalezienie narzeczonego, bo jego komórka też nie odpowiadała. Po kilku minutach miły głos hostessy poinformował ją jednak, że Adam właśnie wygłasza przemówienie.

I tak było już za późno.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do wielkiego frontowego okna. Pięknie. Jeszcze za niego nie wyszła, a już spędza wieczory sama.

Było to prawie zabawne. Zadzwoiła po pomoc drogową, jednocześnie próbując się przebrać w szlafrok i domowe bambosze. Dochodziła dziewiąta, gdy wreszcie udało się jej rozpalic ogień w kominku, bo mimo że nastawiła ogrzewanie i kaloryfery pracowały na wysokich obrotach, jej nadal było zimno.

Zrezygnowana, dosłownie w ostatniej chwili dodzwoniła się do pobliskiej restauracji i zamówiła sobie chińszczyznę. Makaron z kurczakiem powinien poprawić jej nieco humor. Z kartonowym pudełkiem w ręku zapadła w fotel, patrząc w ogień i pozwalając, by ciepło jedzenia i kominka powoli ją rozleniwiało i rozluźniało jednocześnie. W końcu zasnęła, nie wiedząc nawet kiedy.

Kolacja ciągnęła się bez końca. Cztery dania, kilka przemówień, a pomiędzy nimi przerwy na papierosa i rozmowy w kularach. Wstali od stołów dopiero po północy. Anna była przyzwyczajona do takich maratonów, ale ostatnio zauważyła, że znosi je coraz gorzej. Nie musiała udawać przed sobą. Wiedziała, że robi się coraz starsza. Patrzyła z dumą na syna idącego, po długich perypetiach, w ślady ojca. Niepokoiła się tylko nieobecnością Niny. Musi z nią porozmawiać. Może zaprosić ją na obiad? Albo lepiej na zakupy. Która kobieta oprze się pokusie nowej kolekcji u Hermesa?

Kątem oka wyłowiła znajomy gest męża. Wiedziała dokładnie, co on oznacza. Mogła jechać spokojnie do domu. On musiał jeszcze zostać, a nie była już potrzebna.

Odebrała futro z szatni i wśród tłoczących się ludzi ruszyła w kierunku drzwi obrotowych.

Wciąż padał śnieg, więc otuliła się szczelniej kołnierzem z szynszyli. Czarny mercedes wytoczył się jak na zawołanie zza węgła. Odzwierny z ukłonem otworzył drzwi samochodu.

- Dziękuję. - Skinęła mu uprzejmie, z ulgą zapadając w rozgrzaną ciemność auta.

Walczyła chwilę ze słabością, ale pomyślała, że należy się jej dziś mała nagroda, i zapaliła długiego ciemnego papierosa. Jechali przez samo centrum Warszawy, mimo że nie była to najkrótsza droga. Kierowca wiedział jednak, że lubi patrzeć na światła nad Wisłą.

Uśmiechnęła się pod nosem i oddała marzeniom, przemieszonym ze wspomnieniami. Kiedyś to miasto i brzeg rzeki wyglądały inaczej. Było tu o wiele spokojniej, gdy spacerowała niedzielnymi popołudniami, trzymając rękę w dłoni wysokiego ciemnowłosego mężczyzny. Westchnęła. Nie ma co się rozczulać. Zrobiła dobrze. Nawet jeżeli czasem czuła się tak strasznie samotna. Czy teraz jednak miało to jakiegokolwiek znaczenie? A czy skoro teraz nie miało, to czy w ogóle jest o czym myśleć?

- Udany wieczór? - zapytał szofer, zerkając w lusterko.

- Owszem - odparła obojętnym tonem, od razu karcąc się w myślach za protekcjonalizm w stosunku do oddanego pracownika. - Ale bywały lepsze

- załagodziła i z delikatnym uśmiechem dodała:

- Może dlatego, że jestem zmęczona.

Kierowca kiwnął głową, w lot rozumiejąc, że tym razem ona nie ma ochoty na zwyczajową wymianę zdań.

Poprawiła się na dość śliskim skórzanym siedzeniu.

Była przyzwyczajona, że mąż oczekuje od niej zaangażowania, dlatego nie rozumiała, skąd ten opór u przyszłej żony jej syna. Czyżby z nią w ogóle nie rozmawiał? Nie uświadomił jej, jak jest ważna? Zastanawiając się nad tym, co powinna zrobić, zapaliła kolejnego papierosa. Nawet nie zauważyła, kiedy dojechali do domu. Z niechęcią przeszła kilka kroków z podjazdu do drzwi frontowych.

W holu leżała duża brązowa koperta, a na niej biała, mniejsza.

Ponieważ były zaadresowane do niej, bez wahania, nie zdejmując nawet futra, rozerwała je niecierpliwie. Domyślała się, od kogo mogą być. Przebiegła szybko wzrokiem kilka linijek tekstu, a jej czoło marszczyło się coraz bardziej. Odrzuciła niedbale list na stolik i sięgnęła po następny. Zawahała się jednak i rozejrzała uważnie dookoła. Nie było nikogo, ale wołała nie ryzykować. Zabrała korespondencję i udała się do swojej sypialni. Od dawna już nie dzielili z mężem jednej. Jego i jej pokój łączyła jednak ogromna łazienka.

Pomieszczenie umeblowane było ciemnymi antykami, na ścianach wisiało kilka obrazów przedstawiających kwiaty. Zsunęła buty, futro przerzuciła przez oparcie fotela stojącego naprzeciw toaletki i pospieszyła do łazienki. Gdy przemyła twarz mleczkiem i tomkiem, usuwając tony makijażu, nachyliła się do lustra i dokonała niemal klinicznej analizy worków pod oczami i coraz bar-

dziej obwisłej skóry twarzy. Kiedyś była piękna. Wiedziała o tym, bez fałszywej skromności i bez skrupułów wykorzystując to, gdy tylko potrzebowała. Tymczasem w okolicach oczu pojawiały się coraz głębsze zmarszczki, których nie mogły już spłycić najlepsze kremy.

Skalpela się bała, a nadal musiała wyglądać dobrze. Taką cenę płaciła każda kobieta, której mąż odniósł sukces w tej branży. Była na niemal takim samym świeczniku jak on. Wysiłek wyciskał piętno na jej twarzy, choć większość ludzi powiedziała by, że przecież robi tak niewiele. Bywa na przyjęciach, stoi obok męża, pozuje do zdjęć, zajmuje się organizacją charytatywną. Przecież to same przyjemności. Otrząsnęła się.

Wyłączyła światło w łazience i wróciła do sypialni. Podeszła do okna, celowo opóźniając chwilę, gdy będzie musiała otworzyć kopertę. To, co napisał prywatny detektyw w liście, bardzo ją zaniepokoiło, bo oznaczało też, że syn nie powiedział im wszystkiego. Celowo. Z raportu wynikało, że kiedyś podobny trafił i w jego ręce.

Odsunęła kotarę i wyjrzała na zaśnieżone drzewa, zaznaczające się ostrymi konturami na tle wciąż padającego śniegu. Były takie imponujące i dostojne. I nic sobie nie robiły z przemijającego czasu. Poczula, że musi się napić. Na przyjęciu pozwalała sobie jedynie na moczenie ust w szampanie przy wznoszonych toastach, zapijając się wodą mineralną. Ale teraz potrzebowała czegoś mocniejszego. Poszła do sypialni męża, nawet nie zapalając światła. Wystarczył jej poblask lamp z jej pokoju i jasna poświata śniegu zza okien. Obok łóżka zawsze trzymał szkocką. Nalała sobie szklaneczkę, choć akurat za tym trunkiem nie przepadała, i bosy, uzbrojona w alkohol, wreszcie sięgnęła po kopertę.

Z napięciem malującym się na twarzy przekładała dokument za dokumentem, zdjęcie za zdjęciem, aż wszystkie opadły jej bezładnie na kolana. Wychyliła bursztynowy napój jednym haustem, aż z oczu popłynęły jej łzy. Serce biło szybko, wiedziała bowiem, że musi zrobić coś, co oznacza zaprzepaszczenie wszystkich dawno sobie złożonych obietnic. Musiała jednak wybrać pomiędzy swoim dzieckiem a tym, o którym właśnie tyle się dowiedziała. Dla matki wybór był prosty.

Nina usłyszała szept i poczuła dotyk ust na szyi. Przewróciła się na bok. Zobaczyła uśmiechniętą twarz Adama, oświetloną promieniami porannego słońca. Wyglądał na nieco zmęczonego, ale zarazem zadowolonego.

- Wstajemy, śpiochu - odezwał się i pocałował ją w policzek.

- Mmmmm. Musimy? - Przeciągnęła się z lubością i objęła go leniwym ruchem ramion.

- Niestety - potwierdził, udając zasmucenie, choć w oczach tańczyły wesołe ogniki.

Gdy wrócił w nocy, spała twardym snem, ale udało mu się ją obudzić. Rozgrzana snem, poddała się pieszczotom Adama, który jak zwykle po emocjonującym wieczorze, gdy adrenalina uderzała, kochał się z nią jak szalony. Zaczerwieniła się na samo wspomnienie.

- Jak ci wczoraj poszło? - zapytała.

- Chyba dobrze. Coraz więcej starych przyków chce ze mną rozmawiać.

- To dobrze - szepnęła, wcale nie będąc pewna, czy tak myśli. - Kochanie? - zapytała, skubiąc koldrę.

- Tak, kochanie? - zawtórował jej z uśmiechem.

- Możemy porozmawiać o kampanii?

- Jasne - ożywił się. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że chcesz.

Źle. Nie na taką reakcję liczyła. Teraz będzie trudniej.

-Wiesz... Nie bez powodu miałam co do tego obiekcje.

Milczał. Nie pomagało jej to.

- Wiem, że nie mogę cię ograniczać tylko dlatego, że ja nie jestem gotowa, ale czy ty naprawdę tego chcesz?

Źle, źle, źle. Nie to miała powiedzieć. Tymczasem dopadł ją ten parszywy tchórz, czający się gdzieś w środku. Nie chciała, Boże, jak bardzo nie chciała znowu być sama. Ta okropna uczciwość jednak nie dawała jej spokoju i kazała w końcu coś powiedzieć. Nie mogła zmusić gardła do wydobycia odpowiednich słów. Za mało o niej wiedział. Wcześniej próbowała mu powiedzieć, a on zastrzegł, że nie musi wiedzieć, że wystarczy mu, jaka jest. Ale nigdy nie wspomniał, że przeszłość, może nie tak ważna dla niego, będzie istotna dla szerokiej rzeszy ludzi.

Parsknął.

- Doprawdy, naprawdę się tak o mnie martwisz? Zapewniam cię, że nie robię tego ani dla ojca, ani dla nikogo innego i nikt mnie nie zmusza. Jesteś słodka. - Pocałował ją.

Zaskoczona była jego tokiem rozumowania. Pomyślała nawet, że niechcący Adam zdradził swój największy kompleks. Kompleks ojca.

- Śniadanie! - Nina odrzuciła koldrę. - A my nic nie mamy w domu!

- Nie martw się - założył ręce na głowę - wychodzimy na śniadanie do restauracji.

Odwróciła się do niego zdziwiona, wkładając szlafrok.

- Jak to?

- A tak. Od dziś większość posiłków spada z twych pięknych ramion. - Puścił do niej oko.

Wtedy do niej dotarło, że kampania się zaczęła, mimo iż do wyborów pozostał ponad rok. Była właśnie w kuchni, niedługo po tym, jak wrócili ze straszego śniadania, podczas którego niemal nic nie zjadła, bo cały czas musiała się uśmiechać, witać i dygać jak jakaś głupia pensjonarka. Adam cały czas wisiał na telefonie i potwierdzał albo odwoływał spotkania, a ona denerwowała się, że żadne z nich nie było od kilku dni w firmie. Zobaczyła, jak czarny mercedes podjeżdża pod dom, i mimowolnie coś ścisnęło ją w dołku. Z samochodu wysiedli rodzice Adama. Anna i szofer wydobyli z bagażnika wielkie torby z zakupami. Nina westchnęła. O czym jeszcze Adam nie zdążył jej powiedzieć?

Podjeżdżały kolejne samochody. Drzwiczki otwierały się i zamykały, a do kuchni dochodziło szuranie butów, szum głosów i szelest zdejmowanych okryć. Zacisnęła dłonie w pięści i oparła je na kuchennym blacie. Przypomniła sobie inny poranek, w innym miejscu i czasie. Stała w za dużej męskiej koszuli, parząc kawę, a z otwartych okien dolatywał śpiew ptaków. Żadnych odgłosów miasta, zbytecznej obecności obcych ludzi. Cień mężczyzny za plecami, silne dłonie krzyżujące się na wysokości jej talii, leniwe pocałunki błędzące po szyi. Słyszała, jak Adam podekscytowanym głosem roztaczał wizje przed coraz liczniejszą widownią.

Próbowała go nie słuchać.

Z bólem zdała sobie sprawę, że jeszcze kilka dni temu tęskniła za jego głosem. Żwir na podjeździe zachrząścił pod kołami kolejnego samochodu. Wyrzała przez okno. Wysiadł z niego sam premier. W panice rzuciła się ku schodom, by szybko się przebrać, i w drzwiach zderzyła się z przyszłą teściową.

- Nina!

- Przepraszam! Idę się przebrać - rzuciła tylko i już jej nie było.

- Chwała Bogu - mruknęła Anna; ustawiała torby z zakupami na bufecie, mając jeszcze przed oczami niedbale ubraną sylwetkę.

Nina z ulgą zamknęła drzwi sypialni i oparła się

O nie, nakrywając oczy dłonią.

- To nie dla mnie - wyszeptała.

Ręce się jej trzęsły. Traciła kontrolę nad własnym życiem. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Otworzyła szafę. Po krótkim namyśle wybrała popielaty kostium, którego nie cierpiała, bo wyglądała w nim jak biurwa. Ale w końcu chyba tego od niej oczekiwano, prawda?

Gdy schodziła po schodach, zauważyła, że głosy przeniosły się z pokoju stołowego do salonu i nieco przycichły. Uznała więc, że oficjalna część spotkania dobiega końca. Przemknęła przez pokój do jadalni. Mimo że w sypialni była zaledwie kilka minut, całe jedzenie zniknęło. Ze stołu sprzątnięto wszystko oprócz dzbanków z kawą i talerza słodkich bułeczek. Wzięła sobie jedną, nalała kawy, klnąc, że nie ma mleczka, i skierowała się do kuchni. Tam niespodziewanie natknęła się na Annę.

- Jesteś nareszcie.

Matka Adama była wyraźnie podenerwowana.

- Musiałam się przebrać.

- Długo to trwało.

Ton jej głosu tak bardzo przypominał w tym momencie ten, którego używała jej Zastępcza Matka, że odruchowo skuliła ramiona w oczekiwaniu na cios.

Anna zauważyła ten odruch i zrobiło się jej żal drobnej dziewczyny. Ale nie miała wyboru.

Musiała. Zebrała w sobie wszystkie siły i zmuszając się do obojętnego tonu, zadała pierwszy cios.

- W domu dziecka też się wszędzie spóźniałaś? Nina powolnym ruchem odstawiła talerzyk na stół.

- Nie. Ale to było dawno temu, widocznie od tego czasu zdążyłam nabrać złych manier. -

Podświadomie wiedziała, że powinna ostro się bronić.

- Może jednak wcale nie tak dawno temu?

- Co pani ma na myśli?

- Och, nic takiego, w końcu to nic złego, że nie miałaś rodziców. Przecież to nie twoja wina. Ale sądziłam, że oprócz innych rzeczy nauczono cię tam nieco... dyscypliny.

Nina skamieniała.

- Co pani ma na myśli? - Odwróciła się do matki Adama, resztkami sił nie pozwalając ciału, by drżało. - Miejmy to za sobą. Proszę mówić. -Głos brzmiał jednak zadziwiająco spokojnie.

- Czy Adam wie?

- O czym?

- Och, przestańmy udawać... O tym, jak bujną masz przeszłość, moje drogie dziecko.

Wszystko wywróciło się jej w środku do góry nogami. Wiedziała, że Anna mówi o szpitalu. Albo, je-

śli ktoś woli: o ośrodku. Umieszczono ją tam po rozprawie sądowej. Spędziła w nim ponad rok.

- Wie tyle, ile sam uznał za stosowne.

- I tyle, ile zechciałaś mu powiedzieć, prawda?

- Nie - zaprzeczyła - ale też nigdy nie przypuszczałam, że to będzie miało znaczenie dla innych. Zresztą to raczej nie pani sprawa.  
- Ależ moja. To mój syn. Teraz już też powinnaś wiedzieć, jakie to ma znaczenie. Problem w tym, co z tą wiedzą zrobisz.  
- To nie ja walczyłam o ten związek i pani dobrze o tym wie. A to, co pani teraz robi, nie jest w stanie zranić mnie bardziej niż dawne przeżycia.  
To mówiąc, wyszła z kuchni, nie oglądając się za siebie.  
Anna patrzyła na zamknięte drzwi, pełna podziwu dla Niny.  
Gdyby nie ta sytuacja, pomyślała, bardzo bym chciała mieć cię za synową. Jesteś o niebo silniejsza niż Adam.

## ROZDZIAŁ 21

Nina ledwo weszła po schodach do swojego pokoju. Wtoczyła się jak pijana do łazienki, oparła o sedes i wymiotowała.  
Pół godziny później siedziała na tylnych schodach domu, prowadzących do ogrodu. Otuliła się grubym polarem Adama, sięgającym połowy uda. Oddychała wolno i głęboko, aż żołądek zupełnie się uspokoił.  
Co ona sobie myślała? Zachowywała się jak głupiutka dziewczica, która chciała się kochać, a zapomniała, że przy tym musi stracić cnotę.  
Parsknęła śmiechem.  
Nawet nie pamiętała czasów, kiedy była dziewczicą. Miała wątpliwości, czy kiedykolwiek nią była.  
Kiwała się w przód i w tył, jak kiedyś. Dawno, dawno temu.  
Wiedziała, że jest daleko od tego, co przeżyła jako dziecko. Ale też miała nadzieję, że nigdy nie przyjdzie jej wracać do przeszłości. Oczywiście, jak na złość była z mężczyzną, który postanowił bawić się w politykę i w dodatku wcale nie miał zamiaru jej o tym uprzedzić.  
Kochał ją. Wiedziała o tym.  
Ona jego też, choć była to miłość wypracowana cierpliwością i poświęceniem, a nie sumą bodźców i pełnego zrozumienia. To jednak mogło nie wystarczyć. Zwłaszcza że bardzo dokładnie zdawała sobie sprawę, co chce dać jej do zrozumienia Anna. Ona wiedziała. I w dodatku więcej niż Adam, a to nie wróżyło dobrze.  
Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Ile razy w życiu jeszcze przyjdzie jej zmierzyć się z tym, co już dawno minęło? Miała wrażenie, jakby nosiła tatuaż, którego nie można usunąć żadnym sposobem.  
Szpital, do którego trafiła na zdecydowany wniosek lekarzy rozmawiających z nią po ucieczce z domu dziecka, nawet nie wydawał się taki zły. Tylko te kraty w oknach. Mimo to była przerażona, gdy skierowano ją na oddział ostrych przypadków. Panowały tam surowe warunki, ale ona nie szukała komfortu i prawdę mówiąc, pod tym względem było jej wszystko jedno. Tylko te dziewczynki, wszystkie w zbliżonym do jej wieku, siedzące na twardych krzeselkach lub leżące na podłodze. Niektóre ciche i nieruchome, inne jęczące, skomlące, turlające się bez ładu. Przerażało ją to, ale w pewien perwersyjny sposób, gdzieś w środku, pocieszało. Nareszcie nie była sama. Nie była inna.  
Patrząc w okno zamaskowane metalowymi prętami, wypatrywała promieni słońca, czekając, aż kiedyś się ono opamięta, rozpozna ją. Na nowo zaświeci pomarańczoworóżowym blaskiem.  
- Boisz się? - usłyszała za plecami.  
Czarnowłosa blada dziewczyna machała ramionami, jakby były skrzydłami trzepoczącego się kruka.  
- Nie - szepnęła Nina.  
- A właśnie, że się boisz.

Ona naprawdę zmieniała się w lśniącego czernią ptaka.

Nina pokręciła przecząco głową i uśmiechnęła się dziwnie lekko.

- Boisz się! Boisz! - krzyknęła tamta, chcąc jej nakazać strach, jakby od tego zależało jej życie.

Ale Nina już wyszła poza własny horyzont.

Nikt mnie tu nie zna, myślała, odprężając się coraz bardziej, nie wiedząc nawet, że tak działają też leki.

Koniec z życiem o niezrozumiałych regułach.

Przyszli po nią. Zmęczeni długą i niebezpieczną drogą, rozglądając się z niepokojem. Ale przyszli. Otoczyli szczelnym wianuszkciem barwnego korowodu. Sekretni i wspaniali towarzysze jej wewnętrznej samotności. A im większa była jej samotność, tym wspanialszy i kolorowy był ich wspólny świat.

Znowu byli roześmianymi, złocistobrzoskwiniowo-wymi istotami, opiekuńczymi duchami wszystkich potrzebujących. Była pośród nich monarchinią, królową elfów. Jej świat kiełkował świeżością, soczystością zieleni, feerią barw. Już leciała w przestworzach, na nowo urosły jej skrzydła, gdy rozległ się pisk i wrzask przerażenia z elfich gardeł.

- Jak się czujesz? - Lekarka uważnie patrzyła jej w twarz.

Nie mogła nic powiedzieć, czuła tylko lekkie kołysanie, a w uszach szum.

- Czego się boisz?

Poruszyła wargami, ale zapomniała ziemskiego języka, nie potrafiła wyjaśnić, że nie boi się wcale, że to pomyłka. Wszystko jednak zapadło się w sobie, straciło znaczenie.

Obok lekarki pojawiło się dwóch pielęgniarzy, wzięli chorą na ręce, a ją parzył każdy ruch. Zaczęła więc się w spazmach, wtedy faktycznie pękła w niej spychana w głąb żyłka strachu. A potem zapadła ciemność, bez jednego nawet świetlika dającego sygnał, że przyjaciele o niej nie zapomnieli, tkwią jedynie przyczajeni, wypatrując chwili odpowiedniej na ratunek ich stwórczym.

Ocknęła się w łóżku, owinięta w kokon chłodnego prześcieradła na nagim ciele. Chciała podnieść rękę, ale trzymały ją nie tylko zwoje materii, lecz także skórzane pasy. Gdy to odkryła, w płucach zabrakło powietrza, łapała więc oddechy jak ryba wyrzucona z wody. Rozpaliło ją to tak bardzo, że nie tylko ogrzała prześcieradła, ale wręcz zaczęła się pocić. Wtedy przyszli.

- Jak się czujesz?

Lekarka miała prawdziwą troskę w oczach.

- Lepiej.

Nie kłamała. To ją zdziwiło, że nie musi.

Kobieta pokiwała głową. Wierzyła jej.

Odwijali ją powoli, a ona patrzyła, jak spod zwojów wyłania się pojemnik z wodą, umieszczony tuż pod szyją, i gumowy termofor w nogach. Trzy pasy przyciskały ją do łóżka na wysokości piersi, brzucha i kolan. Gdy ją podnieśli, ledwo była w stanie ustać na nogach, choć czuła się lżej.

- Czy teraz będziesz mogła ze mną rozmawiać? - spytała lekarka.

Nina spojrzała na nią tak naprawdę pierwszy raz. Mimo że widziała ją wcześniej chyba nawet kilka razy.

-Tak.

Zabrali ją do niewielkiego, skromnie urządzonego pokoju, a w tym czasie ktoś inny przypilnował, by zwolniły się prysznice. Gdy weszła pod ciepły tusz, nadzorowała ją jakaś kobieta siedząca nieopodal z dziwnie zadowolonym wyrazem twarzy.

Nina nie wiedziała, co to oznacza.

- Dobrze sobie radzisz - powiedziała tamta, a ona zrozumiała, że miała to być pochwała skierowana właśnie do niej.

Zdziwiła się.

Posłusznie jednak wytarła się wielkim, pucha-tym ręcznikiem i włożyła koszulę w niebieskie kwiatki, a na to ciężki szlafrok frotte.

Siedziała potem naprzeciwko lekarki.

- Przyjaciele o ciebie pytali.

- Trzymajcie ich ode mnie z daleka.

Te słowa zaskoczyły ją samą. Chciała ich chronić przed sobą. Wiedziała, że tego nie wymyśliła. Do głosu doszło uczucie, które było przeraźliwie logiczne. Mogła nim przekonać cały świat. Ale nie siebie. Im bardziej jednak traciła wiarę we własne pragnienia, tym mocniej ich broniła. Przed samą sobą.

- Nie musisz ich chronić.

Wciągnęła głośno powietrze, patrząc na kobietę w białym fartuchu.

- Nie dzieje się im krzywda. Czekaają na ciebie.

Rozpląkała się.

Pierwszy raz od bardzo dawna, prawdziwie gorącymi łzami, mającymi moc oczyszczania. Przyjechali.

Patrząc na nich, lekarka miała wrażenie, że boją się bardziej od niej. Mimo to patrzyli jej prosto

w twarz z dziwną hardością i zawziętością. Wiedziała, że chcą udowodnić jej, iż potrafią, chcą, a nawet że mogą zrobić dla Niny więcej niż ona. Uśmiechnęła się.

Niezależność dziecka, szczególnie po przejściach, zawsze ją fascynowała i budziła podziw.

Gdyby ona mogła wykrzesać z siebie taką siłę...

Wzdrygnęła się mimowolnie, świadoma, jak wiele wcześniej trzeba jednak znieść, by osiągnąć ten stan świadomości i opanowania.

Lekarka na obliczach chłopców widziała bezpośredniość, a także pewnego rodzaju zaciekłość i gotowość do walki. Nawet tu, gdzie wszyscy chcieli pomóc Ninie, byli gotowi razem stanąć w jej obronie.

Pierwszy, niepytany, odezwał się Marek. Czuł się z ich trójki najbardziej dorosły. Miał siedemnaście lat. Właściwie za kilka miesięcy kończył osiemnaście.

- Pani doktor, czy ona wyzdrowieje?

Przez chwilę ważyła słowa, nie chcąc tracić w nich sprzymierzeńców. Skoro miało to cokolwiek dać, powinni wiedzieć prawdę.

- Jeśli ma wyzdrowieć, wszyscy musimy być cierpliwi i bardzo, ale to bardzo się starać. To wcale nie będzie łatwe.

Młodszy chłopak parsknął.

- Jakby do tej pory było łatwo. Bułka z masłem - mruknął, a lekarce drgnęły na tę ironię kąciki ust.

- Na czym powinniśmy się skupić? - zapytał starszy.

Zdziwiła się. Był taki rzeczowy, przechodził od razu do sedna. Chciał planu. Rozumiała go.

Punkt zaczepienia, wytyczenie drogi, na której końcu byłby jasno postawiony cel. Mądry chłopak.

-Posłuchajcie... Postaram się mówić jasno. Przyczyny stanu Niny wcale nie muszą być takie oczywiste, jak się to wydaje. - Machnęła ręką z niecierpliwością, widząc gest Jacka. -

Zaczekaj, proszę. My widzimy świat trochę inaczej niż ona. To, co nam wydaje się oczywiste, wcale nie musi takie być w jej świecie. Być może ostatnie wydarzenia były jedynie kroplą przepełniającą kielich. Może wszystko zaczęło się z innego powodu, tylko Nina świetnie umiała sobie radzić z dwoma światami, w których żyła. - Wpatrywała się w nich uważnie. -

Rozumiecie, co mam na myśli?

Obaj skinęli głowami. Ich czoła przecinały bliźniaczo podobne zmarszczki.

Zauważyła pewne wahanie w twarzy Jacka.

- Chcesz o coś zapytać?

Zarumieniał się, ale w końcu przemógł wstyd.

- Te wizyty... My też ich potrzebujemy.

- Wiem - powiedziała. - Wszyscy tego potrzebują. I ona, i wy, i my tutaj.

Dwaj chłopcy odetchnęli.

Ale po ich pierwszej wizycie, chłodnej, jakby prawie się nie znali, Nina zamknęła się w sobie. Lekarze przesuwali się przed jej oczami, kiwając głowami. Widziała całe ich tabuny, choć w rzeczywistości znana jej była tylko lekarka i jeden profesor. Kłuli ją igłami, męczyli sondami próbującymi znaleźć źródło, sekretne miejsce, gdzie wszystko miało swój początek.

Wciąż miała sny, że ktoś wchodzi w jej wnętrze, znajduje drzwi i dziurkę od klucza, dziwnym trafem mając go w dłoni. Depcze jej wszystko, bo przecież nie widzi, ile tam leży snów niepodniesionych. Aż

w końcu śniła, że weszli w kilkoro z mopami i wiaderkami śmierdzącymi wybielaczem. A potem myli i szorowali do połysku. Kolory krzyczały, niktąc i blednąc pod żrącym środkiem, a ona wiła się i jęczała. Boże! Jaki to był ból!

Potem milczała przez kilka tygodni.

Nie знаła słów.

Lekarka ciągle ją tak męczyła, pokazywała jakieś obrazki z czarnymi robaczkami i pytała:

- Nina, co to za słowo?

- Nina, czy znasz to słowo? Słowo, słowo, słowo.

Co to jest?

Przebłyski myśli nadlatywały, niktęły szybko. Nic nie wiedziała.

Na kolejnej sesji padło TO pytanie.

- Opowiedz mi o swoim świecie? - Ciemne oczy wpatrywały się uważnie w jasne.

Nina parsknęła z wyraźnie słyszalną pogardą, sama dziwiąc się, że ma w sobie tyle odwagi.

Jednak razem z nią pojawiła się też znana z innych takich sytuacji agresja. Na nowo zalała jej wątłe ciało falą dziwnego gorąca. Uczucie nie mieściło się już w cielesnej powłoce i szamotało rozpaczliwie, chcąc znaleźć ujście.

Urga zaśmiała się nad uchem Niny.

- Ona myśli, że coś jej powiesz!

- Dlaczego wciąż jest ci TAM lepiej niż TU? - próbowała dociekać lekarka.

Panika narastała jak dmuchany balonik, który, wciąż pompowany, musiał zaraz pęknąć.

- Mmmmmmm - zaczęła mruzczyć, wydechając powoli powietrze, uwalniając wraz z nim emocje.

- Mmmmmmm. - Pomruk przeradzał się w krzyk, a jej dłonie wczepiły się w poręcze krzeselka. Wbita paznokcie w miękkie sosnowe drewno, łamiąc je wszystkie, lecz w ogóle nie czując bólu.

- Nina! - Lekarka klasnęła w dłonie.

Ale jej już TU nie było. Porwały ją barwne przyjaciółki, unosząc ponad strach i bezsilność. Fruwała z nimi w obłokach, śmiejąc się cichutko z fortelu, jaki zafundowała ludziom, znikając nagle.

Lekarka, patrząc na pacjentkę, sięgnęła po słuchawkę.

Nina, odprężona, przebywała we własnym świecie, porzuciwszy zdradliwe ciało.

Lekarka westchnęła. Nie będzie łatwo sprowadzić ją z powrotem na ziemię. Widziała ten moment. Załedwie sekundę, gdy Nina odwróciła się od niej i uciekła, ile sił w nogach.

Unosząc na wątłych ramionach cały strach, zawarty w prostej odpowiedzi na dwa krótkie zadane przez nią pytania.

Wiedziała już, że granica została wytyczona niezwykle blisko i trzeba jedynie czasu, by ją przekroczyć. Wtedy jednak ta dziewczynka będzie musiała znaleźć w sobie siły, by walczyć.

Ale najpierw musiała przyznać się przed sobą, że świat, w który ucieka, nie istnieje.



Nina ocknęła się na podłodze, siedząc w kącie sali, przytulona do załamania zimnych ścian, pomalowanych olejną farbą. Widziała otaczające ją dziewczęta i młode kobiety. Jedna z nich zaczęła przesuwając się ku niej, pełzną na czworakach.

- Nie! - wrzasnęła Nina, bojąc się dotyku obcych rąk, równie chorych jak jej własne.

-Nie! Nie! Nie!

Odblokowało się jej coś w gardle, kluska, która więziła dotąd wrzask, spadła z przełyku do żołądka i teraz Nina mogła krzyczeć i krzyczeć.

-To lepsze niż apatia. - Lekarka uśmiechnęła się, stając na progu sali. - Może jednak nam się uda? - Mrugnęła do stojącego obok pielęgniarskiego.

- Zastrzyk? - zapytał. Pokręciła przecząco głową.

- Nie trzeba. Wystarczy izolotka.

Leżąc w nieznanym jej łóżku o obcym zapachu, w którym nie wyczuwała woni własnego potu, mimo koszuli nocnej czuła się zupełnie naga.

-Jak mogłaś nas zostawić! - usłyszała nagle Urgę.

Jęczała teraz z poczucia winy.

- Runęłam w dół i cała się poobijałam! Zabrałaś swoją dłoń! I to kiedy! W podwójnym korkociągu! Wiesz, jaki to ból? - Pokazywała teraz na swym pięknym brzoskwioworóżowym ciele krwawe wybroczyny.

- Jak to możliwe? - pytała Nina przerażona. -Przecież TAM nikomu nie dzieje się krzywda! Nikt nie choruje! Nie może! Nie odnosi się ran!

Urga chlipnęła, a po policzkach elfa popłynęły krystaliczne łzy.

-To przez ciebie! Wpuszczasz do nas obcych! Wprowadzają swoje porządki!

- Nieprawda! - Nina wpadła w panikę. - Nieprawda!

-Jeszcze tego nie widzisz? Wszystko obraca się w ruinę! - krzyczała Urga. - Naprawdę nie widzisz?

I rozplynęła się w świetle ziemskiego słońca, przebijającym przez szybę okna.

Nina płakała.

Nie należała już nigdzie. Nigdzie nie czuła się pewnie.

I nagle olśniło ją. Musi się na trochę ukryć. Przycupnąć i uśpić czujność ludzi w białych fartuchach.

Dokładnie tak samo, jak robiła to już kiedyś i nikt, ale to absolutnie nikt jej o nic nie podejrzewał. Wystraszyła się jednak teraz tego pomysłu. Czuła, że powinien jej ktoś pomóc. Czy to nie mama prosiła ją, by tak robiła, gdy czuje, że sama już nie da rady?

Sturlała się z łóżka i choć ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa, wyginając się, jakby były z gumy, doczołgała się do drzwi.

Uniosła dłoń, by w nie zapukać, lecz miała w sobie jedynie tyle siły, aby oprzeć o nie kłykcie.

Zebrała w sobie ostatek silnej woli i jak w zwolnionym tempie odsunęła rękę. Drżała z emocji, tocząc walkę, ale w końcu ten jeden, jedyny raz uderzyła w drzwi.

Pielęgniarka właśnie niosła jej kolację. Gdy stanęła w progu, ujrzała dwoje jasnych, intensywnie wpatrujących się w nią oczu.

- Nina? Co się dzieje?

Ale jak odpowiedzieć, gdy słowa tracą znaczenie i uciekają w tył głowy, umykając przez siebie tylko znaną szczelinę?

Mogła tylko wykonywać nieporadne ruchy ciałem, a strach wciąż się wzmacniał.

- Zaczekaj - powiedziała pielęgniarka miękko. - Wytrzymaj jeszcze chwilę.

A wewnętrzny świat Niny grzmiał coraz bardziej, chcąc ją za to ukarać.

Jak to? - myślała jeszcze. - Przecież to ja was stworzyłam!

Igła wbijana w ciało była wybawieniem.

Rano szpital był inny. Widziała go bowiem po raz pierwszy świadomie, choć była w nim tyle czasu. Ciekawa wydała się jej nawet podłoga w świetlicy.

To jest drewniany parkiet, myślała. Pełen szczelin. Nie tak jak linoleum w moim pokoju. Wszystko miało jakiś sens. Nawet słowa.

Sama weszła do łazienki. Załatwiła się, a potem z lubością odrywała kolejne listki papieru toaletowego. Umyła ręce ciepłą wodą i wytarła w wiszący obok miękki ręcznik. Wszystko było rzeczywiste i namacalne.

Podeszła do pielęgniarsza.

- Jestem brudna.

Zabrakło jej jednak odwagi na resztę słów. Te bowiem miały podwójne znaczenie. I ona to wiedziała.

- Chcesz się wykapać? - zaryzykował. Skinęła głową, a on się uśmiechnął.

Coś podskoczyło jej w środku. To była nagroda! Zrobiła coś dobrze!

Była z siebie tak zadowolona, że nie przeszkadzała jej podczas kąpieli nawet obecność pielęgniarki siedzącej nieopodal.

Miała wrażenie déjà vu.

Uśmiechnęła się. Znaczenie tego słowa też знаła.

Cieszyła się jednak przedwcześnie. Popelniła błąd, pozwalając rozluźnić się członkom.

Wszystkie prawdy ponownie zostały zamazane. Nie wiedziała, czy stoi, czy leży; a może siedzi? Skąd przyplływają dźwięki i światło boleśnie kłujące ją w oczy, a nawet w zamknięte powieki?

Straciła kontrolę nad częściami ciała. W końcu przyszli - ci w tym czymś białym - i wybawili ją, wlewając w żyły spokój przynoszący sen.

I znowu siedziała w gabinecie lekarki. Rozmawiały długo, aż zaczynała odczuwać fizyczne zmęczenie.

- Za nic, co się stało, nie ponosisz winy - mówiła lekarka. - Ajji za to, co się z tobą dzieje.

Wstała, by zasygnalizować koniec sesji.

- Jesteś już blisko, Nina. Potrafisz głośno powiedzieć, czego się boisz. A to było najtrudniejsze, co musiałaś dotąd zrobić.

Dotknęła jej ramienia.

- Kiedy wymyśleni przez ciebie przyjaciele znowu się pojawią, powinnaś im to śmiało powiedzieć: Jesteście, bo tak chcę, nie możecie mnie skrzywdzić, a jeśli zechce, znikniecie. Nina otrząsnęła się z obcego dotyku.

- Przepraszam - powiedziała lekarka, widząc cień strachu na jej twarzy. - Nie chciałam cię dotknąć, zanim będziesz gotowa.

- Albo gotowana! - Nina zaśmiała się nieoczekiwanie, nawet dla siebie samej.

Lekarka niemal siłą zmusiła się do zgaszenia wyrazu triumfu na twarzy.

W końcu nadszedł ten dzień. Pewnego ranka Nina wstała z łóżka i usiadła w pościeli, zdziwiona.

- Już tak późno?

Słońce było bardzo wysoko. Spojrzała na dłonie. Takie blade. Ktoś wszedł, odwróciła się więc do niego. Pielęgniarka, widząc przytomny wzrok, uśmiechnęła się szeroko.

- Dzień dobry - spróbowała.

- Dzień dobry. - Nina ze zdziwieniem słuchała, jak brzmi jej głos. Nic nie grzmiało, nie zawalił się świat.

- Chcesz się przebrać? Dziewczyna wciągnęła powietrze nosem.

- Śmierdę.

Wstyd. Rozlał się po ciele. Panika.

- Temu możemy szybko zaradzić - powiedziała szybko pielęgniarka, widząc, że Nina znów ucieka. - Chodź.

Patrzyła na wyciągniętą dłoń i przez chwilę szukała pułapki. Dotknęła jej palcem, ale nadal nic się nie stało.

- Możesz iść?

Stanąła niepewnie na nogach, kolana ugięły się mocno. Dziwne.

Zaśmiała się, bo było to trochę zabawne. Łaskotało.

Pielęgniarka nacisnęła guziczek obok jej łóżka. Idąc do łazienki, spotkały na korytarzu panią doktor.

- Witamy!

Nina podniosła głowę. Miała czyste spojrzenie.

- Wiem, co to prawda!

Prawdą było, że musi wyzdrowieć. Lekarka objęła ją i nie bolało.

- Zawsze wiedziałas.

Chciała. Dawno już zapomniane uczucie odżyło. Z pasją nieznaną sobie dotąd na nowo poznawała kolory, kształty, słowa, znaczenia. Gdy wszystko zaczęło być bardziej stabilne i nie chybotać pod każdym, nawet najmniejszym naciskiem, zaczęła patrzeć ludziom w oczy. Potem przyszła rozmowa, nawet zaczęła słuchać. Nieporadnie, jak dziecię zaczynające dopiero chodzić. Podejmowała małe decyzje.

Pójdę do łazienki, myślała, a potem do świetlicy. Obejrzę film.

Tak robiła i z zadowoleniem odnosiła sukcesy.

Aż pewnego dnia sama poszła do dyżurki i patrząc odważnie na pielęgniarkę, oświadczyła:

- Chcę pójść do pani doktor. Pielęgniarka spozrzała na nią uważnie.

- Teraz nie możesz.

Konsternacja trwała tylko chwilę. Odmowa. Co teraz? Zebrała się w sobie.

- A kiedy mogę?

- Jak się zapiszesz. Teraz jest już za późno. Jest po dwudziestej. Wizyta może się odbyć jutro.

Widziała na sobie uważny wzrok. Wiedziała: to test.

- Dobrze. Poproszę. Pielęgniarka uśmiechnęła się do niej.

Trzy miesiące później Nina opuściła szpital. A ją opuściła magiczna kraina, zatraskując przed dziewczynką swoje drzwi.

## ROZDZIAŁ 22

Na drugi dzień, mimo protestów Adama, pojechała do firmy. Weszła do swojego gabinetu i włączyła komputer. Cały czas miała w głowie obraz Anny i jej spojrzenia. Położyła się z nim spać i wstała rano, mając go nadal przed oczami. Dzisiaj jednak zamierzała poświęcić się zaległościom. Kierownicy działów byli gotowi do złożenia raportów i jedynie czekali na jej aprobatę.

Praca zadziwiająco dobrze wpłynęła na jej samopoczucie. Pograżona w notatkach, biegnąc ze spotkania na spotkanie, po raz pierwszy od kilku dni miała szansę nie myśleć o tym, z czym już niedługo przyjdzie się jej zmierzyć. Późnym popołudniem, dopijając swoją zwyczajową kawę, z błogością odchyliła się na obrotowym krześle i wpatrzyła w widok za oknem. Miasto oblekała już ciemność, ale światła pięknie odbijały się w miękkich śniegowych czapach przykrywających dachy niższych budynków. Dochodziła szósta i należało ruszać do domu. I wtedy Nina po raz pierwszy pomyślała o tym z niechęcią. Skrzywiła się, odstawiając ulubioną filiżankę z nadrukowaną reprodukcją „Irysów” van Gogha. Odpędzając niechciane uczucie, gwałtownie wstała z fotela

i energicznie zaczęła wrzucać papiery do plastikowych teczek. Metodycznie układała na biurku wszystkie drobiazgi, aż zapanował na nim doskonały porządek. Gdy to zauważyła, ręce opadły jej bezwiednie wzdłuż ciała. Wiedziała, co to oznacza. To był pierwszy symptom, że sobie nie radzi. Z wahaniem wzięła do ręki słuchawkę telefonu. Wystukała automatycznie znajomy numer, ale po trzecim sygnale przerwała połączenie, dziękując w duchu, że nikt nie zdążył odebrać. Robiła tak za każdym razem. Dzwoniła do niego tyle razy, ale nigdy nie zdobyła się na odwagę, by doprowadzić do rozmowy. On zresztą też nie dzwonił.

Połączyła się z innym, dobrze znanym od dwóch lat numerem.

- Dobry wieczór. Czy doktor Chalińska ma jutro jakąś wolną godzinę? Mówi Nina Kowalik. Tak, tak, może być nawet koło południa. Oczywiście, w razie czego zadzwonię, jeśli nie dam rady. Dziękuję.

Przynajmniej tyle. Przynajmniej już nie udawała, że musi sobie ze wszystkim radzić sama.

Adam wrócił do domu późnym wieczorem. Zobaczyła, jak powoli wjeżdża swoim samochodem na podjazd, i po tym już poznała, że musi być bardzo zmęczony. Otworzyła mu drzwi, gdy tylko postawił nogę na schodach. Uśmiechnął się, ale wyglądał blado. Nawet gdy ją pocałował, myślami zdawał się być zupełnie gdzie indziej.

- Jak ci minął dzień?

- Znośnie.

Postawił na podłodze teczkę i powoli zdejmował płaszcz.

- Byłem dziś na obiedzie z premierem, a teraz

wracam ze spotkania z przedsiębiorcami. Zrobili coś na kształt konferencji. -1 jak?

- Sam nie wiem. Dużo gadania, dużo pytań. Na razie trudno mówić o efektach. Trzeba czekać.

W ten sposób pośrednio przyznał się, że go to męczy. Był człowiekiem czynu. Nie znoślił czekać i to być może najbardziej mu teraz doskwierało. Gdy coś się działo i od razu widział efekty, był w swoim żywiole. Teraz nadchodził najtrudniejszy moment. Wiele pracy, a mało natychmiastowych wyników. Cóż. Po raz pierwszy od kilku tygodni Adam zstąpił na ziemię.

- Bardzo mi przykro. Może w takim razie zjemy coś dobrego i się zrelaksujesz, hmm?

Podniósł głowę, jakby dopiero teraz poczuł zapach dolatujący z kuchni.

- Chętnie.

- W takim razie zrzuć z siebie ten sztywniacki garnitur i zapraszam do jadalni.

Tak naprawdę nie zrobiła do jedzenia nic wykwintnego. Wiedziała, że po tych wszystkich restauracyjnych daniach Adam najchętniej sięga po jej prostą kuchnię. Risotto z kurczakiem i żółtym serem z pewnością powinno poprawić mu humor.

Nakryła dębowy, pamiętający jeszcze czasy pierwszej wojny światowej stół, wygładzając dłonią kremową koronkę. Postawiła dwie świece o zapachu jabłka z cynamonem i pływające potpourri. Z uśmiechem na ustach poszła po jedzenie. Gdy wróciła, Adam już siedział przy stole, przebrany w luźne sztruksy i T-shirt z długim rękawem. Takim lubiła go najbardziej. Wyglądał o dziesięć lat młodziej i jakoś tak bardziej... dostępnie. Zauważyła, że zdążył też otworzyć białe wino. Włączyła muzykę i usiadła naprzeciwko niego.

- Bardzo dobry pomysł z taką kolacją. Nawet nie wiesz, jak mi tego ostatnio brakowało.

- Mnie też. Jesteś tak zajęty i zaangażowany w kampanię... Czasem mam wrażenie, iż reszta świata mogłaby w ogóle nie istnieć - powiedziała z wyraźnie wyczuwalną pretensją w głosie.

- Dobrze wiesz, że to tylko chwilowe.

- Właśnie nie wiem. Adam, skąd miałabym wiedzieć? Przecież nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Dla ciebie to coś normalnego, dla mnie nie. Zapomniałeś chyba, że pochodzimy z dwóch różnych światów

Zmarszczył brwi i opuścił wzrok, jakby chciał ukryć przed nią własne myśli. Dostrzegła to jednak, wyczulona ostatnimi czasy na reakcje ludzi dotyczące jej osoby.

- Adam? - Złapała go za rękę.

- Słucham?

- Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

- Nie, nie.

- Na pewno?

-Tak... Na pewno. Jedz, wystygnie ci. - Podniósł kęs do ust. - Och... - wymruczał z zadowoleniem. - Nina, to jest wspaniałe.

Wiedziała, że ucieka. Ale tym razem postanowiła dowiedzieć się tego, czego i tak łatwo było się domyślić.

- Rozmawiałaś z matką, prawda?

- Jak co dzień ostatnio.

- Adam, nie udawaj.

Odłożył widelec i spojrzał na nią.

- A jakie to ma znaczenie, Nina?

- A nie ma?

- Dla mnie nie.

- Czyżby?

- Możesz być tego pewna. Znam cię. To wystar-

czy. A moja matka musi się pogodzić z faktem, że nie wszystko będzie układać się po jej myśli.

- Dużo ci powiedziała? - Nina miała wrażenie, że jedzenie podchodzi jej do gardła.

- Niewiele zdążyła. Oświadczyłem jej, że jeśli będziesz chciała, sama mi wszystko opowiesz. Z naciskiem na: jeśli będziesz chciała.

Opuściła głowę.

- Ale ona może mieć niestety rację.

- To znaczy?

- Dużo o tym myślałam - odezwała się w końcu, szykując się do przekazania Adamowi złych wieści. - Obawiam się, że powinieneś jeszcze przemyśleć kwestię naszego małżeństwa.

- Ja to zrobiłem dawno temu, Nina. I proszę, nie wracajmy do tego tematu. Przynajmniej nie w tej formie. - Spojrzał na nią znacząco i jak gdyby nigdy nic wrócił do jedzenia.

Za nic na świecie nie przyznałby się jej, że od dawna wie więcej, niż ona przypuszcza. Ta wiedza pozwoliła mu znaleźć do niej klucz, gdy wracała do zdrowia. Pozwoliła mu też zbliżyć się do Niny na tyle, by w końcu zgodziła się mu zaufać. Mieli się pobrać. Nie zamierzał tego psuć.

Nina, stojąc w kuchni, zgarniała resztki z talerzy do kubła na śmieci. Rozmowa wcale nie przebiegła po jej myśli. Musiała na nowo zebrać siły, bo teraz było trudniej, gdy minął element zaskoczenia i Adam zdążył uzbroić się w zestaw argumentów.

Wróciła do salonu energicznym kokiem, niosąc w ręku dwa pucharki z musem czekoladowym. Jedli przez chwilę w milczeniu. W końcu wstała, by otworzyć kolejną butelkę wina, i nalała je do kieliszków. Nerwowo popijała alkohol. W jadalni - ni panowała przygnębiająca cisza. Rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby ze zdziwieniem odkrywając, że skończyła się płyta. Włączyła następną, pod czujnym spojrzeniem Adama. Stojący w rogu drewniany zegar wybił kolejny kwadrans. Nina patrzyła na przesuwające się wskazówki, próbując znaleźć w ich obrazie punkt zaczepienia do dalszej rozmowy. Nie zauważyła nawet, kiedy po policzkach popłynęły jej łzy.

- Tak mi przykro, Adam.

Zerwał się z krzesła i podszedł do niej, otoczył ramionami.

- Nie, to moja wina. Powinieneś cię przygotować. Matka od razu mi mówiła, ale ty byłaś taka słaba, gdy zapadały decyzje. Chciałem ci tego oszczędzić. A potem... To jest jak lawina. Nie można jej powstrzymać. Teraz widzę, że powinieneś dać ci więcej czasu. Może jakoś przyzwyczaiłabyś się do tej myśli.

Podniósł ją nieco, by posadzić sobie na kolanach, a ona wtuliła się w niego w poszukiwaniu ciepła.

- Dlaczego cię to tak przeraża? - zapytał z troską w głosie.

- Nie wiem.

- Myślę, że wiesz.

- To wszystko jest zbyt skomplikowane.

- Rozumiem. To przez to, co przeszłaś w domu dziecka, prawda?

Zesztywniała momentalnie. -Co?!

- Nina, nie wiem dokładnie o wszystkim, ale musisz zdawać sobie sprawę, że patrzę na to przez pryzmat przyszłości. Dla mnie twoja przeszłość nie ma znaczenia. Tamten czas nie wróci.

- A dla mnie ma znaczenie, skąd jestem i dlaczego znalazłem się tu i teraz.

- Ale ja ci nie każę się tego wyrzekać. Chciałbym jedynie, byś skupiła się teraz na tym, jak bardzo cię potrzebuję. - Ninie wydawało się, że słyszy teraz głos jego matki. - Te wybory są dla mnie naprawdę ważne. Dla mnie, dla mojego ojca, dla wielu ludzi.

Przymknęła oczy, ciesząc się, że Adam nie może zobaczyć wyrazu jej twarzy. Przez moment pomyślała, że być może jest większą egoistką, niż sądziła, ale potem stwierdziła, że nie może pozwolić, by traktował ją jak dodatek do życia.

Nie był to jednak czas na radykalne rozmowy.

- Mam prośbę. - Uniosła głowę, by na niego spojrzeć. - Daj mi trochę więcej czasu. Muszę się do wszystkiego jakoś przyzwyczaić, przemyśleć...

- Dobrze. Możemy inaczej opracować plan na następne tygodnie. Dopiero za dwa miesiące będzie naprawdę gorąco.

Ninie zrobiło się niedobrze.

Wieczorem, leżąc w łóżku, wsłuchiwała się w ciszę domu, przerywaną co jakiś czas biciem stojącego w jadalni zegara. Adam zasnął niemal natychmiast, musiał być naprawdę bardzo zmęczony. Ale ona nie mogła zasnąć. Dlaczego była aż tak naiwna, by sądzić, że dalsze życie w odróżnieniu od dotychczasowego mogłoby być spokojne i pozbawione trudów? Kolejny raz dostawała prztyczka w nos. Przewróciła się na bok i spojrzała na śpiącego obok mężczyznę.

Czemu wszystko musiało się tak strasznie skomplikować?

Pogłaskała go po policzku, a on bezwiednie nakrył jej dłoń swoją.

Uśmiechnęła się, ale w środku nadal ścisnął ją strach.

L\_\_

36

## ROZDZIAŁ 23

- Opowiedz mi coś o swojej narzeczonej. Adam siedział w gabinecie siedziby partii ze swoim doradcą do spraw wizerunku.

- A co chcesz wiedzieć?

Artur, energiczny mężczyzna o nieprzesadnie opalonej twarzy, poruszył się na krześle.

- Słyszałem, że we wczesnym dzieciństwie została sierotą.

- To prawda. Przeszła przez rodzinę zastępczą i dwa domy dziecka. Potem razem z dwoma chłopcami z tego samego domu zdobyli w liceum stypendia naukowe, we trójkę studiowali na Politechnice Warszawskiej. Ich projekt nowoczesnego przedsiębiorstwa zdobył jakąś nagrodę i dzięki temu otworzyli firmę reklamową. Nina po śmierci chłopaków, którzy zginęli w górach, prowadzi ją do dziś. Zresztą tam się poznaliśmy, pamiętasz?

Adam miał nadzieję, że więcej szczegółów nie będzie musiał wywlekać na światło dzienne.

- Taaak... - Artur zastanowił się chwilę. - To nawet może się nam przydać. Osierocona dziewczyna kobietą sukcesu. Można by nawet zrobić wam tour po domach dziecka. Nina jest piękna, tablo-idom się to spodoba. Kto wie? Może nawet zaczną ją nazywać polską lady Di? - Zaśmiał się, wyraźnie zadowolony.

- Nie sądzę, by się na to zgodziła - powiedział ostrożnie Adam, mając jeszcze w pamięci wczorajszy wieczór.

-A to dlaczego? Mogłaby ci oddać kolosalną przysługę. To chyba niewiele, skoro ma wejść do takiej rodziny. Powinna ci pomóc.

- Może nie być gotowa.

-Ale o czym ty, na litość boską, mówisz? Jak to niegotowa? Czy to naprawdę tak wiele? Przecież sama była w domu dziecka. Chcesz powiedzieć, że nie jest czuła na los podobnych jej dzieciaków? Poza tym jakie to by miało przełożenie, gdyby na przykład odwiedziła miejsca, w których przyszło się jej wychowywać. Przecież pokazałaby tym dzieciakom, że też tak mogą. Stary! Nawet nie chcę myśleć, że tego nie wykorzystamy! Albo ty z nią pogadasz, albo ja to zrobię. A wiesz, że potrafię być przekonujący.

Adam skinął głową.

- Ja to zrobię. Daj mi tylko trochę czasu.

- Trochę. Wiesz, że czas ucieka. A właśnie. Kiedy planujecie ślub? Myśleliście już może o dzieciach?

Adamowi zakręciło się w głowie i pomyślał przez chwilę, że skoro on jest wytracony z równowagi, to Nina faktycznie musi się czuć tak, jakby zupełnie straciła grunt pod nogami. Nina zaparkowała przed grubym murem okalającym cmentarz i niepewnie wysiadła z samochodu. Była piąta po południu, a zrobiło się ciemno jak w nocy. W powietrzu już dawał się jednak wyczuć zapach obiecujący nadejście wiosny, choć po chwili z nieba popłynęły z wolna wielkie płatki śniegu.

Latarnie rzucały miłe żółte światło na dróżki między grobami, więc już spokojniejsza starannie odliczała alejki w poszukiwaniu właściwej. Bez trudu znalazła mogiłę matki. Była świeżo odnowiona, z prostą płytą, lśniąca czarnym granitem na tle białego puchu. Minęło już tyle lat, odkąd umarła, a Nina pamiętała wszystko, czego ją nauczyła, co mówiła. Nic jednak już nigdy nie będzie takie jak wtedy, gdy żyła.

Jej tożsamość na nowo potrzebowała mocnego filaru. Nie wiedziała, gdzie go szukać, dlatego przyjechała tu, by przypomnieć sobie, że są w jej życiu też i dobre wspomnienia. Musiała na nowo utkać mocną sieć, której nici znowu stawały się coraz cieńsze. Miała wrażenie, że jeżeli szybko czegoś nie zrobi, wszystko się rozerwie, a ona tym razem może sobie nie poradzić. Załkała cicho w rękaw, a ściśnięte gardło pozwoliło jedynie na nieokreślony, przytłumiony dźwięk, przypominający kwilenie dziecka.

Stała tak przez długą chwilę i zbierała siły. Mimo wszystko ta chwila słabości jej pomogła. Odwróciła się plecami do grobu i powoli odeszła w stronę bramy cmentarza.

Nie chciała jeszcze wracać do domu. Pojechała na Stare Miasto. Późnym wieczorem, gdy wszyscy pędzący dyrektorzy, bankowcy i Bóg wie kto jeszcze siedzieli już w swoich domach, Warszawa stawała się zupełnie innym miastem. Uliczki były bardziej poetyckie, oświetlone przytłumionym światłem latarni i blaskiem padającym z okien restauracji. Zewsząd dobiegał zduszony śmiech i niespieszne rozmowy, a stukot obcasów na nierównościach granitowej kostki odbijał się echem od potężnych murów kamienic. Oparła się o grubą barierkę nad szeroką dwupasmową ulicą i przez długi czas bezmyślnie wpatrywała się w sznur jadących Trasą W-Z samochodów. Westchnęła.

Kiedyś i tak trzeba było wrócić do domu.

Gdy w końcu zasnęła tej nocy, śniło się jej, że znajduje się w wodzie, płynąc wolno w ciemnym, nieprzyjaznym jeziorze. Wyciągała ramiona aż do bólu, ale brzeg zamiast się przybliżać, oddalał się coraz bardziej. W końcu, opadłszy z sił, dała się pochłonąć i woda przedostała się jej przez usta do płuc. Usiadła na łóżku, głęboko łapiąc oddech. Obok niej snem sprawiedliwego spał Adam.

Następnego dnia pojechała do pracy z bólem głowy. Weszła do swojego gabinetu i przejrzała leżącą na biurku pocztę. Wśród listów znalazła zaproszenie do udziału we władzach Fundacji Nadzieja. Już wiedzieli.

Droga Pani Kowalik.

W uznaniu Pani zasług na polu wspierania rozwoju młodej przedsiębiorczości... - pierwsze słyszała, przecież to ona kiedyś była tym młodym przedsiębiorcą, a nie fundowała stypendium - ... mamy zaszczyt zaprosić...

Nie chciało jej się tego nawet czytać do końca. Wiedziała, że nie chodzi o nią, tylko o Adama. Ci ludzie zdawali się wiedzieć o jego planach więcej niż ona.

Zgniotła list i wrzuciła do kosza.

281

Wymknęła się z pracy wcześniej. Gdy wróciła do domu, ostatnie promienie słońca zwiastowały nadejście wieczoru. Poszła prosto do ogrodu. Cały śnieg zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Był początek marca i grządki, uprzątnięte przez ogrodnika, pokazały prawdziwą architekturę ogrodu. Wciąż odkrywała w nim coś nowego. Alejkę albo ledwo wychylający z ziemi kwiat. Traktowała to jak małe prezenty, cieszące często bardziej niż cokolwiek innego. Wzdrygnęła się nieco, bo nadal było zimno. Niestety, na czytanie książki na powietrzu okazało się jeszcze stanowczo zbyt wcześnie. Skierowała się do domu.

-Tu jesteś! - Adam zaskoczył ją swoją obecnością. - Zastanawiałem się właśnie, gdzie zaginęłaś.

- Byłam w ogrodzie. Wcześniej wróciłam.

- Nie bez powodu...

- Czy o czymś zapomniałam? - Gorączkowo zastanawiała się, czy nie przegapiła znowu jakiegoś ważnego spotkania, na które mieli pójść.

Roześmiał się tylko i objął ją, zadowolony.

- Nie. Chciałem wreszcie spędzić z tobą trochę czasu. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Zagroziłem torturami, jeśli tylko ktokolwiek ośmieli się dzisiaj do mnie zadzwonić. Mam nadzieję, że uda się nam spędzić naprawdę miłą wieczór.

Patrzyła na niego zdziwiona, jednocześnie ciesząc się i nie wiedząc, co ma o tym nagłym pomysle sądzić.

- Idź się odświeżyć i za dwadzieścia minut zapraszam do jadalni. - Pocałował ją w policzek, jednocześnie popychając lekko w stronę schodów prowadzących na piętro.

Dołączyła do niego, gdy akurat nalewał wino do kieliszków. Stół nakryty był najlepszym obru-

sem jego babci, paliły się świece i Wojciech Majewski Quintet rozbrzmiewał piosenką Marka Grechuty Będziesz moją panią.

Wysunął krzesło przeznaczone dla niej i pocałował ją w czubek głowy.

Usiadł naprzeciwko, a ona przypomniała sobie ten wieczór, kiedy sama przygotowała kolację, by z nim poważnie porozmawiać. Czyżby lustrzane odbicie tamtej sytuacji?

Na talerzach jednak zamiast prostego risotto leżał wykwintny łosoś w maśle czosnkowym.

- Sam robiłeś? - zażartowała, znając odpowiedź.

- Przecież wiesz, że nie. Przywieźli przed chwilą. Zdziwiła się, bo nie słyszała żadnego samochodu na podjeździe.

- Wygląda świetnie - stwierdziła, zaczynając jeść. Przymknęła oczy z błogością, ponieważ ryba smakowała jeszcze lepiej, niż wyglądała.

- Chciałem cię przeprosić - powiedział nagle, pochylony nad talerzem. Uniósł wzrok, a w jego oczach widać było tak szczery żal, że roz płynęła się w środku. Chwyciła go za rękę, a on ucałował ją w dłoń. - Obiecuję, że nigdy już nie postawię cię przed faktem dokonanym.

Będziemy więcej rozmawiać. Tylko daj mi jeszcze jedną szansę. Bardzo się ode mnie oddaliłaś.

Teraz to ona opuściła głowę. Zachnął się.

- Nina, nie po to mówię teraz to wszystko, byś czuła się winna. Jeśli ktokolwiek powinien ponieść konsekwencje tego, co dzieje się między nami, to tylko ja.



Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, nie bardzo wiedząc, co mogłaby teraz powiedzieć. Adam wstał od stołu i uklęknął koło niej.

- Naprawdę chcę z tobą spędzić resztę życia. To dla mnie ważniejsze niż ta cała kampania... Ale już ją zacząłem i tego nie cofnę. - Zawahał się. - Proszę, spróbuj to zrozumieć. Jeżeli mogę naprawić to wszystko, co stało się ostatnio, zrobię to. Powiedz mi tylko jak.

Milczała chwilę, nim się odezwała:

- To dla ciebie ważne. I tak jest już za późno, by dyskutować na ten temat. Postaram się inaczej spojrzeć na to wszystko, choć nie ukrywam, że nie jest mi łatwo. Ale jesteś dla mnie ważny...

- Ty dla mnie też, wiesz o tym przecież. Kocham cię. Wziął jej obie dłonie w swoje ręce.

- Co ty na to, żebyśmy przyspieszyli nieco ślub? Może udałoby się zorganizować go już w czerwcu?

Zesztywniała. Na czerwiec przypadał szczyt kampanii.

Kiedy jednak spojrzała mu w twarz, pomyślała, że przecież to niemożliwie, by był aż tak wyrachowany. Po prostu nie chciał jej stracić.

Pocałowała go.

- Może by się udało - wymruczała. Uczucie niepewności jednak nie zniknęło.

Tej nocy kochał się z nią tak czule jak nigdy dotąd. Nawet na początku ich związku, gdy obchodził się z nią niezwykle delikatnie, nie był tak łagodny jak tej nocy. Poruszając się powoli, leniwymi ruchami muskał jej ciało, szepcząc, jak ją uwielbia. Nie wiedząc czemu, odebrała to trochę jak nagrodę za dobre zachowanie, ale nie żywiła za to do niego urazy.

Oboje sprawili, że teraz tak widziała ich związek. Wcale nie postępowała czasem lepiej od niego. Adam też był tylko człowiekiem i miał prawo popełniać błędy, zwłaszcza że ona od początku nie była

z nim do końca szczerą, ukrywając część prawdy o sobie.

Leżała, obejmując go mocno i przyciskając policzek do jego twarzy, gdy w końcu zasnął po długotrwałym maratonie.

Po kilku minutach jednak otworzył oczy i oparty na łokciu gładził palcami jej skórę na brzuchu.

- Chciałbym mieć z tobą dziecko. Chciałbym, żebyśmy tworzyli prawdziwą, pełną, kochającą się rodzinę.

Zaskoczyło ją to tak bardzo, że zachłysnęła się płaczem, wzruszona do głębi. Nawet przed sobą nigdy nie chciała się przyznać, jak wielkie było to zawsze jej marzenie.

- Ćśśśś - uspokajał ją, delikatnie bujając w ramionach. - No już, już... spokojnie.

- Przepraszam...

- Za co? - zdziwił się.

- Za reakcję - zebrała się w sobie - bardzo bym tego chciała...

- ...nie czekajmy więc. - Pocałował ją namiętnie.

- Adam? - przerwała mu.

- Hmm?

- Kolejność nie powinna być nieco inna?

- Przecież weźmiemy ślub niebawem. Pogłaskał ją po brzuchu.

- Bardzo bym chciał widzieć cię z naszym dzieckiem w ramionach.

Wzięła głęboki oddech, gdy znowu się nad nią pochylał.

Następne tygodnie, wypełnione intensywną pracą, zaczął się bowiem sezon na nowe kampanie reklamowe i ruszyły przygotowania do ślubu, odcisnęły na Ninie piętno zmęczenia.

Kampania wyborcza także nabierała coraz większego tempa i choć

Adam nie grał w niej pierwszych skrzypiec, był potrzebny jako potwierdzenie obecności „młodej krwi” w skostniałych szeregach partii. Polityka pochłaniała go coraz bardziej, ale nie zapominał o planach rodzinnych. Tak bardzo chciał mieć szybko dziecko, że gotów był się z

nią kochać nawet co noc. Zaczynało ją to niepokoić, zauważyła bowiem, że jest przez to coraz bardziej spięty. Minęły dwa miesiące, a ona nadal nie była w ciąży. Na nic zdawały się tłumaczenia, że nie zawsze udaje się od razu, że żyją w napięciu. Conocny seks stał się więc rytuałem. I był coraz bardziej jałowy.

Często, gdy zasypiał, schodziła na dół. Tak było i tego dnia.

Przez niezastłonięte okna wpadało nagle światło gwiazd. Snuła się po pokojach niczym duch, od jednego promyka światła do drugiego. Patrzyła na ogród, podtrzymujący ją na duchu przez ostatni czas. To było jedyne miejsce, w którym potrafiła się jeszcze odprężyć.

Usiadła przy biurku i sięgnęła po niedawno kupioną książkę o różach. Kwiaty pozwalały zapomnieć. Nazajutrz chciała pojechać do jednego z pobliskich sklepów ogrodniczych. Miała zamiar posadzić dodatkowy krzak. Znalazła odmianę róży o takim samym imieniu, jakie nosiła jej matka. Eliza.

Patrzyła na zdjęcie delikatnych płatków kwiatu i myślała, że może i jej będzie dane mieć kiedyś córkę. Przyprowdzi ją do ogrodu i powie: To róża posadzona na cześć twojej babci. Jak dobrze mieć korzenie.

Zamknęła książkę i zgasiła lampkę na biurku. Trzeba iść spać. Rano znowu będzie miała problem z podniesieniem się z łóżka, a czekało na nią tyle obowiązków.

## ROZDZIAŁ 24

W sobotni wieczór Anna Leśniewska stała w czarnej koktajlowej sukni przy drzwiach wejściowych do Teatru Narodowego. Zapadał zmierzch i w powietrzu czuło się wiosnę. Niekończący się sznur samochodów znikał za budynkiem Teatru Wielkiego. Kolejno z każdego z nich wysiadała para i samochód odjeżdżał. Anna obserwowała wszystko z nieklamana satysfakcją. Przyjęcie zorganizowano w holu na półpiętrze. Kilkanaście stołów nakryto śnieżnobiałymi obrusami. Jeden z nich, najdłuższy, dodatkowo miał ustawione kosze z kwiatami w kolorze flagi narodowej.

Bar otwarto od razu.

Drinki pozwalały na rozluźnienie atmosfery, a wiadomo było, że nikt i tak nie będzie ryzykował, by wypić za dużo. Wokół kręciło się stanowczo za dużo paparazzich. Na parterze zespół jazzowy przygrywał niezbyt głośno, idealnie wtapiając się w tło. Najważniejsi ludzie z partii rządzącej już przybyli. Wszędzie pełno było ochroniarzy BOR-u, obok Anny przeszedł nawet jeden z długowłosym owczarkiem niemieckim, wyszkolonym do tropienia ładunków wybuchowych.

Zlustrowała wzrokiem kilka stojących nieopodal wozów transmisyjnych z logo najważniejszych stacji telewizyjnych i radiowych. Była zadowolona.

- Anna!

Ubrana w beżową kreację dość młoda kobieta machała do niej jak szalona.

- Patrycja! - Uśmiechnęła się łaskawie. - Wszystko gotowe?

Była to jedna z dziewczyn odpowiedzialnych za organizację przyjęcia.

- Oczywiście, choć nie obyło się bez nerwówki. Cały czas mam wrażenie, że Polacy nie są jeszcze przyzwyczajeni do tego, że kampania wyborcza powinna być przygotowywana zupełnie inaczej niż dwadzieścia lat temu.

- Taak. - Anna westchnęła ze zrozumieniem i zgmiotła niedopałek na brzegu ustawionej nieopodal popielniczki na długiej nóżce.

- Ale i tak wybraliśmy idealny wieczór na przyjęcie.

- Oby było warto - mruknęła do siebie Anna, wspominając, ile kosztuje ich promowanie syna. Nawet pod płaszczykiem działania na rzecz ubogich dzieci nie obyło się bez kosztów.

- Nie powinnaś się martwić - uspokoiła ją Patrycja. - Sprzedaliśmy wystarczająco dużo biletów. Koszty się zwróca.

Uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

Przed wejściem zatrzymał się kolejny samochód. Na widok wysiadających Patrycja aż klasnęła w ręce z radości.

- To oni!

Adam pomachał im, jednocześnie pomagając Ninie wysiąść z samochodu. Zgodnie z sugestiami przyszłej teściowej tym razem skorzystała z usług wskazanego fryzjera i teraz miała włosy przyzwoicie upięte w nobliwie wyglądający kok. Nałożyła też klasyczną granatową suknię z miękkiego we-luru.

- Czy ona nie wygląda wspaniale? Anna przytknęła oczy z zadowolenia.

- Tak, to prawda. Ostatnio w ogóle wygląda inaczej... - Zawiesiła znacząco głos.

Patrycja spojrzała na nią uważnie. Zbyt długo się znały, by przeoczyła to charakterystyczne zawieszenie głosu.

- Czyżby...?

- Nic więcej nie powiem, sama nie wiem na pewno, ale ostatnio Adam chodzi tak podekscytowany. ..

Patrycja szeroko otworzyła oczy, głodna jakichkolwiek informacji. Anna milczała jednak. Odeszła od dziewczyny, pewna, że do końca wieczoru wiadomość dotrze do wszystkich obecnych na przyjęciu, a jutro na pierwszych stronach brukowców pojawi się zdjęcie Niny, na którym prosto na jej brzuch będzie skierowana strzałka z pytaniem: Czy ona jest w ciąży? Co prawda Adam zapewniał ostatnio matkę, że dopiero się o dziecko starają, ale trwało to stanowczo zbyt długo jak na potrzeby kampanii.

Plotka i tak rządzi się swoimi prawami. Rzeczywistość mogła ją po prostu dogonić. A nawet jeżeli nie... Cóż, gazety same pewnie wymyślą łązawą historyjkę o tragicznym poronieniu. Teraz jednak czas było zająć się gośćmi.

Dołączyła do męża, prowadząc syna i przyszłą synową, wcześniej wysławszy jej przychylnie spojrzenie. Ustawili się między drzwiami i schodami, by swobodnie witać wszystkich wchodzących.

Długa kolejka gości przesuwiała się powoli, by kolejno uścisnąć dłonie przedstawicieli fundacji i patronującej jej Anny, mającej u boku męża senatora i młodego, pnącego się po szczeblach politycznej kariery zdolnego syna z przyciągającą wzrok przyszłą synową.

- Witam. Dziękuję za wsparcie. To zaszczyt tu pana widzieć - mówiła na przemian, nie tracąc kontroli nad tym, co działo się za jej plecami.

Nina patrzyła na wszystko z podziwem i przerażeniem jednocześnie. Wysoko ustawiono jej poprzeczkę.

Jak przez mgłę pamiętała przebieg licytacji obrazów namalowanych przez dzieci. Cały czas tak mocno skupiała się na tym, by odpowiednio wyglądać, reagować i... mimo to być w cieniu. Parę razy chwytiała spojrzenie Anny, która skinieniem głowy sygnalizowała, czy aprobuje jej reakcje, czy nie.

Szczeńciem po trzech godzinach cała uroczystość się zakończyła, umilkły oklaski, wypito ostatnie lampki szampana. Jeszcze kilka minut, odliczała w myślach, ściskając kolejną dłoń na pożegnanie.

- Jesteś rozkojarzona - usłyszała za sobą syk Anny. - Nie możesz wytrzymać do końca?

Spięła się, ale postanowiła milczeć. Naprawdę nie miała ochoty na jakiegokolwiek kłótnie.

Zacisnęła więc zęby, skinęła głową i przybrała tak przyjazny wyraz twarzy, na jaki było ją tylko stać.

Wtedy podeszła do niej Patrycja i uściskała nieco zaskoczoną tą porcją czułości Ninę.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę z twojego po-

wodu. To taka wspaniała nowina - wyszeptła jej do ucha zarumieniona Patrycja.

- Dziękuję - bąknęła Nina, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

- Możesz być pewna, że u mnie twój sekret jest bezpieczny...

- Jaki sekret? - zdążyła zapytać, nim Anna odciągnęła nagle Patrycję w drugi koniec sali. Wtedy go zobaczyła.

Stał w tłumie notabli, rechocząc, aż trząśł mu się ten przebrzydłe tłusty brzuch. Postarzał się i jeszcze bardziej przytył. Ale nie miała wątpliwości, że to on. Nigdy nie byłaby w stanie zapomnieć.

W tym samym momencie, jakby wyczuł jej wzrok, odwrócił się w jej stronę. Spojrzeli sobie prosto w oczy. Zmarszczył czoło, widząc, jak pobladła.

Dopiero wówczas uświadomił sobie, kim ona jest.

Kilka razy zastanawiał się, dlaczego wydaje się mu znajoma. Teraz nie miał żadnych wątpliwości. Rozciągnął usta w lubieżnym uśmiechu.

Targnął nią gwałtowny spazm nudności.

Nawet nie wiedziała, kiedy Adam chwycił ją za ramiona i szybkim krokiem poprowadził do toalety. Wiedziała tylko, że wymiotowała tak, jakby wszystkie wnętrzności chciały wydostać się na zewnątrz. Zachłystywała się własnym oddechem

I pluła w końcu żółcią, nie mając siły na nic.

Adam głaskał ją po plecach i próbował zrozumieć, co Nina bełkotliwie między kolejnymi spazmami usiłuje mu powiedzieć. W końcu do jego uszu dotarły dwa słowa:

- Pan Dyrektor.

Tymczasem Anna, stojąc na straży przy wejściu do toalety, teatralnym gestem rozkładała ramiona

i przyciszonym głosem informowała zaaferowanych gości:

-Państwo wybaczą... To tylko nudności. -I uśmiechała się znacząco, niemal wdzięczna Ninie za potwierdzenie plotki, którą sama rozpuściła na początku uroczystości.

Tak. To był udany wieczór.

W nocy Ninę męczyły koszmary. Znowu była małą dziewczynką, choć miała twarz dorosłej kobiety. Siedziała w swoim pokoju i czekała, aż przyjdzie mama. Wołała i wołała, ale ta jakby w ogóle nie słyszała. Otworzyła drzwi na korytarz, ale to już nie był jej dom. Była w salonie, a na podniszczonym fotelu siedział jej ojczym z opuszczonymi do kolan spodniami i palcem pokazywał na swój członek we wzwodzie. Dobrze wiedziała, co znowu ma robić.

Chciała uciec, ale nogi tkwiły po kostki w drewnianej podłodze. Zasłoniła dłońmi oczy, nie chcąc patrzeć, aż usłyszała za sobą kroki i spanikowana odwróciła głowę. Stała na długim korytarzu w domu dziecka, ściany pokryte były ciemnozieloną mazią, oblepiającą wszystko i pełznącą w jej kierunku, wspinającą się po jej patykowatych nóżkach, wchodzącą pod przykrótką płócienną koszulkę nocną. Otrząsała się z obrzydzeniem, próbując to strącić z siebie, gdy usłyszała tuż nad uchem dobrze znany głos:

- Mam dla ciebie szampana.

Gęsia skórka pokryła jej całe ciało, drobne włoski stanęły dęba, przyprowadzając o dreszcze obrzydzenia na granicy wytrzymałości, aż w końcu Nina zaczęła krzyczeć:

- Nie chcę! Nie chcę!

Ktoś potrząsał nią za ramiona tak mocno, że głowa latała w przód i w tył jak u szmacianej lalki, a ona nie miała siły się temu przeciwstawić. W końcu otworzyła oczy i ze zdumieniem zobaczyła, że to tylko Adam, przerażony, próbuje ją zbudzić.

Rozpląkała się, jak małe dziecko, cały czas powtarzając:

- Nie chcę, nie chcę, nie chcę...

- Cśśś, już dobrze, dobrze, to tylko zły sen. -Adam tulił ją do siebie, głaskał po plecach, po włosach, po ramionach, całując na przemian to dłonie, to policzki, to głowę.

Zanosila się szlochom, nie potrafiąc pokonać potoku łez, które płynęły obficie, jakby przerwały mocno już nadwyrężoną tamę i teraz wiedziały, że nic ich nie powstrzyma.

Trwało to tak długo, aż zmęczona tylko oddychała ciężko, kołysana w mocnych ramionach. Gdy Adam zorientował się, że ona może wreszcie mówić, ostrożnie zapytał:

- Kochanie, co się tam stało takiego?  
- On tam był - powiedziała tępym głosem, który kiedyś już u niej słyszał i wystraszył się tego.  
- Kto, kochanie?  
- Pan Dyrektor - wyszeptała tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

Zamarł.

- A kto to taki?  
- Pan Dyrektor - powtórzyła.  
- Z domu dziecka? - upewnił się, choć znał przecież odpowiedź.  
Pokiwała tylko głową twierdząco.  
- Jesteś pewna?

Spojrzała na niego w taki sposób, że przeszły go ciarki.

293

- Tej twarzy nigdy nie zapomnę - powiedziała z mocą.  
- Jak to możliwe? - zastanawiał się na głos, a w głowie huczało mu od natłoku myśli. -  
Przecież siedział.

Usiadła nagle, gwałtownie się prostując.

- A ty skąd wiesz?

Zmieszał się. Zanim znalazł właściwe słowa, padło następne pytanie.

- Ile wiesz jeszcze? Ile wiesz oprócz tego, co ci powiedziałam? Ile zdążyła ci powiedzieć matka?

- To nie ma znaczenia.

Chwycił ją za ramiona i przytulił, ale ona zeszytywniała i nie oddała uścisku.

- Nigdy nie będę miała spokoju - szepnęła. - To zawsze gdzieś wypłynie, Adam. Szczególnie że interesuje się teraz tobą tylu ludzi.

- Niekoniecznie - zaprzeczył, choć wiedział, że Nina ma rację.

- Nie łudźmy się - odsunęła się od niego - zawsze będę musiała się komuś tłumaczyć ze swojej przeszłości.

- To nie twoja wina - krzyknął ze złością w głosie.

- Owszem - przyznała, opuszczając głowę, a włosy zakryły jej twarz - ale to ja będę wciąż musiała o tym myśleć i mówić. A nie chcę. Nie sądzisz, że mam do tego prawo? Ile lat mam jeszcze korzystać z rad psychologów? Ile lat spędzę przez to na kolejnych kozetkach?

- Obiecuję ci, że to ostatni raz - powiedział. Zaśmiała się dziwnie sztucznie, z metalicznym dźwiękiem, odbijającym się w jego umyśle przykrym echem.

- Adam... - Westchnęła i wstała z łóżka. - Sam posłuchaj tego, co mówisz.

Weszła do łazienki, starannie zamykając za sobą drzwi. Oparła ręce na umywalce i spojrzała w lustro. Wyglądała strasznie. Czerwona twarz z podkrążonymi od płaczu oczami i rozmazanym tuszem, skołtunionie włosy.

Otrząsnęła się na ten widok i odkręciła kran z zimną wodą. Gdy nieco ochłoneła, starannie zmyła resztki makijażu, używając mleczka i toniku, a potem wklepała w opuchniętą buzię krem. Zabiegi jeszcze bardziej ją uspokoiły. Napuściła wody do wanny i wlała doń kilka kropel olejku. Usiadła na jej brzegu, kładąc dłonie na podołku. Drżały. Nie chcąc na to patrzeć, rozebrała się szybko i zanurzyła w napelniającej się powoli wannie.

Adam krążył po pokoju, przeczesując włosy. Myślał intensywnie. Po kilku minutach chwycił za telefon i wykręcił doskonale znany numer. Po dwóch sygnałach odebrała.

- Mamo?

- Tak, synku? Jak ona się czuje?

- A jak myślisz?

- Co się właściwie stało?

- Na przyjęciu był człowiek, który ją zgwałcił, gdy była w domu dziecka.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

- Jesteś pewien?  
- Ona jest - powiedział dobitnie.  
- Ale jak to możliwe? - zastanawiała się Anna, dokładnie tak samo jak on wcześniej.  
- Dlatego chciałbym, byś to wyjaśniła - zażądał z mocą.  
- Chyba nie sądzisz, że mam z tym cokolwiek wspólnego? - zapytała ostro.  
- No wiesz?! Zmięła.  
- Przepraszam. Dla mnie to też był ciężki dzień.  
- Zabiorę ją gdzieś na kilka dni - oznajmił.  
- Nie możesz! - zaprotestowała żywo. - Nie teraz! Zaczekaj kilka dni. Możecie pojechać w czwartek, ale teraz absolutnie ci nie wolno, rozumiesz?  
- Mamo...  
- Adam. Zapewnię jej opiekę, przyjadę, będę się nią zajmować. Ale do czwartku nawet się nie waży wyjeżdżać z Warszawy. Ojciec byłby naprawdę zawiedziony. Czy wiesz, ile wysiłku kosztowało go załatwienie ci tych wszystkich spotkań?  
Przygryzł wargi.  
- Ona mnie potrzebuje.  
- I będziesz mógł się nią zająć. Obiecuję ci. Po czwartku. I wyjaśnię tę sprawę. Też obiecuję, a wiesz, że zawsze dotrzymuję słowa. Kocham cię, synku. - To mówiąc, odłożyła słuchawkę.  
Matka dotrzymała słowa. Na drugi dzień zjawiała się rano, ubrana w ciemne sztruksy i koszulę w kratę z podwiniętymi do łokci rękawami. Na to miała narzucony pikowany bezrękawnik. Widząc bladą jeszcze Ninę, siedzącą przy stole w kuchni z kubkiem kawy w dłoni, przywołała na twarz swój najdelikatniejszy uśmiech.  
- Mam dla ciebie propozycję.  
- Jaką? - spytała Nina bez zainteresowania, obojętnym głosem, popijając gorący napój.  
- Dawno nie pracowałam w ogrodzie, a mówiłaś jakiś czas temu, że chętnie byś się tym zajęła. Może dzisiaj to nie byłby taki zły pomysł?  
Nina wiedziała, że i tak nie pozbędzie się tej kobiety. Praca w ogrodzie zresztą i tak była lepszym rozwiązaniem niż zakupy w centrach handlowych, na które kilka razy dała się namówić.  
- Dobrze - powiedziała tylko.  
Wbiła się w stare bojówki i naciągnęła nieco już rozciągnięty sweter w renifery. Mimo wszystko wcale nie było jeszcze tak ciepło. Po namowach Anny wsiadła z nią do samochodu, by podjechać do pobliskiego centrum ogrodniczego. Kupiły parę worków torfu i nawozu do kwiatów. Nina zagłębiła się z lubością w alejki pełne sadzonek i krzewów. Pachniało wiosną. Wybrała tyle, ile tylko były w stanie zmieścić do auta.  
Gdy wróciły do domu i rozładowały samochód, czekał na nie lunch. Nina nawet nie zadała sobie trudu, by dociekać, jakim cudem. Przyjęła ten fakt jak rzecz najzupełniej naturalną. Po posiłku, który upłynął na szczęście dla Niny dość szybko, a Anna ponadto wciąż odbierała telefony, zabrały się do pracy. Jeszcze raz dla pewności obeszkły cały ogród, na nowo planując zasadzenie zakupionych roślin. Do końca dnia przygotowały dwa nowe klomby, rozłożyły nawóz i zasadziły pięć skrzynek jednorocznych kwiatów. Nina w końcu padła na wątłą trawę, zadowolona, czując ból w kościach. Oparła się na zgiętych łokciach i wystawiła twarz do słońca.  
Anna uśmiechnęła się na ten widok pod nosem. Plan jednak nie był taki zły. A Adam mógł spokojnie kontynuować zaczęłą pracę. Westchnęła.  
Czuła się już zmęczona. Narzuciła sobie zbyt duże tempo i teraz ciągnęła ostatkiem sił. Jej też praca w ogrodzie pozwoliła na chwilę o wszystkim zapomnieć, ale zapłaci za to, ślęcząc w nocy nad zaległościami. Jutro koniecznie musiała pojechać do fundacji, sprawdzić, czy przygotowano plan kolejnej imprezy.  
Zdjęła rękawice i rzuciła na oparcie wiklinowego krzesła.

Nie wszystko przebiegało po jej myśli, a bardzo tego nie lubiła. Jednocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że mogli trafić na większe kłopoty. Wiedziała też już, że Nina dojrzewała do decyzji o opuszczeniu jej syna. A to było jej jak najbardziej na rękę. Lepiej, by nie miał żadnej narzeczonej, niż gdyby z jej powodu pojawiły się problemy. A Nina niestety oznaczała kłopoty. Prędzej czy później.

Anna westchnęła.

Po raz pierwszy intuicja zawiodła ją tak bardzo. Najwyraźniej faktycznie się starzeje.

## ROZDZIAŁ 25

W środę Nina nie wytrzymała. Poprzedni dzień był koszmary. Zresztą miała już dosyć badawczego spojrzenia Anny. Wstała zaraz po tym, jak za Adamem zamknęły się drzwi. Była siódma rano. Szybko ubrała się i nawet nie wypiwszy kawy, wsiadła do samochodu. Jechała jak w gorączce, dłonie lepiły się jej do kierownicy, na karku czuła mrowienie.

Co pewien czas zerkała w tylne lusterko, sprawdzając, czy aby nikt nie wpadł na pomysł, by ją śledzić. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Zapaliła się kontrolka rezerwy, zjechała więc na stację benzynową, by zatankować. Zamyślona, stojąc w kolejce do kasy, dopiero po chwili zauważyła, że ludzie dziwnie się jej przyglądają. Obrzuciła się szybkim spojrzeniem w szybie, pewna, że jest po prostu brudna, i wtedy jej wzrok padł na stojak z gazetami. Na samym szczycie zobaczyła zatknętą gazetę ze swoim zdjęciem. Zrobiono je podczas tamtego wieczoru. Miała na sobie granatową suknię, a na wysokości jej brzucha wstawiono kółko ze znakiem zapytania w środku; obok wielki napis domagał się odpowiedzi: „Narzeczonej Adama Leśniewskiego w ciąży?”.

Chwyciła gazetę w ręce i zaklęła bezgłośnie. Wszystko ułożyło się w całość. Teraz rozumiała pytania Patrycji. I domyślała się, dlaczego Adam tak nalegał na dziecko.

Zanim zapłaciła za paliwo, wzięła z półek pieczywo, jakiś pasztet i opakowanie kawy rozpuszczalnej, a z chłodziarki wyjęła mleko, masło i jajka.

Wyjechała ze stacji przekonana, że postępuje właściwie.

Godzinę później była już w swoim starym mieszkaniu i wietrzyła je, otwierając wszystkie okna po kolei. Wolno nabierała i wypuszczała powietrze, mając nadzieję, że w ten sposób uspokoi roz-kołatanę serce. Przez otwarte okna docierał do niej dawno niesłyszany gwar ulicy i szum dość silnego dziś wiatru w koronach drzew. Stojący na komodzie zegar w drewnianej obudowie odmierzał czas. Gdy minął kolejny kwadrans, zauważyła, że niebo robi się granatowe, a wiatr zaczyna jęczeć, zapowiadając pierwszą tej wiosny burzę. Odezwał się jej telefon komórkowy, ale go zignorowała, nawet nie sprawdzając, kto dzwoni. Nie patrząc na wyświetlacz, wyłączyła aparat. Nadal stała w oknie.

Rozległ się grzmot i Nina zaczęła liczyć sekundy, tak jak robiła w dzieciństwie.

- Jeden... dwa... trzy...

Błyskawica przecięła nieregularną strzałą nieboskłon. Zdziwiająco szybko żywioł zbliżał się do śródmieścia.

Wreszcie chmury pękły i wielkie krople, najpierw leniwie, a potem z wielką mocą, zaczęły uderzać w dachy i ulice.

Z niechęcią musiała pozamykać okna, ale wiatr był tak silny, że skrzydła uderzały o ściany, i bała się, że w końcu jakaś szyba może tego nie wytrzymać.

Rozległ się kolejny grzmot i wszystko nagle pojaśniało od ogromnej błyskawicy. Było pięknie!

Oparła czoło o chłodną szklaną taflę. W parku nieco zbyt długa trawa falowała na wietrze, przypominając nadjeziorne sitowie. Korony drzew potrząsały groźnie liśćmi. Wyobraziła sobie, jak skrzypią.

Nie zastanawiając się, wyciągnęła z szafy fioletową kurtkę z kapturem i wybiegła z mieszkania.

Wiatr wicherzył jej włosy, ale postanowiła nie chronić głowy przed deszczem. Krople uderzały w nią bezlitośnie, a ubranie coraz bardziej ciążyło od wilgoci. Stała w parku z uniesioną do nieba twarzą i za każdym razem liczyła odległość między grzmotem a błyskawicą. Stopy, obute jedynie w cienkie tenisówki, przemarzły do tego stopnia, że wcale ich nie czuła. Wiatr smagał ją bezlitośnie, aż posiniała od tego biczowania. Była przemoczona i oszołomiona, ale dziwnie spokojna. Dopiero gdy o nogi otarł się biegnący na oślep pies, oprzytomniała, śmiejąc się na widok zwierzęcia. Za nim leciał chłopiec, krzyząc:

- Kumpel! Kumpel! Do nogi!

Nina śmiała się do rozpuku, ledwo idąc w kierunku mieszkania.

Z lżejszym sercem zrzuciła z siebie mokre ubranie i wytarła się starannie ręcznikiem. Z szuflad wyciągnęła jakieś stare ciuchy, narzucając je na siebie z wyraźnym zadowoleniem. Zaburczało jej w brzuchu. Spojrzała na leżące jeszcze w torbie zakupy, ale jakoś nie miała ochoty na kanapki. Ani na jajka. Wyrzuciła za okno. Deszcz ustępował. Po chwili namysłu chwyciła kluczyki do samochodu.

Pbjechała do dawno nieodwiedzanej pizzerii, gdzie zamówiła pepperoni z podwójnym serem, świeżymi pomidorami i zielonymi oliwkami. Pachniało tak bardzo, że ledwo usiadła przy swoim stoliku w oczekiwaniu na jedzenie. Jadła z apetytem nieodczuwającym od wieków, wbijając z lubością zęby w każdy kolejny kęs. Zjadła całą pizzę i popiła ją półtrową pepsi. Ocieężała z przejedzenia, postanowiła przejść się Nowym Światem. Tym bardziej że słońce przedarło się przez chmury i przyjemnie łaskotało w twarz promieniami. Na jednym z ulicznych straganów kupiła drogie jak diabli czerwone tulipany.

Wypiła jeszcze kawę z odrobiną cynamonu i wybrała w pobliskim empiku kilka książek, wertując je uważnie i wdychając zapach świeżej farby drukarskiej. Uwielbiała to. Zrobiło się jednak dość późno i czuła zmęczenie.

Gdy wróciła do mieszkania, pod drzwiami stał Adam we własnej osobie.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem jak dwójka zawodników na bokserskim ringu.

- Czy ty wiesz, ile osób się o ciebie zamartwiało przez cały dzień?

Wyminęła go bez słowa i otworzyła zamek.

- Wejdźmy. Chyba nie chcesz robić scen na korytarzu? - zapytała bezbarwnym tonem.

Adam zacisnął szczęki, ale powstrzymał się i wszedł za nią do mieszkania.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę?

- Jeszcze na tyle cię znam - wysyczał. Oparła się o komodę i założyła ręce na piersi.

- Nina, co ty wyprawiasz? - zapytał z pretensją w głosie.

- A co ty wyprawiasz? - odpowiedziała podobnym pytaniem.

- O co ci chodzi?

Podeszła do swojej torby i wyjęła z niej gazetę, ciskając nią prosto w niego. -Oto.

Spojrzał na pierwszą stronę, marszcząc czoło.

-Taak. Widziałem to dzisiaj. Ale chyba nie przejmujesz się jakimiś brukowcami? - Zaśmiał się i wyciągnął do niej rękę.

Odsunęła się.

- Myślisz, że jestem naprawdę taka głupia?

- Nie rozumiem. Dlaczego miałbym tak myśleć?

- Nie uważasz - zachłysnęła się, wzburzona - że to dziwny zbieg okoliczności? Akurat wtedy takie zdjęcie pojawia się w gazetach, kiedy zaczynamy planować dziecko?

- Nina... Przecież wiesz, że to nie tak. Nie mam z tym nic wspólnego. Uwierz mi.

- Ty może nie. - Wzruszyła ramionami, nieco się opanowując; widziała szczerzy wyraz jego twarzy.

- Co masz na myśli?

- Mówiłeś matce, prawda? Mówiłeś jej, że chcemy mieć dziecko, tak?



- Owszem, wspominałem, ale nie sądzę, by miała z tym cokolwiek wspólnego. To przypadek. Jakbyś nie wiedziała, w jaki sposób funkcjonują takie pisma... Przecież jesteśmy teraz osobami publicznymi.

- Nie, Adam. Ty jesteś. Zamarł.

- Nina, bardzo cię proszę, nie denerwuj się. Bardzo cię proszę. Przecież wiesz, ile dla mnie znaczysz...

Pokiwała głową.

- Wiem. Naprawdę wiem. Ty dla mnie też... Ale to jest ponad moje siły. Staralam się, naprawdę się

303

staralam, ale nie potrafię. Ja chcę czegoś innego, Adam. Rozumiesz? Chcę czegoś innego. Nie mam już siły. - Ukryła twarz w dłoniach. Podszedł i objął ją delikatnie.

- Wiem, że ostatnie dni były dla ciebie bardzo trudne. Rozumiem to. Dlatego proszę cię, wyjedźmy gdzieś. Możemy wyruszyć nawet jutro. Wreszcie będziemy mieli dla siebie trochę czasu i wtedy spokojnie porozmawiamy. Na pewno uda się nam dojść do porozumienia. Zawsze się udawało. Przecież stanowimy taki zgrany duet... Nina...

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Potrzebuję cię - powiedział cicho z miłością w głosie i pochylił się nad nią, by pocałować. Nazajutrz późnym popołudniem zameldowali się w paryskim Radissonie. Z okna pokoju mogła podziwiać Łuk Triumfalny. Nina zawsze chciała odwiedzić to miasto i teraz Adam spełniał jej kolejne marzenie.

Westchnęła i zaraz skarciła się w myślach, że nie powinna tak patrzeć na wszystko, co dla niej teraz robił. Bardzo się starał. Wyłączył nawet telefon, gdy szli do małej, przytulnej knajpki niedaleko Champs Elysees. Po kolacji spacerowali aleją Klebera, Wiktora Hugo, podeszli nawet pod samą wieżę Eiffla.

Adam czule ją obejmował i wciąż całował w czoło. Był piękny kwietniowy wieczór. Wkrótce najświetniejsza wieża świata rozbłysła żółtym światłem, a oni, zauroczeni, przysiedli na jednej z pobliskich ławek, by delektować się widokiem.

- Nie może być tak zawsze? - rozmarzyła się Nina.

Zaśmiał się w odpowiedzi.

- Musielibyśmy się przeprowadzić do Paryża.

- Och, wiesz przecież, o co mi chodzi.

- Tak, kochanie, wiem. Ale to nie znaczy, że tak nie będzie. To zwariowany czas. Wiem. Ale przyjdą i spokojne, a wręcz pewnie nudne dni. Obiecuję.

Uśmiechnęła się, nie do końca przekonana.

- Z twoimi ambicjami? - Machnęła ręką. - Obawiam się, że to dopiero początek. Patrząc na twojego ojca...

- Nie jestem swoim ojcem - przerwał jej. - Nie mam aż tak dalekosiężnych planów jak on.

- Mimo to nadal uważam, że to załedwie początek. Przytulił ją.

- Nie rozmawiajmy już dziś o tym, proszę. To taki miły wieczór.

Spojrzała na niego i skinęła na zgodę głową. I tak wiedziała, że dziś nic nie zmieni.

Obudziła się o ósmej rano. Poprzedniego wieczoru zasnęła bardzo szybko, choć Adam próbował pobudzić ją pieszczotami i miłosnymi wyznaniem. Nie była jednak jeszcze w stanie się z nim kochać. W końcu dał za wygraną, mówiąc, że rozumie, i przytulił ją, ogrzewając oddechem jej kark. Przez niemal kwadrans wpatrywała się w bogato zdobiony rzeźbami sufit, podziwiając misterną robotę. Przekreśliła głowę w bok. Adam spał spokojnie. Leżąc tak, z ręką wsuniętą pod twarz, z ciemnymi, długimi rzęsami, kładącymi cienie na policzkach, nie wyglądał na swoje trzydzieści pięć lat.

Zastanawiała się, jak będzie wyglądał za dziesięć, może dwadzieścia lat. I jak dalece zmieni go polityka. Już teraz zauważała, że znika gdzieś cza-

sem ten dawny Adam. Dawał się ponieść fali, prując ją, by go nie zatopiła. Rozumiała, że może faktycznie tego potrzebuje. Dlaczego nie zauważyła tych potrzeb wcześniej? Paradoks polegał na tym, że on nie robił nic złego. Realizował swoje pasje. Jak każdy choć trochę ambitny człowiek. Ponadto miał ku temu możliwości. Byłby głupi, gdyby z nich nie skorzystał.

Nina od niedawna dopiero przestała skupiać się na swoim bólu. Dotąd Adam stanowił najtrwalszą opokę, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia. Może gdyby nie uciekła kiedyś od Wiktora, wszystko potoczyłoby się inaczej, ale w końcu i on nie okazał się wystarczająco silny, by ją przy sobie zatrzymać.

Westchnęła.

Tamten czas, w górach, był najpiękniejszym okresem jej życia. Najwięcej w nim było pasji, zaangażowania emocjonalnego, poczucia wolności. Niestety, życie wcale nie było takie proste i nie wszystkie wybory okazywały się jednoznaczne.

Poruszyła się niespokojnie.

Nie miała do nikogo pretensji. Nie miała też złudzeń.

Jeśli chce być z Adamem, czeka ją nie lada przeprawa. W dodatku coraz bardziej nie znosiła Anny, choć w głębi duszy podziwiała ją za hart ducha i niezłomność woli. Chciałaby mieć choć połowę jej siły.

Jeszcze raz spojrzała na Adama. Rozczulił ją widok śpiącego i lekko dotknęła ustami jego policzka. Poruszył się i przez sen przysunął bliżej, obejmując ręką w pasie.

- Dlaczego nie śpisz? - wymruczał. - Myślałem, że dzisiaj pośpimy nieco dłużej.

- Przepraszam - szepnęła, odgarniając mu włosy z czoła. - Śpij dalej.

- Za późno. - Oparł się na łokciu. - Co taka jesteś zamyślona?

- Nie mogę przestać myśleć o tym, co się z nami dzieje - powiedziała szczerze.

- Ach tak. - Zrobił poważną minę. - Nina, czy tobie jest naprawdę tak bardzo źle?

Pokiwała głową, łagodząc nieco ten gest słowami:

- Powiedzmy, że wszystko mnie nieco przerosło, ale mam nadzieję, że jakoś się zdołam pozbierać. Brakuje mi szczerości między nami. Kiedyś wiele ze sobą rozmawialiśmy. A teraz czuję się czasem tak, jakbyś miał przede mną coraz więcej tajemnic.

- Tak na pewno nie jest. - Chwycił jej dłoń. - Uwierz mi, proszę. Wiem, to wina tego, że nie uprzedziłem cię o kampanii. I wiem, że to duże obciążenie, szczególnie dla kogoś, kto nigdy z czymś takim nie miał do czynienia. Ale to ostatni moment, bym w ogóle spróbował. Ostatni i jedyny. Jeśli się teraz nie uda... to już koniec.

Uśmiechnęła się blado, a przez myśl jej przemknęło, że pewnie Adam nawet nie przypuszcza, jak bardzo by tego chciała.

- Kocham cię - szepnęła.

- Ja ciebie też - odpowiedziała, po raz pierwszy czując ziarno niepokoju, gdy te słowa padały z jej ust.

Dotknął ustami zagłębienia na jej szyi, a ona się o niego oparła, dotykiem chcąc przegonić to uczucie.

Całowali się niemal tak samo jak na początku, gdy poznawali dopiero swoje ciała. Zamknęła oczy, gdy w nią wszedł. Poruszał się wolno i łagodnie,

307

szepcząc jej imię. Mimo to przed oczyma znienacka pojawiły się obrazy sprzed lat. Nie wytrzymała i zaczęła się pod nim szamotać. Na początku nie zorientował się, że coś jest nie tak, ale gdy zesztyniała zupełnie, odsunął się nieco. Złapała wtedy oddech, jak ktoś, kto wydostał się właśnie spod wody.

- Przepraszam - sapnęła zawstydzona.

- Nie musisz. - Odgarnął jej zabłąkany kosmyk z czoła. - Może lepiej po prostu pójdźmy się wykapać. Zamówię śniadanie do pokoju, co ty na to?

Pokiwała głową na zgodę.

Gdy zamknęły się za nią drzwi do łazienki, ukrył twarz w dłoniach. Nie wiedział, co robić. Myślał, że ten etap mają już za sobą. Tymczasem wychodziło na to, że wracają do punktu wyjścia. A on był taki zmęczony. Nie miał ani tyle sił, ani cierpliwości jak za pierwszym razem. Mimo całej miłości do Niny czuł się nieco zawiedziony. Potrzebował jej wsparcia, tymczasem ona znowu potrzebowała jego i widział to wyraźnie. Czekala ich ciężka próba. Poza tym incydentem kolejne trzy dni w Paryżu upłynęły im sielsko. Ninie udało się zapomnieć o kłopotach, kiedy spacerowali szerokimi korytarzami Luwru i gdy podziwiali kwiaty w ogrodach.

Dlatego z niemalym smutkiem opuszczała w niedzielne popołudnie przytulny hotelowy pokój. W samolocie była niezwykle zamyślona, ale wreszcie ustąpił z jej twarzy grymas napięcia. Adam był zadowolony, że udało się im wyrwać, choć na tak krótko. Wczoraj rozmawiali do późnej nocy. Decyzję w sprawie dziecka odłożyli na bliżej nieokreśloną przyszłość, ale udało mu się utrzymać czerwcowy termin ślubu.

Niestety, jutro musiał wracać do zwykłych obowiązków. Nina też postanowiła więcej czasu poświęcać firmie. Bardzo jej tego brakowało i tym razem nie miał zamiaru się sprzeciwiać. Poniedziałek przeleciał jej tak szybko, że ani się spostrzegła, gdy na zegarku minęła osiemnasta. Pracowała od ósmej rano i wciąż miała wrażenie, że ledwo zaczęła nadrabiać zaległości. Firma jednak miała się bardzo dobrze, co napawało ją optymizmem. Od jakiegoś czasu otrzymywała propozycje wykupu przez zagranicznych inwestorów, ale w obecnej sytuacji nawet nie chciała się nad tym zastanawiać. Nie mogła stracić ostatniej deski niezależności.

Po powrocie z pracy poszła prosto do ogrodu. Każdego dnia przybywało w nim coś nowego.

Usiadła na wiklinowym fotelu, trzymając w ręku plik korespondencji. Przerzucała beznamiętnie koperty, bardziej zainteresowana rzędem kwitnących irysów i rozchodników. W kilku miejscach stokrotki wychylały swoje pierzaste, intensywnie różowe główki. Obok nich błękitne niezapominajki panoszyły się beczelnie. Lubiła te drobne kwiaty.

W domu odezwał się telefon i pospieszyła, by zdążyć go odebrać. Niestety, dzwonek zabrzmiał tylko trzy razy i umilkł. Postanowiła jednak nie wracać do ogrodu. Zamknęła drzwi prowadzące na taras i wtedy zadzwoniła jej komórka.

Zmarszczyła brwi, nie widząc numeru. Zastrzeżony. Nie lubiła nie wiedzieć, kto dzwoni.

- Tak? - spytała, nieco się spinając.

- Nina?

Zakręciło się jej w głowie.

- Wiktor?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Gratuluję - powiedział nieco bełkotliwie i po tym poznała, że nie jest trzeźwy.

- Czego mi gratulujesz?

- Jak to czego? Dziecka. - Wciągnął głośno powietrze i zanim zdążyła zaprotestować, kontynuował:

- To dobrze, że jesteś szczęśliwa, chciałem ci życzyć wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia...

- Wiktor! - przerwała mu. - Na litość boską, daj mi w końcu coś powiedzieć!

- Po co? Co to ma teraz za znaczenie? Westchnęła ciężko, mając mętlik w głowie.

- Kochałem cię... Cholera... Nadal cię kocham

- usłyszała jeszcze, zanim się rozłączył.

Przez długą chwilę wpatrywała się w komórkę. W końcu wybrała domowy numer Wiktora. Próbowała trzy razy, nikt nie odbierał. Usiadła na miękkim dywanie, podpierając głowę na łokciu opartym o zgięte kolano.

Serce kołatało jej jak głupie.

Wtem rozzłościła się tak, że telefon przeleciał przez pokój i rozbił się o ścianę.

- Jak on śmie! Jak śmie dzwonić do mnie i mówić mi takie rzeczy! - krzyczała w przestrzeń.

- Drań!

Rozejrzała się zaniepokojona dookoła, ale na szczęście nadal była w domu sama. Wstała i pozbiierała szczątki telefonu.

- W dodatku zepsułam telefon - wyszeptała. Weszła na piętro i przebrała się w szlafrok.

Nie miała już nawet ochoty na kolację. Snuła się od okna do okna i obserwowała, jak zmierzch pochłania wszystko dookoła. Zza dwóch ogromnych dębów wychylał się księżyc w pełni. Bił od niego chłodny blask.

Światło załamywało się między liśćmi drzew. Zadrżała.

- Nina, do cholery, weź się w końcu w garść i podejmij jakąś decyzję - szepnęła do siebie i energicznie zasunęła zasłony.

Nigdy nie była odważna. Potrzebowała czynnika wspomagającego. Podeszła do barku i nalała sobie drinka.

- Piłaś - zdziwił się Adam, bo nie pasowało mu to do niej tak bardzo, że zachłysnął się tym słowem.

-Tak.

Powiedziała to niezwykle spokojnie, patrząc mu prosto w oczy, bez cienia wstydu.

Podszedł do stolika, na którym stała szklaneczka. Uniósł ją i powąchał, wyczuwając zapach dżinu z tonikiem. Na podłodze leżała nieduża zielona butelka, w której nie było ani kropli alkoholu.

Nieco przytępiony umysł działał jednak zadziwiająco sprawnie.

- Wiem, że wypiliśmy za dużo - stwierdziła - ale teraz jakoś lubię siebie bardziej.

Wstrząsnął nim dreszcz.

- Myślałem, że przy mnie nie będziesz musiała uciekać.

Był bardzo poważny, wiedział już bowiem, że przegapił moment, w którym ją stracił.

Wstała z kanapy i szeleszcząc jedwabiem szlafroka w malowane ręcznie różowe peonie, pomaszerowała do ich sypialni.

- Chodź - usłyszał po chwili.

Wszedł za nią z pytaniem na ustach, choć wiedział, że idzie po wyrok.

- Nina...

Z koldrą w dłoni, klęcząc jednym kolaniem na materacu łóżka, pytająco uniosła brew, zamierając w tej dziwnej pozie.

- Czy ty w ogóle byłaś kiedykolwiek ze mną szczęśliwa?

Głupcze! - odpowiedział natychmiast sam sobie. Nie pyta się o to kobiet!

Zaczynają wtedy myśleć nad tym i z zaskoczeniem odkrywają, jak wiele ich pragnień zastąpiła troska o innych.

Zapadła nieznośna cisza.

- Ja nie umiem być szczęśliwa - wykrztusiła wreszcie.

To był koniec.

Rano, gdy tylko wyszedł, wiedział. Choćby drapał ziemię i gryzł, nie ma dla nich przyszłości.

Powietrze gęstniało wokół niego, gdy coraz głębiej to sobie uświadamiał. Zapewne popełnił błąd, myśląc, że może nią pokierować tak, by znalazła w ich związku to co on. I ze zdumieniem stwierdził, że podświadomie czekał na ten dzień, przeczuwając, iż tak właśnie może się zdarzyć. Nie będzie jej po jego powrocie. Widział to wczoraj w twarzy Niny.

## ROZDZIAŁ 26

Kolejny upalny dzień miał się ku końcowi. Mijały właśnie dwa lata od dnia, kiedy była tu ostatni raz. Pograżona w letargu okolica przyjęła z ulgą na swe czoło chłodną dłoń zmierzchu. Przez dłuższy czas Nina obserwowała nadejście wieczoru. Widziała, jak zanikają kontury gór, jak barwy zlewają się i milkną. Słyszała odgłosy, które z godziny na godzinę traciły na sile,

jak dźwięk niesiony przez echo. Także ona, oparta o pień drzewa, poddawała się temu nastrojowi. Z wdzięcznością przyjmowała dar nocy, podążyła za falą i przymknęła ciężkie powieki. Księżyc rozpoczął swą wędrówkę, wznosząc się wysoko ponad las pokrywany gęstym kobiercem okoliczne wzniesienia. Nie dbała o zostawiony na poboczu otwarty samochód. Oddychała głęboko i myślała o tym, jak długą drogę musiała przebyć, by na nowo odnaleźć tę właściwą. Przyszło jej też na myśl, że może to wszystko było potrzebne, by upewniła się, iż tak powinno być. Nie wiedziała jednak, czy ma po co wracać. Coś jednak pchało ją tutaj i była świadoma, że sama musi się o tym przekonać. Spojrzała przed siebie. Podniosła się z ziemi i podeszła do samego brzegu wzgórza, przyciągana ciekawością i strachem zarazem. Ser-

ce biło niespokojnie. Co chwilę spoglądała na oddalone o kilka minut drogi zabudowania. Przeszył ją dreszcz wieczornego chłodu. Wraz z nim budziło się także życie, mobilizujące do działania. Spojrzała raz jeszcze. Dom stał cichy i lekko zamglony wieczornymi oparami. Westchnęła i zbierając całą odwagę, wróciła do samochodu.

Piotr miał ochotę ją wyściskać. Gdy tylko zobaczył na podjeździe znajomy samochód, w ekspresowym tempie wrzucił na spodnie od piżamy roboczy kombinezon i wybiegł z pokoju. Wiktor pojechał po nową klacz. Miał wrócić dopiero jutro koło południa, może później. A on, na Boga, nie zamierzał dopuścić, by wyjechała stąd, zanim się to stanie. Zdziwiona jego niecodziennym widokiem, uniosła brew.

- Nina, ale trafiłaś, niech cię uściskam! Już otwieram, Wiktor wróci późno. Najświętsi! Ale się cieszę, że w końcu przyjechałaś!

Wyściskał ją, ogłupiałą od nadmiaru czułości ze strony zazwyczaj zdystansowanego mężczyzny. Odpowiedziała tym samym, zaskoczona, i pozwoliła wprowadzić się do domu, a ten głupiec nawijał nieprzerwanie, jakby włączył jakąś katarynkę, i wcale nie miał zamiaru przestać. Wiedziała tylko, że w ciągu dziesięciu minut została ze swoimi bagażami ulokowana w pokoju na dole, dowiedziała się, że zaraz dostanie świeży chleb, i Piotra już nie było. Zostawiona tak na środku pokoju, wybuchła w końcu śmiechem, gdyż dotarło do niej, co chciał tym osiągnąć. Opadła na łóżko i śmiała się długo, aż łzy popłynęły po policzkach. Ale jakże inne były to łzy od tych, które dotąd roniła! Gdy ponownie wszedł z impetem do domu, niosąc własne pieczywo, jakby ono miało zapewnić, że Nina zostanie i zdania nie zmieni, nie wytrzymała. Przygarnęła Piotra, zaskoczonego zupełnie tym gestem.

- Dziękuję - powiedziała i ucałowała go w oba ogorzałe policzki, modląc się jednocześnie, by gospodarz tego domu okazał się choć w części tak ucieszony jej widokiem.

Piotr uciekł, mrucząc coś pod nosem. Wyjęła pościel, ale po chwili rzuciła ją na łóżko i poszła prosto do pokoju Wiktora. Rozrzucone dookoła rzeczy świadczyły, że jak zwykle działał w pośpiechu. Parsknęła śmiechem. Cały on. Wróciła na dół, ale na wszelki wypadek postanowiła nie rozpakowywać torby. Teraz już nie była taka odważna, gdy moment spotkania odwlekał się coraz bardziej i musiała czekać. Nie mogła już jednak inaczej. I tak minęło zbyt dużo czasu. Spokojnie zaczęła szykować się do snu, gotowa na przyjęcie konsekwencji swego pierwszego w życiu wyboru.

Ranek był z tych, które mobilizują do działania. Ze zdumieniem stwierdziła, że jest ledwie wpół do siódmej. Adrenalina nie dawała jej spać. Należało coś z tym zrobić, bo gotowa dostać zawału, zanim Wiktor wróci. Ubrała się pospiesznie w pognieciony strój do jazdy konnej i poszła do kuchni zaparzyć kawę. Smakując napój, wpatrywała się w krajobraz za oknem, ale nie dręczyła umysłu żadnymi ważnymi myślami. Czekala. Co innego zresztą mogła zrobić?

Nogą pchnęła stajenne wrota i weszła do środka. Długi korytarz był prawie zupełnie ciemny, tylko z okien umieszczonych w boksach sączyło

się jaskrawe światło. Kroki rozchodziły się echem po kamiennej posadzce, a konie z zainteresowaniem podnosiły głowy i wyglądały z boksów z nadzieją, że może nadeszła już pora karmienia. Nina z westchnieniem powiesiła siodło na jednym z zamontowanych między stanowiskami wieszaków. Z boksu obok wychylił łeb wielki kasztanowaty ogier, łypnął przyjaźnie na nią okiem i wyciągnął chrapy w kierunku kieszeni jej kurtki. Zaśmiała się i dała mu skórkę od chleba. Drzwi do boksu otwierały się opornie i Nina pomyślała, że najwyższy czas nasmarować zasuwę. W stajni słychać było tylko chrupanie siana, ciche parskanie i szelest szczotek, przesuwających się po błyszczącej sierści kasztana.

Tym bardziej zaskoczył ją głos Piotra.

- Chcesz jeździć na ujeżdżalni czy w terenie? Przyłożyła dłoń do klatki piersiowej i gwałtownie odwróciła w jego stronę.

- Wystraszyłeś mnie.

- Przepraszam, ale wcale nie miałem zamiaru się skradać. Wcześniej wstałaś - zauważył. Skinęła głową.

- Tak. Ale zdążyłam się wyspać. Prawdę mówiąc, miałam ochotę na dłuższą przejażdżkę.

- Tak przypuszczałem. A skoro tak, proponowałbym ci wziąć Modrego. To hucuł. Bardzo mądry konik. Idealny w teren dla ciebie.

- To znaczy dla takiego amatora jak ja? - Zaśmiała się.

- Też - potwierdził, nie mając zamiaru udawać, że o tym nie pomyślał.

Ruszył długim korytarzem i wszedł do przedostatniego boksu. Wyprowadził z niego niedużego bułanego konika.

Nina niewiele myśląc pobiegła po wszystko. Porwała munsztuk, inne siodło z popręgiem, czaprak, futerko pod siodło i wyparowała z siodłami do drapiącego się właśnie w tylną nogę Modrego.

Piotr śmiał się pod nosem z tego, jak wygląda, niczym mała dziewczynka, która dostała właśnie największego czerwonego lizaka w całym sklepie.

A niech jedzie! - pomyślał, sądząc, że w ten sposób zrzuci z siebie napięcie i łatwiej jej będzie stawić czoła temu durniowi, który wróci dziś po południu.

Z zadowoleniem stwierdził, że sprawnie nałożyła munsztuk, szybko jednak orientując się, że gdzieś musiał jej spaść łańcuszek. Narzuciła na grzbiet konia czaprak, futerko i w końcu siodło. Podpięła popręg ile się dało, bo Modry oczywiście nadał się jak balon.

Żachnęła się na to, ale Piotr ją uspokoił:

- Ma czas spuścić powietrze. Jeszcze łańcuszek musisz znaleźć.

- Tylko wezmę derkę i nałożę ochraniacze. Śmignęła do stajni, nim zdążył coś powiedzieć, pokiwał więc tylko głową na zgodę. Nie zapomniała, jak się to robi. Modry, o dziwo, stał grzecznie. Nałożyła mu neoprenowe ochraniacze na cztery nogi, zapięła łańcuszek i zarzuciła derkę. Podał jej palcat.

- Przeprowadź go trochę, to będziesz mogła poprawić popręg - podpowiedział, a ona z zapalem skinęła głową jak grzeczna uczennica.

Przeszła kilka metrów i podciągnęła popręg, zanim koń zdążył znowu się nadać. Lekko opadła na siodło.

- Weź go na mocniejszy kontakt - poradził Piotr, przykładając dłoń do czoła i obserwując Ninę uważnie.

Posłusznie zaktywizowała go łydką. Modry zaokrąglił się, ale próbował wieszać na ręce. Dała mu więc kilka wyraźniejszych półparad i pojechała dwie przekątne w stępie - pierwszą w swobodnym, drugą w wyciągniętym. W stępie zrobiła łopatkę w prawo, po niej wolte, a z wolty trawers. Koń zadziwiająco dobrze reagował, szczególnie w trawersach - wystarczyło nieznacznie przesunąć zewnętrzną łydkę, a od razu wrzucał zad do środka.

- Dobrze jest. - Uśmiechnęła się do Piotra. - Miałeś rację, dogadamy się.

Twarz jej jaśniała. Wykręciła półwolte, a z niej zrobiła ciąg.

- Powtórz to sobie na drugą rękę, niech ma szansę cię poznać, zanim pojedziecie w teren. Nina coraz bardziej zgrywała się z koniem, czując już zawiązującą się między nimi więź. Konik zdawał się mimo wszystko cierpliwy i pobłażliwy dla lekkiego jeźdźca.

Po dobrze wykonanym ćwiczeniu zakłusowała. Kiedy Modry już nieco się rozchodził, zaczęła męczyć go pojedynczymi chodami bocznymi. Już nie widziała stojącego tuż obok Piotra, tylko w myślach powtarzała sobie: Łopatka, wolta, łopatka.

W prawo nie było najmniejszego problemu. W lewo właściwie też. Dalej była łopatka, wolta, trawers. Bardzo dobrze reagował na łydkę przesuwającą. Rozgrzewkę w kłusie zakończyła dwoma ciągami przez całą ujeżdżalnię. Przeszła na chwilę do stępa, powyciągała go troszkę na dwóch przekątnych. Potem zakłusowała i wpadła w galop. Byli gotowi. Pomachała Piotrowi i tyle ją widział.

Gęsta mgła, szczelnie wszystko otulająca, tworzyła klimat nie z tej ziemi. Nina wjechała na znajomą przełęcz, skąd czekał ją ostry zjazd. Najpierw pogoniła wierzchowca serpentynami drogi, później gnała już podmokłym świerkowym lasem i na koniec wypadła na pokrytą owczymi bobkami łąkę. Zwolniła, bojąc się, by koń się na nich nie poślizgnął. Delikatnie anglezując, zjechała na dno doliny. Później zafundowała sobie niemal kilometr dzikiego pędu po zróżnicowanym terenie, od przełaju po miękkiej trawie, poprzez kamieniste i bagniste ścieżki, po szybkie fragmenty leśnymi drogami. Najsmaczniejszym kąskiem byłby przejazd całym pasmem, ale nie chciała ryzykować. Zbyt trudna to mogłaby się okazać trasa. I tak wdzięczna była Piotrowi, że kazał jej wziąć hucuła. Zatrzymała się na chwilę, podziwiając niesamowity widok, pełen magii dolin pokrytych łąkami, niczym morze traw falujące na finezyjnie ukształtowanych przez naturę stokach. Nic nie zapowiadało poprawy pogody, ale jechała dalej. Niebiosa doceniły jej zuchwałość i wkrótce wyjrzało słońce. Nie mogła spodziewać się lepszego prezentu. Kiedy dotarła w końcu na główny grzbiet, myśląc, że oto jednak udało się coś, w co sama nie wierzyła, uderzył wiatr, aż koń zapierał się bokami i rżał, zły na podmuchy. Zrozumiała, co znaczy mądrość tej rasy, gdy Modry sam znajdował odpowiednie zejście ze stoku i trafiał na bezpieczne ścieżki. Mówiła do niego wtedy czule i dziękowała łagodnym klepaniem, na co rzucał grzywą, krygując się nieco. Co jakiś czas pochylała się i obejmowała go za szyję, wdychając zapach sierści. Monotonne kłaskanie kopyt w kałużach błotnistej dróżki było tak kojące, jakby wybijany rytm miał właściwości terapeutyczne.

Nie myślała o niczym, chłonęła jedynie moc wrażeń płynących do oczu i uszu. Wdychała zapachy, zdziwiona, jak lekkie może mieć ciało. Tu nie liczyło się nic i nikt jej nie oceniał. Gruntową drogą trawersowała strome fragmenty grzbietu, dzięki czemu jazda była cały czas możliwa. Wypadało jednak wracać do domu.

Zachęcona sukcesem wyprawy, pognąła znowu galopem, przyjmując na twarz uderzenia wiatru. Coś jednak przegapiła, wjechała nie w tę co trzeba dróżkę. Ta kończyła się w miejscu, gdzie polana spotykała się z lasem. Zaniepokojona, wahała się, czy nie zawrócić, w końcu jednak zdecydowała się na szaleństwo: zjazd na przełaj przez las do dna doliny, gdzie według niej powinna znajdować się droga. Zjazd okazał się koszmarnym przedzieraniem się przez ostępy bukowego lasu, z pokonywaniem gąszczy i powalonych drzew. Obrywała raz za razem drobnymi gałązkami, a i konik niechętnie szarżował. Szedł jednak pewnie i prosto, jak po sznurku, a ona postanowiła zaufać raz jeszcze zwierzęciu. I tak trafiła na strumień. Wydała okrzyk zachwyty, pewna, że zna tę małą wstęgę, jak strzała przecinającą zieleń. Nie mając wyjścia, spięła Modrego, zmuszając go, by napierał z nurtem. Koń zaś delikatnie stąpał z gracją baletnicy po kamieniach, żeby tylko się nie poślizgnąć i nie zamoczyć jeźdźca. Pokonując progi skalne, powalone drzewa, wyższe od niej na końskim grzbiecie łopiany i pokrzywy, dotarła w końcu do zarysów drogi w dolinie. To była najszcześniejsza chwila podczas wyprawy. Po kilkuset metrach wjechali na prawdziwą szutrową trasę, skąd zaledwie

kilka minut dzieliło ją od zabudowań stajennych. Koń zarżał radośnie, a ona zaśmiała się, szczęśliwa z zakończenia małej przygody. Zbyt do-  
brze wiedziała, że w górach wszystko się może wydarzyć. Gdy podjeżdżała do zabudowań, samochód Wiktora już stał.

- Zostawiłeś mnie!!! - wrzasnęła z bólem w głosie. Ich powitanie od początku nie wyglądało dobrze, ale gdy zapytał, czy naprawdę znaczył tak niewiele w jej życiu, nie wytrzymała.

- Jaaa?! - Nie pozostawał dłużny. - Ja cię zostawiłem?! Jak śmiesz tak mówić?! Kazałaś mi odejść!

- Tak, kazałam! A ty poszedłeś! Jak zbity pies, z podkulonym ogonem! Chociaż nawet pies wraca do pana, od którego dostaje baty! Ale ty nie! Ty poszedłeś! Posłuchałeś mnie! Odwróciłeś się na pięcie i już cię nie było!

Opuścił głowę, wiedząc, że ma rację.

- Zrobiłem, o co mnie prosiłaś - powiedział niespodziewanie cicho.

- Owszem! - krzyczała dalej. - A czy naprawdę nie przyszło ci do głowy, że nie byłam w stanie wtedy podejmować decyzji?! Co wtedy zrobiłeś, by mi pomóc? Co zrobiłeś, by było inaczej? Nawet nie czekałeś... - dokończyła już cicho.

-Przyjechałem wtedy... - zaczął, ale urwał, świadomy, jak banalnie to brzmi.

Zaniosła się histerycznym śmiechem.

-Przyjechałeś... Nie wytrzymam... Przyjechałeś... Taaak...

Kiwała głową z niedowierzaniem.

- Zażucasz mi brak wiary... - zaczęła spokojnie, gdy nieco się już opanowała. - Tymczasem to ty jej nie miałeś. Nie umiałeś przede wszystkim uwierzyć w siebie. A co dopiero w nas...

- Nie, Nina! - zaprzeczył żarliwie. - Nigdy

w życiu w nic nie wierzyłem tak bardzo. Ale nie wiedziałem, jak ci pomóc...

-To trzeba było zostać, do cholery!!! Zostać blisko mnie i nie pozwolić mi zapomnieć, co nas łączy! Wybrałaś swoją pieprzoną samotnię! No to ją masz!

Załamana, z dudniącym sercem, rzuciła się desperacko w stronę pokoju, by zabrać swoje rzeczy, wyjechać jak najszybciej.

Paradoksalnie czuła się tak silna jak nigdy dotąd. Silna i pokonana zarazem.

Wiktor trząsnął się cały, ściskając oparcie krzesła, bo bał się, że mógłby ją chwycić i rozszarpać, tyle zgromadziło się w nim emocji.

Nienawidził jej za to, co powiedziała, ponieważ wiedział, że ma rację. Tłumaczył sobie tyle lat, że zrobił wszystko, co mógł. A tak naprawdę nie zrobił nic. Wybiegała z pokoju, gdy złapał ją w pasie i przywarł do niej, klękając.

Wtulił głowę w jej brzuch. Próbowwała się wyrwać; nadaremnie.

- Nina... - wyszeptał.

Opadła jej głowa, lecz zebrała się w sobie.

- Wiktor, mnie nie chodzi o to, żebyś przede mną klękał. Nie jestem świętą. Zrozum w końcu, że ja potrzebuję obok siebie siły, na której mogę się oprzeć. Wtedy będę jej miała wystarczająco dla nas obojga. Inaczej to się nie uda, choć kocham cię tak, że sama się dziwię, jak w ogóle w ten sposób można...

Wstał, ujął jej twarz w dłonie:

- Znajdę tę siłę. Uwierz mi, że tak. Ja jej nie czuję tylko wtedy, gdy ciebie nie ma.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, Wiktor...

- Zaczekaj - przerwał jej. - Nie kończ. Wiem, co chcesz powiedzieć. - Przymknął oczy. - Ja naprawdę w nas wierzę.

- To mi pokaż.



Oswobodziła się z jego objęć i wyszła z domu nieoczekiwanie majestatycznym i równym krokiem. Wrzuciła torbę do bagażnika, spokojnie podeszła do drzwi od strony kierowcy i wsiadła do samochodu. Wiktor stał na ganku, ręce miał opuszczone wzdłuż ciała.

Uruchomiła silnik, spokojna jak nigdy dotąd.

Wreszcie wiedziała, czego chce. Po raz pierwszy w życiu.

Musiała go z tym zostawić, by też zrozumiał. Ruszyła.

Czekało ją wiele kilometrów do pokonania. Nareszcie była wolna.

## ROZDZIAŁ 27

Szedł na spotkanie z nią bez cienia nadziei, że zechce z nim być. A jednak zdecydował się na nie, tak bardzo nalegała, twierdząc, że to bardzo ważne. Poprawił krawat, patrząc w samochodowe lusterko, i wysiadł z auta, trzaskając nieco zbyt mocno drzwiami. Kiedyś przejmował się takimi drobiazgami, teraz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Minęło kilka miesięcy, a on nadal codziennie o niej śnił. Nic zresztą dziwnego. Nigdy nie doświadczył większej straty. Tym bardziej teraz podziwiał ją za hart ducha i niezłomną siłę, pozwalającą trwać, żyć i czuć. Doceniał odwagę. Szedł zatłoczonym o tej porze Nowym Światem, wpatrując się w swoje odbicie w mijanych witrynach sklepowych. Czuł się tak, jakby przybyło mu co najmniej dziesięć lat. Ale na próżno szukał tego oznak w wyglądzie. Jakaś dziewczyna odwróciła się za nim z ciekawością, i widział to. Kiedyś z pewnością by zareagował, teraz już go to nie obchodziło.

Pchnął drzwi do kawiarni. Kelner pojawił się zza kotary jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaprowadził go do stolika, gdzie już czekała.

- Witaj - przywitała go miękkim głosem, uśmiechając się nieśmiało.

-Witaj.

- Zamawiają coś państwo od razu? - spytał kelner, szykując notes i długopis.

- Czekalaś z zamówieniem? - zdziwił się, widząc, że nie ma przed nią nawet kawy.

- Tak - potwierdziła, zwracając się jednocześnie do kelnera: - Zieloną herbatę z imbirem poproszę.

- Dla mnie mrożona kawa. - Adam rozluźniał się stopniowo, co nie przeszkadzało mu chłonąć jej obrazu.

W nieuchwytny sposób, ale jednak się zmieniła. Było w niej zdecydowanie więcej spokoju, choć jednocześnie została taka sama. Wokół oczu może bardziej zaznaczyły się drobne zmarszczki. Ścięła też włosy, sięgające teraz zaledwie karku.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała, lustrując go spojrzeniem.

- Ty nawet lepiej niż dobrze. - Uśmiechnął się, zaskoczony łatwością, z jaką mu to przyszło.

- Przepraszam, że odciągnęłam cię od licznych obowiązków... - Kiedy zadzwoniła, był akurat w sejmie.

- Wcale nie przeszkodziłaś - przerwał jej. - Słyszałem za to, że wcale nie pojawiaasz się już w firmie.

Skinęła głową i zapatrzyła się w trzymaną w ręku łyżeczkę do herbaty.

- Dlatego właśnie chciałam się z tobą zobaczyć.

Poczuł zawód, choć dobrze przecież wiedział, że spotkanie nie było po to, by mogli do siebie wrócić.

- A dlaczego?

- Chcę sprzedać agencję. Zamarł.

- Jak to?

- Normalnie. Nie mogę się już nią dłużej zajmować. Pora to skończyć.

- Przecież to całe twoje życie!

- No właśnie. Dotychczasowe życie, Adam. A nic już z niego nie zostało. Pora się uwolnić.

- I to jest sposób? - Zdenerwował się. - Odciąć się od wszystkiego? Uciec?

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz - powiedziała spokojnie, nieco jednak zaskoczona, że tak mogła się mylić co do niego. - Przecież właśnie przez to, że tkwiłam w tym wszystkim tak długo, popełniłam wiele błędów.

- Nazywasz nasz związek błędem? - Nie wytrzymał.

Wzięła jego dłoń w swoją.

- Adam, czy ja słowem chociaż wspomniałam teraz o nas? Mówię o firmie. O miejscu, które stworzyliśmy z Jackiem i Markiem na długo, zanim cię poznałam. Powinnam to zrobić zaraz po ich śmierci.

Zawstydził się, bo zrozumiał, jakim jest egoistą.

- Przepraszam. Po prostu wciąż nie mogę zrozumieć, co się z nami stało.

Wzruszyła ramionami.

- Możesz nawet zwinąć winę na mnie i mówić wszystkim, że cię wykorzystałam.

Spojrzał na nią z oburzeniem, ale zobaczył, że mruga do niego porozumiewawczo.

- Takie ciacho... Takie perspektywy... Kto by się oparł.

Zaśmieli się, a ona kontynuowała już poważnie:

- Nie wiem, co się stało. Może się pomyliliśmy, a może oboje tego wtedy potrzebowaliśmy...

Ja w każdym razie nie żałuję.

- Ja też nie. - Uniósł jej dłoń i pocałował.

- A wracając do tematu... - Zawahała się. - Może przemyślałbyś kwestię spółki? Wiem, że możesz nie mieć wystarczających środków, ale znalazłam hiszpańskiego inwestora, a on potrzebuje mieć kogoś tu na miejscu.

Pokiwał głową.

- Wiesz, bardzo ci dziękuję... Chyba skorzystam z twojej rady.

Uniosła brew w oczekiwaniu. - Sądzę raczej, że też powinienem... Wiesz... Odciąć się.

Uśmiechnęła się do niego.

- Przynajmniej nie będziesz musiał tłumaczyć się matce - rzuciła, zanim ugryzła się w język. - Przepraszam.

Uśmiechnął się blado.

- Nic nie szkodzi. Należało mi się. Dobrze przynajmniej, że ty jesteś w lepszej formie.

Skinęła głową.

- To prawda. Znalazłam cel.

Teraz jego brwi powędrowały w górę. Widząc jego minę, uniosła głowę wyżej, dodając tym gestem znaczenia słowom, które potem padły.

- Jestem wolontariuszką w ośrodku adopcyjnym. Zapisałam się na kurs dla opiekunów zastępczych.

- Brawo! - Zaimponowało mu to, ale po chwili zapytał: - Jesteś tego pewna?

Ponownie kiwnęła głową.

- Nie martw się. Dam sobie radę. To nie jest forma terapii dla mnie.

Chwyciła leżącą obok niej torebkę.

- Czas na mnie. Wstali jednocześnie.

- Powodzenia - powiedzieli to samo w tym samym czasie i zaśmieli się.

Bez wahania obdarzyli się ostatnim uściskiem.

Patrzył, jak odchodzi, zdziwiony, jak bardzo jest wyprostowana jej sylwetka. Nina z podniesioną głową opuszczała kawiarnię.

Była zmęczona. Ale jakże inne było to zmęczenie od tego, które zazwyczaj odczuwała!

Przyjmowała je z radością, gdy padając z nóg, przygotowywała sobie kolację, by potem jeszcze zagłębić się w podręczniki do psychologii. Czytała wszystko, co tylko wpadło jej w ręce.

A dzieciaki, choć męczące nieraz do granic, co dzień pokazywały jej, że było warto.

Paradoksalnie, nie myślała już o przeszłości, mimo że otoczenie codziennie powinno jej o niej

przypominać. Brakowało jednak w tym wszystkim nieznośnej presji. Oczywiście, oczekiwano od niej wiele. Ale miało to zupełnie inny wymiar.

Leżała pod kocem, pocierając stopą o stopę, dziwiąc się, że człowiek może mieć tak zimne kończyny gdy w pokoju panuje dwudziestostopniowa temperatura. Jadła bułkę z szynką, krusząc dookoła niedbale, zaczytana w ostatnim raporcie o stanie domów dziecka w Polsce. Początkowo nawet nie usłyszała, że ktoś puka do drzwi. Gdy pukanie się powtórzyło, zmarszczyła brwi. Wstała dopiero, gdy rozległ się donośny dzwonek. Nie przypominała sobie, by spodziewała się kogokolwiek.

W drzwiach stał Wiktor.

Oparła się o framugę, nie mając zamiaru niczego mu ułatwić. Była bardzo spokojna.

- Nina... - Wyciągnął wiecheć nieco zmiętych

kwiatów, z całą pewnością zerwanych jeszcze przed własnym domem.

- Chyba nie myślisz, że można mnie przekupić kwiatkami? - Ton głosu zabrzmiał ostro.

-Nie... - Zawahał się, ale nagle odzyskał rezon. - Do cholery! Przynajmniej mnie wpuść, zanim zrobię przedstawienie na korytarzu!

- Nie zapowiadałeś się.

- Uczę się od ciebie - warknął. Odsunęła się nieco, by mógł wejść.

- Zrobić ci herbaty? - spytała obojętnie, odbierając od niego kwiaty.

- Nie chcę żadnej pieprzonej herbaty!

- Przyjechałeś tu, żeby się na mnie powydzie-rać?

Nadal była opanowana.

- Jezu... Ty mnie do grobu kiedyś wpędzisz... -Przeczesał palcami włosy.

- Nawzajem - powiedziała, wyciągając wazon z szafki, odwrócona do niego plecami.

- Przyjechałem, żeby cię przeprosić... - Urwał.

- Taaak?

-Mhm... Myślę, że miałaś rację, może nie we wszystkim... ale w większości...

- Ach taaak??? - Rozbawiło ją to najwyraźniej.

- Będziesz się nade mną znęcać, prawda? - odgadł w końcu.

Potrząsnęła głową przecząco. -Nie.

Spoważniała nagle.

- Po prostu zbieram siły, bo czeka nas długa rozmowa. - Spojrzała mu prosto w oczy z powagą. - Na pewno przyda się nam jednak ta herbata. Ale nie myśl... - tu zawiesiła głos - że pójdzie ci ze mną łatwo. Nawet po tym, co dziś usłyszysz.

- W to akurat wierzę - mruknął, dziwnie nagle spokojny. - Gdzie masz filizanki? - zapytał, gdy wstawiała wodę.

Kiedy siadali obok stosu rozwalonych lektur, Nina nadal była bardzo spokojna. Wiktor też.

- Powinam zacząć od tego, że mój ojciec zmarł, kiedy miałam nieco ponad trzy lata, a moja mama już wtedy miała zdiagnozowany nowotwór... - Nalała gorący napój do filizanek i spojrzała na Wiktora przeciągle. - To dość długa opowieść i nie mam jeszcze dla niej zakończenia.

- Mów - powiedział krótko.

EPILOG

Wiosna tego roku od samego początku była ciepła, choć niezwykle deszczowa. Już pod koniec zimy łąki zazieleniły się trawą i obsypany kolorowym kobiercem z kwiatów. Na drzewach pojawiły się pierwsze liście. W lasach słychać było ptasie śpiewy, pośród traw uwijały się drobne żyjątka. Natura obudziła się do życia po śnie, który trwał przez całą zimę. A była ona wyjątkowo mroźna i biała. Nie było dnia, by z nieba nie spadł biały puch.

Zasypało wszystko. Nigdzie nawet piędź ziemi się nie uchroniła. Teraz śnieg topniał, a z nieba lało się strumieniami. Nina miała wrażenie, że wszędzie jest jedynie błoto. Na polach i łąkach potworzyły się rozległe bagniska. Na szczęście nie trwało to długo i już wkrótce

deszcze przestały padać, ziemia obeschła, rzeki płynęły swoimi korytami i wszystko wróciło do normy. Tylko gdzieś tam było jeszcze mokro. Woda tu i ówdzie tworzyła rozległe kałuże. Nie przeszkodziło to jednak turystom, którzy pakowali ekwipunek do plecaków, ruszając w drogę, by oddać hołd górcom.

Dzień był pogodny, tylko na horyzoncie zalegała jeszcze poranna mgła. Słońce przygrzewało, podkreślając piękno krajobrazu. Nina wracała z miasteczka, walcząc z zacinającą się nieco skrzynią

biegów starego jeepa. Kupili go rok temu i chyba zaczynał się psuć. Nie wpłynęło to jednak na jej dobry nastrój, bo nuciła jakąś melodię, wymyśloną na poczekaniu. Na tylnym siedzeniu i w bagażniku miała pełno zakupów, ale co jakiś czas zerkała na małą paczuszkę leżącą obok niej, jakby upewniając się, że jest tam nadal.

W końcu zajechała przed dom, tonący w sadzonych przez nią przez ostatnie pięć lat kwiatkach. Dwa dni temu były jej trzydzieste piąte urodziny i nadal w oknach widniały balony po urządzonym na jej cześć przyjęciu. Wysiadała z samochodu, gdy drzwi od budynku gwałtownie się otworzyły i wypadli z nich mężczyźni jej życia. Dwóch umorusanych kremem czekoladowym urwipołciów i zupełnie nieradzący sobie z nimi rosły facet, który coś za nimi pokrzykiwał.

- Nina! Przywiozłaś nam transformersów?

- A nowego Spider-mana?

Malcy przekrzykiwali się nawzajem, aż mknęła:

- Spokój, chłopaki!

Zapadła cisza, a oni podskakiwali na zwinnych nóżkach, dopominając się odpowiedzi. Wiktor błagalnie wznosił ręce do góry.

- Nawet nie wiem, kiedy znaleźli tę cholerną nutellę.

- Powiedział cholerną! - Młodszy chłopak aż zatkał ręką usta, gdy spojrzała na niego piorunująco.

- Nic nie dostaniecie, dopóki nie zobaczą czystych rąk i buź, a na stole nie pojawi się słoik, który zwinęliście z szafki.

Wystrzelili jak z procy, dudniąc po drewnianych schodach prowadzących do domu, a dorośli zaczęli wypakowywać zakupy z samochodu.

- Kurczę, chyba sobie z nimi nie radzę, Ninka. - Wiktor był zawstydzony.

- Daj sobie szansę, to dopiero pół roku. Badają teren, nie pamiętasz?

- Taaa... - westchnął.

Poklepała go po pomarszczonym od blizn policzku i poczęstowała buziakiem.

- Nie daj się, wielkoludzie, to tylko dwaj mali chłopcy. Co to dla ciebie?

Pokiwał głową z rozbawieniem i weszli do środka.

Spróbowała ogarnąć rozgardiasz panujący w domu, ale szybko się poddała, bo było to właściwie niemożliwe.

Łukasza i Patryka zaadoptowali sześć miesięcy temu. Jeden miał sześć, drugi dziewięć lat.

Tylko Patryk pamiętał rodziców. Łukasz trafił z bratem do domu dziecka, gdy miał raptem dwa latka.

Nie kazali im mówić do siebie tato i mamó. Chłopcy sami mieli tego chcieć. Dlatego nadal byli Niną i Wiktorem.

Gdy powiedzieli w ośrodku adopcyjnym, że chcą, by pojawiło się w ich domu rodzeństwo, proces nabrał niesamowitego tempa. Brakowało chętnych na więcej niż jedno dziecko, w dodatku bez ograniczeń wiekowych. I teraz ci chłopcy wprowadzili do domu tajfun, ożywczy, ale i wywracający wszystko do góry nogami. Spojrzała na wchodzącego z kolejną porcją toreb z zakupami męża.

- Chłopaki!!! - zaryczał. - W tej chwili do mnie! Brać torby, ale już! Pomóżcie trochę, leniuchy!

Jak na komendę obie głowy o włosach koloru toffi pojawiły się na schodach. Tupot tych stóp był dla niej muzyką.

Godzinę zajęło im ogarnięcie wszystkiego, aż w końcu dwa urwipołcie zniknęły w stajniach, biegnąc do Piotra, by pochwalić się nowymi zabawkami.

- Chcą psa - powiedział Wiktor. - Mam cię namówić, żebyś się zgodziła.

Usiedli na tarasie, opadając na miękkie poduchy ułożone w krzesłach z wikliny.

- Mhm - wymruczała, myśląc jednocześnie, że najwyraźniej on radzi sobie z chłopcami lepiej, niż sądzi, skoro to do niego przyszli z petycją.

- A coś więcej? - dopominał się.

-W sumie, skoro bardzo chcą... Może być i pies.

Spojrzała na niebieskie niebo.

- To kiedy byś chciała im zrobić ten prezent? -dopytywał się, nieco zniecierpliwiony, bo nie znał przyczyny jej dziwnego nastroju.

- Trzeba się zastanowić, jaki to ma być pies i skąd, potem zobaczymy, kiedy można będzie go wziąć. Ale skoro o prezentach mowa... - Podniosła się i weszła do domu.

Wróciła po chwili, niosąc w dłoni opakowane w kolorowy papier pudełko.

- To dla ciebie, kochanie.

Miała taką minę, że zaczął gorączkowo zastanawiać się, czy o czymś nie zapomniał. Ale nie. Zdecydowanie dzisiejsza data nie kojarzyła mu się z niczym szczególnym.

- Przecież to ty miałaś dopiero urodziny - zdziwił się.

- Mhm.

Odpakował prezent powoli, nie spuszczać z niej badawczego wzroku. Gdy spojrzał do otwartego pakunku, nie zrozumiał od razu.

Nina miała wrażenie, że zrobiło się naprawdę cicho. I tak było, bo oboje wstrzymali oddech.

Odchrząknął w końcu i powiedział:

- Przy tych dwóch urwisach mam naprawdę szczerą nadzieję, że to będzie dziewczynka.

Zaczęła się śmiać, a on wyjął z pudełka mały smoczek dla niemowlaka.

- Nie jestem za stary na młodego ojca? - zapytał niby zmartwiony, ale kłatkę piersiową rozsadała mu radość.

Śmiała się, siadając mu na kolanach, obejmując mocno ramionami i opierając policzek na czubku jego głowy. Nie było im wcale łatwo. Codziennie cieszyli się, jeśli wszystko układało się w ich życiu spokojnie. Ale wreszcie znaleźli sens. Oboje.

Siedem i pół miesiąca później na świat przyszła ich córka.

Nina uparła się, by dać jej na imię Wiktorina.